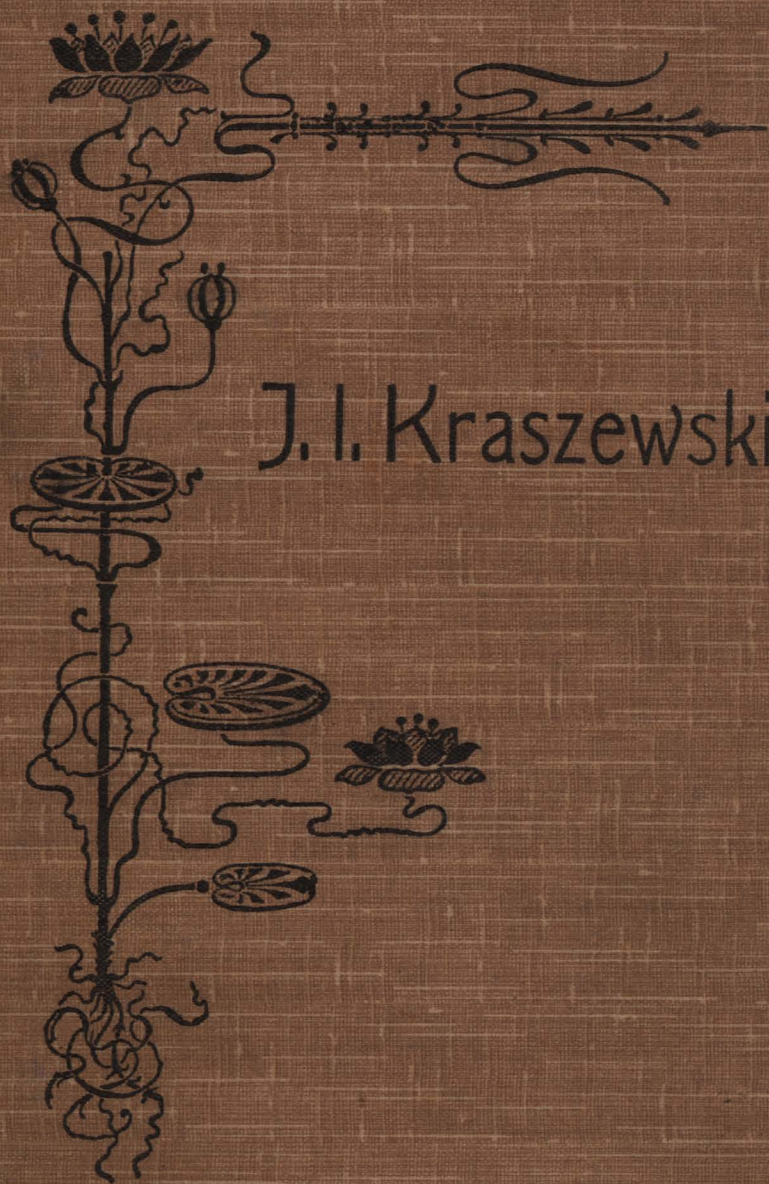




J. I. Kraszewski

J. I. KRASZEWSKI

LUBONIE

4

LUBONIE

POWIEŚĆ Z X WIEKU

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego



TOM I.

Witold

WARSZAWA

NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

1902

Дозволено Цензурою.
Варшава, 8 Мая 1902 года.



МЧМ 266

Panu
Bronisławowi Zaleskiemu
w Paryżu.

Przypominasz sobie może, kochany Bronisławie, rozmowę naszą o powieściach historycznych, któremi w roku przeszłym będąc w myślach zajęty, spowiadałem Ci się z trwogi i zapału jaki one we mnie obudzały. Naówczas był to pomysł tylko jeszcze, który teraz, jak umiałem i mogłem, przyprowadzam do skutku. Byłeś jednym z pierwszych, z którymi, przejęty cały zadaniem tem, mówiłem; myśl sama zdała ci się i dobrą i ponętą, przyjmijże jeden z pierwszych jej owoców. Czasy, które się tu malują, szare okrywają mroki, wrócić im cokolwiek życia, starać się je z niemnogich wskazówek i pomników odgadnąć, — zaprawdę, trudnem było. Nie pochlebiam sobie, abym to dokonał tak, jak to należało, alem uczynił pobożnem ku przeszłości sercem, jakem zdołał i umiał. Przyjm maluczką ofiarę, chętnie i pobłażająco.

Twój wierny

J. I. Kraszewski.

D. 29 marca 1876.
Drezno.

I.

Wieczór był skwarne go dnia letniego, słońce zachodzić miało za lasy. Co żyło, ukryte w cieniach i zaroślach, czekało, by powiał wiatr wieczorny, spadła rosa ożywcza i palące promienie dopiekać przestały. Milczało wszystko... stada w zaroślach się chroniły, ludzie — po lasach, rzadko ptak przeleciał w powietrzu, które ziało ogniem. Noc miała przynieść ochłodę i wypoczynek po dniu, który zwarzył rośliny i wysał z ziemi ostatki wilgoci po niedawnej pozostale burzy.

Dnia tego pod wieczór nawet nie zmniejszył się upał i na niebie chmurki żadnej widać nie było: wypogodzone, rozpalone, bezbarwne, zwiastować się zdawało posuchę, bo tarcza sklecona po nad lasami, okryła się barwą krwi, i purpurowa, bezpromienna, dziwna i straszna, zwołna kłoniła się ku czarnemu pasowi puszczydalek.

W powietrzu unosiły się słupy muszek, podnoszące się wysoko, wirujące obrotami jakimiś mimowolnemi, jakby je powiew jaki, którego czuć nie było, to w górę, to na bok odnosił, to przyciskał ku ziemi. Chmurą leciały muszki skrzydlate to nad łąki, to nad pola, zdając się bawić i swawolić w rozpalonych ziemi wyziewach.

Na polach cicho było i pusto...

Wyschłe rzeczulki ciekły skryte głęboko, uciekając daleko od spieki, co je wypijała... Czasem w dali powiew, który nie dochodził tu i czuć się nie dawał, na piaszczystych rozłogach chwytął kurzu tumany i do góry je gdzieś unosił.

Na Krasnejgórze nad Wartą, we dworze Luboniów tak pusto było jak wszędzie dnia tego,—ludzie się od spieki gdzieś pochowali.

Obyczajem starym wszystko stało otworem... dom, zagroda, wrota,—nie strzegł ich nikt, bo się nikogo nie lękano. Dwór stary wznosił się na pagórku nad rzeką, otoczony wysokim lasem z jednej strony, z drugiej do pola i łąk przytykający.

Jak wszystkie naówczas była to budowa drewniana, ale rozległa i krzepko z bierwion ogromnych wzniesiona. Wysoki dach z dymnikami, okopcony i czarny panował nad nią. Dokoła opasywało ją podsienie na słupach rzeczanych. Podwórze było rozległe i czyste, budynki wkoło proste, ale nowe i schludne. Z rozmiarów dworu wnosić było można o wielkiej zamożności rodu, co tu zamieszkiwał; ze stajen i szop o trzodach i gospodarstwie; z ładu około domu, o pilności pana.

Już czas był, ażeby i ludzie i bydło pod dach wracało, bo choć upał się nie zmniejszał, słońce przynajmniej straciło siłę; patrzyło groźnie krwawem okiem, ale nie piekło. Ale koło dworu panował jeszcze spokój i cisza.

Od strony lasu w cieniu leżały psy stróże, na chłodniejszej ziemi powyciągane i jak martwe. Dwór stał otworem... drzwi i okna z podsuwaniem okiennicami wpuszczały powietrze, lecz ono ziało jeszcze gorącym. Ognisko w świetlicy było wygasłe i zarzucone popiołem, komory na rozcież poodmykane... nikogo nigdzie, żywej

duszy... W podwórku kilka kur chodziło, dziubiąc porozsypywane ziarna.

Wszystkie izby domostwa przejść tak było można, nie znalazłszy nikogo. Na tyle tylko od lasu, na ogromnym kamieniu, który leżał pod strzechą, siedziała bardzo stara niewiasta, zgarbiona wiekiem, z włosy siwemi, które z pod chust się wysuwały; siedziała i jakby na pół drzemiąc, przedła.

Twarz jej opaloną, z pomarszczoną i posieczoną skórą, żółtą, pargaminową, mech starości pokrywał na policzkach i brodzie; oczu głęboko zapadłych dostrzedz prawie nie było można z pod nawisłych powiek i brwi zarosłych bujno. Trzymała kądziel, ciągnęła nic bezmyślnie, zwolna i zatopiona w dumach jakichś, przedła, nie przestając. Niekiedy palce przykładala do ust, aby je zwilżyć i znowu nic ciągnęła cienką, równą, gładką, choć bezsilne palce opierać się pracy zdawały. Czasem wśród tego snucia zatrzymała się nagle, jakby jej sił nie stało, potem przypomniawszy sobie kądziel, z pośpiechem znowu do niej powracała.

Ubogo ubrana była starucha, nie mając na sobie nic oprócz płótna, lipowych kurpi nowych na nogach, które je opasywały. Zapaska wełniana była ciemnej barwy, na szyi nawet żadnego sznurka i ozdoby widać nie było. Niewiasta długie już lata na świecie przeżyć musiała, jednak trzymała się jeszcze i nasłuchiwanie najmniejszego szelestu przekonywało, że ucho miała czułe.

Wśród ciszy, psy, co nieopodal od staruszek leżały, podnosiły głowy i jeden z nich, rozpatrując się, niespokojnie zamruczał, jakby drugim dawał hasło. Wnet i reszta pozrywała się na nogi, wietrzyć poczęły, lecz stały niepewne... nie słyhać i nie widać nie było. Pokładły się znowu, ale głowy podniesione czyhały na sze-

lest najmniejszy. Stara też od kądzieli na swych towarzyszków oczy zwróciła, jakby ich pytała o niepokój przychyne. Ten, który pierwszy zamruczał, odzywał się jeszcze kiedy niekiedy, ale niebardzo znać pewien siebie.

I długo tak nie słychać nie było.

Słońce czerwone stoczyło się za lasy, a wnet i mrok szybko nadchodzić zaczął. Na północnej niebios stronie pokazała się pierwsza gwiazda błada, ku zachodowi jak złoty sierp stał wązki księżyc na młodziku.

W dali coś tętnić się zdawało...

Staruszka wstała, zabrała kądziel i ruszyła się powoli ku dworowi, a idąc obyczajem starych, mruzczała coś sama do siebie.

Tuż i życie budzić się z zachodem zaczęło. W powietrzu przelatywały dźwięki, bydło i owce biegły z pola. Klaskały pastuchów batogi, ryczały krowy i rżały konie, coraz bliżej słychać je było.

Starucha, stanąwszy u płota, wypatrywała w dali i potrzasała głową, jakby panią była i gniewała się na niedbałe sługi.

Wtem śmiechy i śpiewy tuż blisko doszły ucha staruszki i lice się jej poruszyło, głowa podniosła, oczy skierowały ku dworowi. Głosy to były niewieście, wesole, młode... Uśmiechnęły się też mimowoli usta starej przadki i niespokojnie rozglądać się zaczęła, wypatrując nadchodzących.

Psy, które leżały spokojnie, skowycząc i podskakując zerwały się, jakby i ich uradowały te ludzkie głosy po długiej ciszy.

A wtem z lasu ukazała się cała gromadka dziewcząt w bieli. Przodem szła najpiękniejsza, wysokiego wzrostu, smukła ze śmiejącami się oczyma, z ciemnym włosiem w kosy zaplecionym, z podniesioną raźnie główką, na której, oprócz rucianego wianuszka, niosła całą wią-

zanek świeżych leśnych kwiatów, aż na ramiona spadających. W białej koszuli i zapaskach, ze sznurami bursztynów i krasnych kamyków na szyi, przepasana czerwonym pasem, którego końce u boku spadały, szła tak jak leśna panna, królując widocznie tym, co za nią biegły i w oczy jej patrzyły. Przed sobą w spódnice podwiniętej miała pełno zbieranych ziół i różnej leśnej zdobyczy.

Dziewczęta idące za nią niosły też kobiałki na plecach, koszyki w rękach i postrojone były w kwiaty jak ona, a lica im się wszystkim młodością śmiały i weselem.

Szły ku dworowi i śpiewały; ostatnia zwrotka piosenki skończyła się śmiechem, bo też i psy, łaszcząc się ku dziewczętom przypadły.

Z drugiej strony becząca i wrzawliwie odzywająca się cisnęła do wrót trzoda. Cisza przed chwilą wielka zmieniła się w gwar życia pełny. Starucha patrzyła na dziewczynę z uśmiechem, a ta ku niej dążyła, potrząsając uwieńczoną główką.

— O! udało się w lesie, udało — zawołała; — całyśmy dzień prześpiewały w chłodzie, za grzybami chodząc i jagodami. Wszystkiego pełno... choć garściami garnąć... posucha w cieńcu nie nie zwarzyła... Ptaszki nam śpiewały, a my im... i dzionek, babusiu, zszedł jak błyskawica.

— A jam tu go ledwie do końca doprzedła — rzekła złamanym z zaschłego gardła głosem stara.

— A ojciec?... — zapytało dziewczę — nie ma ojca?

— Ojciec do knezia jechać musiał... ale na noc powróci z Poznania... Niewielka to droga, a nocować tam nie ma po co... tylko go nie widać!...

Gdy tak gwarzyły i mówiąc zwracały się

do dworu, dziewczęta z kobiałkami wyprzedzać ją zaczęły i śmiejąc się a swawoląc, do drzwi pędzić. Z drugiej strony od podwórza szli ku nim poglądając parobcy, którzy z pola powracali, lecz zoczywszy ich całe to dziewcząt stadko, pobiegło się ukryć po komorach i głosy tylko młode słyhać było.

Staruchę prowadziła zwolna dziewczyna, przymilając się do niej, a ta ją po twarzy ręką zmarszczoną gładziła.

U studni po środku podwórka ruch był wielki i wiadrom nie dawano spoczynku, czerpiąc chłodną wodę czystą, napawając się nią z rozkoszą.

Bydło tymczasem samo szło do swoich szop otwartych na spoczynek, a pastuszki i parobcy około koryta stojąc, głośno śmieli się tak, jak to zwykło się wesoło rozkoszować, gdy pana w domu niema.

Ale na drodze tentent się dał słyszeć i wielka ta wrzawa zaraz przycichła, a psy biegly ku wrotom.

Zdała na polu widać było jadący do dworu cały orszak konnych i zbrojnych ludzi, dosyć pokaźny. Przodem na dobrym koniu jechał dorodny, niemłody już mężczyzna pięknej postawy wojackiej, z ręką w bok, w krótkim płaszczu, a raczej sukni, zdjętej z rękawów dla gorąca i tylko na ramiona rzuconej. Miecz miał u pasa, nóż w pochwie za pasem, a u siedzenia na koniu młot wisiał nabijany gwoździemi żółtymi i wyrabiany misternie, w skórzanej objęty pochewce. Za nim jechało kilku młodych jednak odzianych i zbrojnych; dobrze wyglądali wszyscy jakby z boju albo na bój się wybrali.

Poznać było łatwo, że do domu dążyli i obcymi tu nie byli, konie ich rżały niespokojnie i oni oczy zwracali ku dworowi. Twarz jednak

tego, co przodem jechał, nie rozjaśniła się na widok jego; poważny jechał i zamyślony.

Parobcy z pola przybywszy, postrzegłszy zbliżających się, podbiegli ku wrotom na ich przyjęcie. We drzwiach pod słupkami stało piękne dziewczę, tak jak z lasu przybyło, uśmiechając się, a starucha rękę położywszy na jej ramieniu, drugą trzymając jeszcze swą kądziel, nie ruszyła się od jej boku.

Zdała już przybywający witał swe niewiasty, a one jego. Matka to była i córka, bo żony nie miał dawno.

Zsiadł u progu gospodarz, konia zdając na parobka i pozdrowiwszy matkę, pogłaskałszy córkę, jak stał, do świetlicy poszedł. I one ciągnęły za nim. A gdy na ławie za stołem siadł, kółpak zdejmując i czoło ocierając, stara z komory kubełek pełny napoju wyniosła.

— Pij, synu — rzekła, — na upał to jedyne... kwas brzozowy najlepiej gasi pragnienie... Słońce na nas, jakby się gniewało, piekło cały dzień bez litości.

I patrzyły mu w oczy stara i młoda, jakby myśli jego zgadywać chciały. A on siedział posepny. Badać go nie śmiała matka, dziewczę było odważniejsze.

— Coś bo niewesoło od knezia Mieszka wracacie! — odezwała się. — Czyżby się co złego niosło?

— Co tam ma być! — rzekł Luboń. Niema nic... Mieszek wojny patrzy i tęskni, gdy jej niema... Doma mu nudno...

Westchnął i popatrzył na córkę, która niewiedząc dlaczego pod tem wejrzeniem ojcowskiem spłoneęła. Zaciężył jej wianek leśny, zdjęła go ze skroni i poszła z nim do komory. Dopiero po odejściu jej starucha się do syna zbliżyła i w oczy mu badając spojrzała.

— Licho nadało! — zamruczał poćichu. — Za-

wsze mu się nasza dziewczka śni... ma żon sześć, a bez siódmej ani żyć... niechże jej szuka kędy chce, bo ja mojej nie dam... to darmo...

Pięścią o stół uderzył. Starucha w ręce piasnęła.

— Jeszczeby też! — zawołała. — Jedyne oko w głowie, kneziowi dać na zabawkę... A co jej po tem... Tam szczęścia nie zazna, gdzie ich tyle... Dziewczyne co rychlej trzeba komu dać, aby mu ta chętką odpadła...

— Tak — dodał Luboń, — matko droga... Gdyby ich u mnie dwie albo trzy było, i synów ze dwu do datku, łatwoby dziewczynę zaswatać, ale ona u mnie córką i synem, a kto ją weźmie, ten mi dzieckiem być musi i następcą... Luboń ojcowizny nie spuści lada komu...

Głowę potrzęsął.

— Oj syna, syna mi żal! — westchnął.

— Serca sobie nie psuj — odezwała się baba, łzę ocierając rękawem, — oplakaliśmy go... i pogrzebli...

— A! gdybym ja go martwego widział i na stosie, mówił Luboń — nietylby mnie serce bolało, jak myśleć, że on tam gdzieś niewolnikiem się obcym wysługuje z głową postrzyżoną... że Niemcowi wodę nosi i drwa rąbie...

Zamilkli oboje; obojgu łzy się potoczyły, a słów nie stało.

— Nieszczęsna to godzina i dzień, kiedym ja go, dziecinę słabą, na nalegania i prośby z sobą na wyprawę wziął. Chciało mu się wojennej sprawy próbować zawczasu... Gdybyż padł od strzały... ale mi go z przed oczów Niemcy chwycili... Jeszcze słyszę jego wołanie, jeszcze widzę go, ręce wyciągającego ku mnie... a jam ranny, odcinając się sam trzem, w pomoc mu nie mógł pośpieszyć... i znikł mi z oczów... nazawsze...

Ręką uderzył po stole i sparł się na niej

Luboń, a stara go po głowie głaskać poczęła, płacząc.

Nie pierwszy to raz, ale setny może tak oplakiwali dziecko stracone, choć lat upłynęło wiele, jak o niem słyhu nie było. W sercu ojca gniew i pragnienie zemsty rosły i gromadziły się z latami, a ile razy kneź Mieszko ciągnął na Niemców, prosił mu się Luboń, aby tej krwi się napić, która mu jego krew zabrała.

Słał on za Odrę i Elbę do Niemców z okupem, szukając jedynaka, a no już wszelka nadzieja była stracona, bo o dziecku wieści najmniejszej nie dostał, a lat kilkanaście od tego czasu upłynęło.

W milczeniu odstała stara od syna, bo czas było myśleć, by sposobić wieczerzę i choć dziewczęta już ją pewnie musiały nagotować, spojrzeć chciała stara gospodyni, co się tam działo. Luboń został tak sam z żalem swoim, na ręku podparty.

Wtem psy u wrót ujadać zaczęły, i jeden z pacholków wszedł na próg.

— Co tam z psami? — zapytał pan.

— Podróżny, o gościnę prosząc, u wrót na koniu stoi... — rzekł pacholek.

— Co za jeden?

— Nieznajomy człek...

— A z wielu końmi?

— Sam jedzie.

— Skądże się opowiada?

— Z nad czeskiej granicy.

— Prowadźcież go — odezwał się Luboń, wstając — nie juści go od wrót odeślemy...

I pochyliwszy się w okno otwarte spojrzął.

Podróżny, niepozornie odziany, ze zmęczonego drogą konia zsiadał właśnie. Człek był młody, twarzy bladej, jakby przelekły i nieśmiały, broni przy nim żadnej widać nie było. Z odzieży trudno osądzić przyszło człowieka,

bo się niczem nie odznaczał. Ciemną suknią był okryty, takiego kroju, jak ją po niektórych ziemiach noszono, włos miał przystrzyżony krótko, czapkę lekką, bez pióra.

Wyglądał ubogo, lecz wpatrzywszy mu się w lice, widać na niem było, że pod niem dusza mieszkała nieleniwa. Oczy patrzyły mu rozumnie, młode czoło świeciło jakimś myślami, a gdy do progu szedł, powagę miał jakąś i bezpieczeństwo dziwne, choć obcym tu był i nie wiedział, jak go przyjmą. I trwoga i wesele jakieś, i pomieszanie razem na twarzy się malowały.

Na próg wszedłszy, ujrzawszy naprzeciw siebie Lubonia, jakby mowy zapomniał.

— Szczeście i błogosławieństwo progom waszym, panie mój! — odezwał się. — Podróżny jestem... do knezia jadę... do Poznania, w tę stronę, noc mię zaskoczyła... o gościnę proszę.

Mówił jakając się i nieśmiało, a wciąż na starego spoglądając.

Luboń też wpatrywał się w niego bystro, sam niewiedząc, z kim miał do czynienia, bo do wojaka przybyły podobien nie był, i mowę miał choć swojską, ale skażoną.

— Przyjmuję was z ochotą — odparł stary — siadajcie i odpoczywajcie.

Wskazał na ławę, ale młody gość stał w progu i nierychło dopiero, pod oknem zdala skromne zajął miejsce...

— Skądżeście i co was tu prowadzi? — zapytał gospodarz, chleb podając do rozłamania na znak przyjęcia.

— Zdaleka jestem, ojcze — głosem cichym począł zwolna, ciekawie się rozglądając podróżny, — zdaleka... z za gór, z za rzek wielu, bom wędrował dużo... Choć mi się język zepsuł, tu tejszy jestem...

— Tutejszy? — podchwycił Luboń — skąd?

Podróżny popatrzył się nań i zawahał się z odpowiedzią.

— Od Poznania jestem — wyjąknął głosem prawie drżącym, — alem tu kilkanaście lat nie bywał...

I urwał...

Te słowa dziwnie jakoś w uszach zabrzmiały Lubonowi; siedział na ławie zdala, usłyszawszy je, powstał i zbliżył się ku gościowi, wpatrując w niego pilnie.

Przybylec siedział w cieniu, okienniczka była na pół zasunięta, Luboń ją otworzył, ale światła nie weszło wiele, bo na dworze mrok się robił. Klasnął w ręce o łuczywo na ludzi.

— Cóż to się z wami działo, żeście tu nie bywali tak długo, po obcych się włócząc ziemiami — zapytał...

— Długoby to mówić było — wahając się jakoś począł gość. — Małem dzieckiem na wojnie porwali mnie Niemcy od ojca...

Ledwie słów tych dokończył, gdy gospodarz skoczył oburącz go porywając za ramiona i głosem, który dwór cały przeraził jak piorunem, — krzyknął.

— Włast! tyś Włast!

Gość padł na kolana, za nogi go obejmował, i płakał...

Gdy dziewczyna weszła z łuczywem i ostrzegła to, przestraszona rzuciła ogień i wybiegła, choć sama nie wiedziała, co ją przeraziło.

W tejże chwili na krzyk Lubonia nadbiegła stara matka i córka... obie drżące i o Lubonia strwożone. Ujrzawszy nieznajomego, który jeszcze klęcząc — nogi jego ścisnął, a on głowę jego obejmował, okrywając pocałunkami, osłupiały.

Włast! — zawołała stara. I podbiegła ku niemu.

Jakże tu opisać to powitanie odnalezione go po latach dwunastu... i tę radość osieroconego ogniska, u którego nagle zjawilo się dziecko stracone i oplakane oddawna.

Luboń stary szalał prawie... staruszka drżała, a siostra nieśmiało przypatrywała się z ciekawością temu młodemu mężczyźnie, który miał być jej bratem.

Sadzono go więc na ławie, a trzeba było napoić go i orzeźwić, bo i jemu wzruszenie siły odebrało.

Słaby też i blady był, jakby znękany długą niewolą — a tu się pytania sypały, co się z nim działo, i jak przebył te lata.

Ojciec nastawał szczególnie — a odpowiedzi syna ciemne jakieś były, niewyraźne i poplątane. I nierychło jakby uspokoiwszy się i myśli zebrawszy, rozpowiadać począł o sobie, jako w niewolę od ojca wzięty, przez Niemca zrazu do najtwardszych robót zażywany, jak później go słabym uznawszy, dano nierycerskiemu panu jakiemuś za pacholę...

Z tym nowym panem dostał się Włast, któremu, jak mówił, imię zmieniono na Matję — na dwór niemieckiego cesarza... potem do innych ludzi, którzy tylko Bogu służyli... a ci, co go nowych rzeczy nauczyli, i z sobą zabrali do innej ziemi, na południe, kędy zimy nie było nigdy, i gdzie stał największy gród panujących wszystkich krajom na zachodzie. Tam na usługach różnych, i w spokoju bezoreźnie życie prowadził... i nie mówił, by mu ono bardzo ciążyło, tylko za domem i rodziną tęsknił zawsze.

Opowiadał Włast ojcu i swoim, co się ci snęli, aby go widzieć, z obawą jakąś, wiele rzeczy połykając, o których znać wspominać im nie chciał, bo ojcu brwi się marszczyły. I nie mógł z niego dobadać o wiele więcej nad to,

że wojaczki cale zapomniął, obyczaju domowego zabył, języka się prawie oduczył i że swoim stał się niemal obcym.

Smutno opowiadał to Włast, a smutniej jeszcze słuchać było ojcu, który, choć się cieszył z odzyskania syna, widział, iż z niego będzie musiał nowego uczynić człowieka, aby do siebie przystać mogli.

Gdy niejasne to, tęskne opowiadanie się skończyło, a wszyscy milczeli, — Luboń schwytał go za głowę raz jeszcze i ucałowawszy, — rzekł:

— Dosyć, że cię mam — resztę sobie przypomnisz, gdy będziesz z nami. Zasmakujesz w oręzu i w dawnym życiu, a ja cię od boku mego nie puszcze już więcej. I krew się w tobie odezwać musi.

Włast nie mówił nic, głowę z pokorą skłonił i zmilczał. A tu się sypały pytania, jak na tamtym świecie innym ludzi, miasta, wsie, wojna i pokój i potęgę obce wyglądały.

Włast po trosze opisywał, skąpy był jednak w odpowiedziach, jakby go co za język trzymało, i łatwo dostrzedz było, że mu tam trochę serca zostało u ludzi, do których był nawykł, bo na obyczaj ich, wiarę i na życie z nimi nie narzekał, a wiele rzeczy które były w ohydzie, chwalił. Potęgę zaś cesarzów i kneziów tamtejszych malował wielką i straszną.

Luboniowi słuchać było niemiło i tęskno, ale ust synowi zamknąć nie chciał. Wieczór tak zszedł przy łuczywach, wesoło wprawdzie i dla Lubonia szczęśliwie, przecież nie tak, jakby był pragnął, bo syna znajdował z obcych rąk wróconego, niemal sobie obcym, i co chwila ojciec i on się nie rozumieli. Naówczas Włast z pokorą mówić przestawał i powodował się starym cierpliwie.

Późną już nocą starucha przyszła oznaj-

mić, że dla wnuka gotowe było na sianie w szopie posłanie, gdzie go Jarmierz, starszy przy Luboniu nad jego seciną, miał zaprowadzić... Rozstali się więc jeszcze raz uściskawszy, i siostra przeprowadziła brata do proga.

Luboń został naówczas sam, ale stanawszy u pościeli, zadumał się, nie mogąc o śnie pomyśleć.

Radość z nim z jakimś strachem walczyła... lży niemęzkie czuł na powiekach. Włast to był, jedyne dziecko, a nie ten i nie taki, jakim on by go mieć chciał. Cieszył się tem, że życie zmarłemu powróci, wołał takiego mieć, niż żadnego, ale stary wojak gryzł się, w synu wojennego nie widząc ducha.

Żołnierzem naówczas był ziemianin każdy, a kto nim być nie umiał, ten niemal mężem i człowiekiem być przestawał. Więc kłął w duchu tych ludzi, co mu na wzgardę dziecię bezsilne jakieś i kalekę oddali... Więcej niemal męztwa i ochoty bojowej było w pięknej dziewczynie, co się jego siostrą zwała.

Nie spał Luboń noc całą, a gdy świtać zaczęło, zmęczony wyszedł na rosę i powietrze, aby się orzeźwić.

Jarmierz, który z obowiązku o brzasku był na nogach, drogę mu zaszedł.

Był to jego ulubieniec, jak syna go kochał. Spotkali się u wrót, stary mu na ramieniu rękę położył.

— Cóż Włast?

Jarmierz zmilczał.

— Prawda — rzekł stary tęskno, — Niemcy z niego babę zrobili, na moje dziecko nie wygląda.

Wojak jeszcze nie odpowiedział.

— Cóż robił wczora? mówiliście z nim.

— Mało — odparł Jarmierz. — Uściskał mnie jeno, a sam zaraz na posłanie poszedł... Choć

szopa ciemna, przypatrywałem się ciekawie, co pocnie. Nie wiem, czarnoksiężstwa chyba jakieś wyprowadził. Widziałem, że pokłakł przy pościeli, złożył ręce i niemi dotykał czoła i ramion, w piersi się bił, głową o ziemię uderzał, aż mnie ogarnął strach. I szeptał sam do siebie dziwnie, jakby jęczał i płakał, skarżył się i prosił.

Trwało to długo... długo. W końcu znowu ręką poczał czoła i ramion dotykać... i dopiero się udał na spoczynek.

Jarmierz opowiadał cicho i z obawą. Luboń słuchał zadumany, ale nie rzekł nic; potem dotknął ramienia swojego sotnika i szepnął mu.

— Milcz o tem... Zabobony to są niemieckie... ale my mu je z głowy wybijemy. Niech o tem nie wie nikt — prócz nas dwu w domu, rozumiesz!

Skłonił się Jarmierz.

— Stanie się po woli waszej — odpowiedział; — ale — źle jest.

— Źle — rzekł Luboń. — Przecie ja wolę o tem nie wiedzieć, tak mi łatwiej i lepiej będzie. Dać mu trzeba spocząć, niewolę niemiecką wydychać, do obyczaju swojego powrócić.

Wy mu towarzyszyć... Śmiechem i weselem duszę mu rozgrzejcie... młody jest, prowadźcie go, gdzie się młodzież zabawia. Oręż mu trzeba przysposobić, konia i zabawę wojenną... ja też nie zaśpię; ale ze starym trudniej się młody znajdzie, łącniej z wami. Jarmierz — ja tobie ufam!

Skłonił się sotnik, ale westchnął; znać nie bardzo sobie ufał...

Luboń podwórko przeszedł raz i drugi... Pod słupami stała matka jego, którą też sen nie brał; stała zapatrzona gdzieś, nie widząc nie i smutna.

Gdy Luboń zbliżył się do niej, pochyliła mu się do ucha.

— Nie nasz on — rzekła ponuro — nie nasz! Wiem, co jemu jest, wiem... Na swoją wiarę go nawrócili Niemcy, z oczów mu to patrzy...

Luboń sobie uszy zatknął rękami.

— Słyszeć nie chcę — wiedzieć nie chcę...

I nogą uderzył o ziemię...

— Nie! nie! — zawołał, brwi marszcząc...

Staruszka rękami powiała w powietrzu, spuściła głowę na piersi, założyła dłonie i sparszy się o ścianę, nie mówiąc słowa, nie dając znaku życia, została tak martwą, jak słup... i nieruchomą.

II.

Radość i smutek razem przybyły z Włastem do domu; — cieszył się nim ojciec i niecierpliwil prawie, zniewieściałym go znajdując. On nie śmiał się odezwać otwarcie, bo słowo jego sprzeczało się z myślami całej rodziny; wszystkiego swojego między obcymi zapomniął.

Z serca odzywały się chwilami odżywione wspomnienia, rumieniło lice, i wnet jakaś obawa wylanie się z uczuciem i poddanie mu wstrzymywała...

Luboń chodził niespokojny, stara babka podparta na dłoni mruczała, siostra nie śmiała przystąpić do brata, jakąś od niego odtrącana obawą.

Chrześcijańska wiara już naówczas nie była obcą nad Wartą; wcisnęła się do wielu rodzin, z cichymi apostołami, co ją przynieśli, wielu było pochrzczonych i wyznających potajemnie Chrystusa, ale kryć się z tem musieli, gdyż

tłum i lud zamieszkały po lasach i w głębinach kraju starej wiary uparcie się trzymał.

Podejrzliwie patrzano na ochrzczonych i tych, co się od świąt i obchodów bałwochwalskich wyłączali.

Neofitów też wielu, choć ukryte krzyżyki nosili pod koszulami na piersiach, z obawy prześladowania, szło razem z innymi do ofiar na uroczyska, do świątyń i odbywali obrzędy zwykłe, mieszając z sobą dwie wiary, i zapominając z kolei to jednej, to drugiej.

Duchowieństwa nie było stałego, coby w wierze utwierdzać mogło, przychodzili kapłani z Morawii, z Czech, z nad Łaby, apostołując pocichu i obawiając się osiedlić tu stale.

Na dworze Mieszka panował obyczaj pogański, a obok kneziowskiego grodu, stała świątynia... i w niej stanice z postaciami bogów opiekuńców. Nie jeden raz tam zaszła i wieść i apostołowanie nowej wiary.

Mieszko sam na sam słuchał ciekawie opowiadań o potędze kneziów i panów, co się ochrzcili, ale, czy się lękał, czy wzdragał surowości obyczaju chrześcijańskiego, — do nawrócenia jeszcze nie okazywał ochoty.

Ci, co się ochrzcili, uchodzili za zdrajców i niemieckich przyjaciół, a lud, niedowierzając im, stronił od nich i czyhał tylko na zręczność pozbycia się jak wrogów. Niebezpiecznem było przyznać się do chrześcijaństwa, i głośno mówić o niem, bo krzyż w pojęciach tłumu jednoczył się razem z niemieckiem panowaniem. Wszędzie też gdzie on wprowadzony został, dawna swoboda pogańska ustępowała miejsca surowej karności i władzy kneziowskiej.

Duchowieństwo, przybywającej z zachodu, niesło także ideę posłuszeństwa i władzy wyższej... Nawykli do rządzenia sami sobą władcy i żupanowie, opierali się tej surowości no-

wego prawa i znać go nie chcieli. Wszystka starszyzna wiejska i ci, co razem w rękę mieli kapłańską i patryarchalną władzę, wzdragali się z rąk jej wypuścić.

Nietylę żalowano starych bogów, co dawnego obyczaju...

Krażyły też dziwne pojęcia o bezlitosnej surowości wiary Chrystusa, które też od niej odstręczały. Zachowywanie postów, ściślejsze pilnowanie jednożeństwa, a nadewszystko ślepe posłuszeństwo starszyźnie duchownej napełniały trwogą.

Wreszcie stara wiara z krwią oddawna w żyłach narodu płynąca, odżywała się we wszystkich najmniejszych życia czynnościach; wyrzec się jej zdawało się tak srogim, jak zaprzec własnego żywota. Nieprzyjacielem wyznawali tę wiarę; — przyjęcie jej było pobrataniem się z niemi, poddaniem się ich panowaniu.

Wiedzano w Słowiańszczyźnie, że wszyscy kneziowie i królowie pod jednym cesarzem zostawali, a wszyscy duchowni ich, pod najstarszym kapłanem, siedzącym gdzieś daleko na stolicy, z której rozkazywał światu.

Do prawdziwych kłamliwie mieszały się wieści straszne, ciemnemu ludowi trudno było światło rzucić nowe, bo na nie gniewnie zamykał powieki.

Z pewnych cech wiedzano już, jak chrześcijan poznawać; znak krzyża i post — zdradzały neofitów.

Stara Dobrogniewa, matka Lubonia, pierwszego wieczora miała przeczucie, że Włast wracał nawrócony. Brak oręża, uboga szata, mowa, bojaźliwość, pokora zaniepokoiły ojca i babkę.

Luboń wołał nie znać tego, nie wiedzieć o tem. Spodziewał się dziecko powrócić do starego zwyczaju; baba jątrzyła się, gniewała, a że

w jej pojęciach z religią nową łączyło się czarnoksiężstwo i siła wielka, zarazem obawiała się wnuka.

Hoża siostra Własta patrzała nań z ciekawością niezmierną; nie widziała jeszcze nigdy takiego młodzieńca cichego i pokornego, tak niepodobnego do tych, co ją otaczali. Czula po niewieściemu, że to nie była niemoc, ale jakaś siła skryta i w sobie skupiona. I ona coś się domyślała, a dziwy jakie prawiono o wyznawcach Chrysta, nadzwyczajne w niej obudzały pragnienie i ciekawość.

Wszyscy zarówno czekali niecierpliwie, aby się Włast zbudził i wyszedł do nich.

Jarmierz w komorze ojcowskiej wybrawszy odzież nową najlepszą i najokazalszą, czatował na przebudzenie. Lecz drogą i bezsennością, wzruszeniem samem znużony Włast, spał długo, a gdy Jarmierz podpatrując co chwila, wszedł później do szopki, znalazł go na kolanach, ze złożonymi rękami, modlącego się już znowu.

Włast, czy go spostrzegł, czy zatopiony w modlitwie, nie posłyszał, ale nie ruszył się i nie powstał, aż modlitwę dokończył i ziemię ucałowawszy, dopiero z pogodniejszą twarzą ku niemu się obrócił.

Jarmierz, który go sobie chciał pozyskać, udał, że znaczenia tego rannego obrzędu nie zrozumiał, pokłonił się wesoło i zapowiedział, wskazując na odzież, którą we drzwiach trzymał chłopak, że życzeniem ojca było, aby się Włast odział inaczej.

Jarmierz był przebiegły chłop i rozumny, wojak zręczny, człek śmiały, serce miał dobre, ale życie swobodne, jakiego używał, najlepiej mu przypadało do smaku i wszelka odmiana była wstrętliwą. Kochał on swojego pana, Lubonia jak ojca; — któż wie, pochlebił sobie nawet może, póki dziecko cudownie odzyskane nie

powróciło, że on je kiedyś zastąpi, ożeniwszy się z Hożą. Patrzył na ładne dziewczę okiem gorącym, a staremu panu służył, krwi i potu nie żałując.

Pierwszy raz w życiu tej nocy, goryczą i kwasem zapłonęło mu serce. Wszystkie jego nadzieje w niwecz się obróciły, wszystka służba wierna marnie poszła. — Syn powrócił.

Patrzył nań z zazdrością jakąś i żalem Jarmierz i nieledwie się ucieszył, gdy dostrzegł, że chłopak był nieśmiały, a do serca ojcu w jakowi z trudnością mógł przypaść. Uczucia więc jego dla przybysza nie były bardzo życzliwe; — miał doń żal, a jednak, ujmującego w sobie coś takiego miał Włast, że gdy się doń odwrócił i uśmiechnął, podając rękę na powitanie, Jarmierz uczuł, sam nie wiedział — litość czy poszanowanie, a zazdrość na chwilę w nim wystyła.

— Ojciec wasz, a pan mój, junoszo Właście — rzekł, pokazując na chłopaka, który odzież składał przed nim — życzy sobie, abyście suknie zmienili, aby się i pamięć nie została dawnej biedy. Przyniosłem wam, co było najlepszego, będzie w tem lepiej, niż w starej podróżnej siermiedze. A i bez miecza synowi pańskiemu być nie przystoi.

To mówiąc, śmiał się do niego. Włast stał patrząc w ziemię zmięszany jakoś i smutny.

— Ja bo, ja... — rzekł — tak do tej sukni nawykłem...

— E! niema jej co żałować — śmiejąc się ciągle, wesoło mówił Jarmierz. — Tu u nas zobaczycie obyczaj inny, swoboda zdrowa, życie wesołe! Koniam dla was nagotował jak ogień, łuk, procę i oszczepki.

Włast oczy nań podniósł bojaźliwie.

— Mój kochany Jarmierzu, ja się z tem

obchodzić nie umiem! — odezwał się głosem drżącym.

— A cóżeście wy tam między Niemcami robili? Nie już ciż w spódnicyście chodzili, junoszo Właście. E! toć trzeba tego pozbyć. Ja was pamiętam dawniej, bom mało co od was starszy, choć wy mnie może nie pamiętacie; — wyście dzieckiem rwali się do dzidy i młota, ledwie mogąc go dźwignąć. Jakże się to stało, żeście tak odmienić się mogli?

Włast zmilkł; spojrział na wesołego sotnika i uśmiechnął się smutnie.

— Kiedyś to zrozumiecie — rzekł po namyśle.

— A wy tymczasem przypomnicie sobie młode czasy — zawołał Jarmierz. — Stary Luboń mi wam służyć kazał; zobaczycie, że wam dobrze usłuży. Będziemy się na koniach pędzali po lesie ze psy i oszczepami, aż się dusza rozraduje! Hej! hej! może się tam i inna zwierzyzna nadarzy, białe dziewczę w wianuszkach, co ze śpiewką błądzi po lesie. Bez tego bo żyć trudno.

Włast rękę zacisnął, załamał, zapłonął całą i powiódł przestraszonymi oczyma. Przed nim leżała odzież przyniesiona, patrzył na nią z trwogą.

— Czyż koniecznie mam zrzucić moje odzienie? — spytał — czyż koniecznie?

— Stary tak kazał, a on nieposłuszeństwa nie lubi — odezwał się Jarmierz ścicha. — Tak, tak, i miecz trzeba przypasać do boku!

Włast zamilkł, zamyślił się nieco i leniwo ściągając począł odzienie stare. Gdyby w szopce nie było tak ciemno, Jarmierz ciekawymi oczyma dojrzałby był łez na jego powiekach. Mały węzelek, który Włast wioził z sobą przytroczone do konia, a który leżał przy pościeli, z nie-

pokojem jakimś obejrzał, jakby się o niego za-troszczył.

Powiedcie mi, gdzie ja to mogę złożyć bezpiecznie? — zapytał.

— Jakto, bezpiecznie? — podchwycił Jarmierz zdziwiony. — Ja nie wiem, jak tam u Niemców jest, a no u nas drzwi wszystkie otworem, leży każda rzecz gdzie chce, nikt jej nie ruszy. Jakem żyw, nie słyszałem, żeby sobie kto co przywłaszczył! Gdzie położycie rzeczy wasze, nikt ich nie będzie śmiał ruszyć.

Włast pomyślał chwilę.

— Prawda, tak i dawniej bywało! — odezwał się. — Ludzie u was dobrzy.

— To wiemy, że u Niemców na klody zamykają drzwi, wrota i skrzynie. U nas tego nie było i niema — dodał Jarmierz. — A no — rzekł, widząc, że się Włast nie śpieszy — odziewajcie się, ojciec czeka.

— Dziś — mówił dalej — dzień jeszcze przejdzie spokojnie, jutro może jechać a potem trochę uroczyście obchodzić musimy powrót wasz i sąsiady zaprosić i z pańskiego dworu, z Poznania pewnie starszyzna się przysunie na stare miody.

Słuchającemu Włastowi twarz pobladła, wdziewał tymczasem podane suknie opieszale i jakby ze wstrętem. Były one z cienkiego sukna i bramowane, barwy jasnej, kroju pięknego i Włast też w nich całe się wydawał inaczej. Jarmierz sam mu mieczyk przypasał.

— Ot! teraz — zawołał — toście do ludzi podobni. Na drogę, do przekradania się, dobra była sukmana ładajaka, a dla syna władzyki Lubonia nie przystała.

Włast odziany był i mieli wychodzić; zakłopotał się jednak o swój węzelek znowu.

— Dajcie mi go; zaniosę Dobrogniewie do komory.

— Nie — nie, wezmę go sam, — zawołał nie-

spokojnie Włast, i z pewnem poszanowaniem ująwszy swój węzelek, wyszedł z Jarmierzem z szopki.

We drzwiach dworu pod słupkami stała Hoża w wianku; zobaczywszy brata idącego i niosącego ciężar na rękach, uśmiechnęła mu się wesoło, z ciekawością zaglądając w oczy.

— Dobry dzień! — zawołała — dziś wam lepiej w sukni nowej. Ale cóż niesiecie?

— A! nic — odparł Włast — ot, różne podróżne moje rzeczy, które potrzeba w czystym gdzie miejscu złożyć bezpiecznie.

Dziewczę wyciągnęło białe ręce.

— Dawaj! — zawołała.

Zawahał się nieco Włast, lecz po chwili oddał je siostrze spokojny, a Hoża znikła z niemi.

Z za drzwi widać było Lubonia, ale jakoś zasepionego. Syn mu do kolan przypadł. Popatrzał nań i lice się rozjaśniło trochę, wdzięcznie też okiem rzucił na Jarmierza.

Weszli wszyscy do izby.

Tu stara Dobrogniewa pilnowała dziewcząt, zastawiających obiad ranny na misach glinianych. Był to piątek właśnie, ale poganie dni nie rozeznawali inaczej, tylko je licząc po księżycu zmianach.

Gdy Włast na stół spojrzał, lice mu żywym zapłonęło rumieńcem. Wahać się zdawał czas jakiś, co pocznie, stał pomieszany, a ojciec już siadłszy, ręką go do siebie i jadła wzywał.

Pierwszą próbę miał młody chrześcijanin do przebycia w domu. Był na nią przez siebie i przez duchownych przygotowanym, ale od niego samego zależało uznanie, jak sobie postąpić był powinien; po namyśle zasiadł z westchnieniem i dla niepoznaki razem z ojcem i Jarmierzem jeść zaczął, ale skromnie i zwolna.

— Gniewaliby się na mnie sąsiedzi i mieliby prawdę po sobie, żebym im nie dał znać,

iż mi syn wrócił z niewoli i jakby nanowo się narodził. Trzeba posłać po dworach z wesołą wieścią. Na ósmym dniu po nowiu niech się druhowie zjadą, aby objąć ze mną bogu złożyli. Jarmierz posle parobków, a wie, kogoprosić.

Sotnik głową skinął.

— Na dwór ja do pana a knezia sam z nim pojedę — dodał Luboń, — albo dziś lub jutro.

Włast nie śmiał nic rzec.

— Ale spocząć i orzeźwiać się trzeba junoszy — wtrącił Jarmierz.

— Do łaźni go weźmijcie — dodał Luboń — a potem się wyleży, wyśpi, i ta bladeść, którą na twarzy przyniósł, zejdzie z niego.

Mówili tak, gdy stara Dobrogniewa u drzwi stojąc z założonymi rękami, milcząc we wnuka się wpatrywała, jakby czekała, żeby go chwycić i sam na sam z nim rozmówić. Zaglądała i Hoża, do ojca i do niego się śmiejąc, bo jej — dotąd jedynaczce, wiele wolno było, jak hodowanej ptaszynie, co siada kędy chce i szczebiocze piosnkę, nie pytając.

Wnet po strawie Jarmierz na konia chciał posadzić Włastę, który mu się wyprosił, ojciec jechał na łowy, bo na przyjęcie sąsiadów dzikiego mięsa było potrzeba — ale synowi pozwolił doma zostać.

Włastowi więc dano wolność, a gdy się rozeszli i on na przyzbę też powoli wysunął, poczuł za sobą idącą starą babkę.

— Włast — rzekła mu półgłosem, — chodź ty za mną.

I skinęła nań, wiodąc go w tę stronę do mu ku kamieniowi, gdzie zwykle z kądzielą siedziała w cieniu. Hoża też chciała za niemi iść, lecz stara jej znacząco ukazała na drzwi i dziewczę znikło.

Kądziel wzięwszy z pod ściany, bo bez tej

się nie ruszała starucha, powlokła się na swe zwykle siedzenie. Włast stanął nieopodal. Przy-sposabiając len i próbując wrzeciona, stara spoglądała na niego, namyślając się, co mówić. Twarz miała czegoś posepną i jakby gniewną.

— Dwanaście lat — odezwiała się, — dwanaście lat, to strasznie długi czas — poczęła zwolna w pół do siebie, w pół do niego. — Jam się do reszty skurczyła i zламаła, a z ciebie te Niemcy krew wypili! O! nie może być — westchnęła — aby długiej niewoli u obcych nie zostało śladu, nie może być!

Popatrzała nań.

— Zarazić cię musieli swojemi czarami i zrobić z ciebie Niemca. Któż to nie wie, że ptak hodowany do leśnego niepodobny. Tak i ty. A cóż? a cóż? pewnie? Nie zapieraj się. Ja stara, mam już siwy włos, wiem wiele, przez oczy patrzę w człowieka.

Poczekawszy trochę, gdy Włast nic nie odpowiadał, ciągnęła dalej.

— Teraz to wszystko trzeba zapomnieć, a co zapomniane, odnowić — rozumiesz, Włastek? Ja ciebie na rękach nosiła ja cię chodzić uczyłam, ja cię mówić zmusiłam, ty nasz, ty krew nasza, trzeba, co tam było, zapomnieć.

Pokiwała głową starucha.

— Niby to my nie wiemy, co od Niemców ludzie wynoszą. Swoje u nich bogi zapominają, a my tu cudzych nie cierpiemy. Wiesz, Włast, tam na Pomorzu przychodził jeden z nowym bogiem do nich, to go zabili... I dobrze zrobili, dobrze! Nasza ziemia do naszych bogów należy, a cudzy tu nie będą panowali, nigdy! Posyłają przodem swojego boga, aby im ziemię zawojował, a z nas niewolniki uczynił? Tak! my to wiemy!

Zmilkła trochę i nie poczęła wyciągać długą, a potem kręcić na kolanach wrzecionem, gło-

wą tylko potrząsając! czekała snąć, aby Włast coś jej odpowiedział, ale wnuk milczał. Myśli mu różne chodziły po głowie, nie wiedział od czego ma rozpoczynać.

Starą to utwierdziło w przekonaniu, iż winowajcę przed sobą miała i znowu, mrucząc, zaczęła.

— Słuchaj, Włast, słuchaj! — ojciec na ciebie wczoraj patrząc, smęcił się, radując, boś ty nam odmieniony powrócił. Gdyś był dzieckiem, to cię z konia zsadzić nie można było i do izby napędzić. Pamiętam sama, żeś tak ciskał oszczepem, że nim ptaki bileś, a teraz ty to potrafisz?

— Nie — odezwał się Włast. — Nie, babo miła, teraz oszczepu w rękę nie trzymałem dawno, lecz, wierście mi, nauczyłem się wielu innych rzeczy, które się u nas przydadzą.

— Mówże, czego? — spytała Dobrogniewa.

— Patrzałem, jak tam około roli i ogrodów chodzą, jaki ład około domów, jakie budowania kamienne.

Starucha ręką z wrzecionem zaczęła wywijać w powietrzu.

My nie rolnicy, to chłopska rzecz — odezwała się. Władki syn nie potrzebuje roli patrzeć. Jemu do tego nic! — na to są parobcy i bartnicy, chleba stanie. Wasza rzecz — koń, dzida i oszczep.

Włast zmilczał znowu.

Dobrogniewa poczęła mruczeć coś niewyraźnie, podniosła na niego zaczerwienione oczy, jakby krwią zasłała i przędła.

Ze starą mówić nie było można; zmilczał wnuk i widząc, że ona też rozmowy nie rozpoczyna nanowo, byłby odszedł, gdyby niewyraźne jej mruczenie, znowu się w głośniejsze nie zmieniło.

— Zabili tego na Pomorzu! zabili! — mó-

wiła do siebie niby. — Dobrze zrobili; zdrajca był, na Niemców ich chciał nawracać, do niewoli. Włóczęgą mu piersi przebili. Kamieniem głowę roztrzaskali, dobrze zrobili. Ciało wilkom rzucili, dobrze uczynili, dobrze!

Oczy starej zwróciły się ku miejscu, gdzie stał nieruchomy Włast; sądziła, że go ustraszy, ale na bladej twarzy wnuka nie widać było najmniejszego śladu obawy. Uśmiechał się łagodnie.

Milczeli potem oboje. Włast jeszcze się wstrzymywał i po długim wahaniu przybliżył do staruszki.

— Dziękuję wam za przestrożę — odezwał się — serce ja macierzyńskie natchnęło, ale babuś kochana, gdy tu szedł po dobrej woli, wiedziałem, co mnie czekać może i że na gody nie idę, ale na trudne życie. Tęsknota mnie do was i miłość przyprowadziła i powinność... Więc jeszcze za przestrożę dziękuję!

Stara pogroziła mu palcem.

— My cię oplakali, myśmy cię kochali, ale Niemca z siebie zrzucić, bo choć nasza krew, my cudzego tu nie zniesiemy, nie! Taka ja, a ja co? Wiedźma stara; — ale taki ojciec twój i tacy my wszyscy.

Domawiając tych słów, wrzecionem trzy razy uderzyła w ścianę, przy której siedziała. Na ten znak zaszeleściło coś i Hoża nadbiegła. Tej stara wskazała na Włastą, jakby nakazując, aby go sobie wzięła i siostra skinąwszy nań poprowadziła go na pierwsze podwórze.

Od wczora ledwie słów parę przemówili do siebie. Hoża była ciekawą, skorzystała więc ze swobody i na ławie z nim usiadła na przedsienu, wpatrując się w brata z zajęciem wielkiem. Włast nieśmiało patrzył na nią.

— A Włastku ty mój — poczęła zwolna się ośmielając, — co tu za tobą leż się wylało i prze-

kleństw na Niemców poszło! Biedny ojciec, jak on nigdy zapomnieć nie mógł, że ranny obronić nie potrafił porwanego! A któż nawet pomyślał, że ty kiedy powrócić możesz do nas? Chyba mnie się to jednej czasem śniło. Ale mówże, mów, co się działo z tobą i gdzieś bywał i jak cię oni męczyli! a mów! Wczoraj słuchałam podedrzwiami, gdy cię ojciec pytał i małość co mu powiedział. A przede mną możesz wszystko a wszystko.

Włast z uśmiechem dobrotliwym patrzył na nią.

— Powoli to się wszystko wypowie — począł — odrazu trudnoby się zrozumieć, Hoża moja. Było mi zrazu bardzo źle, bo mnie jak niewolnika postrzygli i do ciężkiej pracy wzięli. A żem zręczniejszy był, choć nie bardzo silny, potemem w piecu u pana palił i u stóp jego łóżka sypiał. Czasem mi tarczę i oszczep nosić dawał. A coś z rok to trwało. Aż się na zamku zrobiła wrzawa wielka, że cesarz z obcej ziemi przyciągnie na wiosnę.

— A któż to jest? — spytała Hoża.

— Jest to pan nad wszystkimi panami, kneziami i ich królami, i nad ziemiami wszystkimi, które on jednym odbiera, drugim daje jak chce. Na rozkazy jego stawia się wszyscy i służą mu. I mój też zaraz, ludzi zebrawszy, na święta ciągnął do cesarza, gdzie mnóstwo ludu już było z dalekich ziem. Dostało mi się z nim też pojechać do noszenia tarczy i włóczni, i ze dworem razem ciągnęliśmy do grodu, gdzie cesarzowi mieli kłaniać się i dary przynosić wszyscy. A żem w domu sokoła czasem nosił, który był bardzo piękny i mądry, przystroiwszy mnie, pan mój wraz z sokołem cesarzowi ofiarował.

Poszedłem tedy z niewoli mojego małego pana w niewolę wielkiego — a raczej w niewolę

niewolników jego, ale tak chciał los mój. Tu krótko pobywwszy, cesarz, obdarzywszy kneziów swych i markgrafów i urzędników, nazad do południowej ziemi państwa swojego ciągnął, i ja z nim z sokołem i ze dworem.

Gdy Włast mówił tak, a Hoża, sparszy twarz na rękach, z uwagą mu się przysłuchiwała — doszedłszy do tego miejsca, wstrzymał się nagle, jakby przypomniawszy przed kim mówi. Pomilczawszy dopiero i myśli zebrawszy, dodał krócej, zbywając siostrę.

— Tamem w tym kraju przebywał długo, ale mnie cesarz dał innemu panu, który nad świątynią tego kraju pewno starszym był. Więc i u niego i przy niej służył, zapatrując się na ich obyczaje.

A potem — dodał zrywając się i spuszczać oczy — darowano mnie wolnością, bo starzec u którego służył, dobry był i serca miłosiernego. Pozwolili mi iść, kędym chciałem, dawszy na drogę odzież i suknię i co było potrzeba, a polecając mnie ze dworu do dworu dla bezpieczeństwa. I tak z panami jadącymi do Niemiec, to z jednym to z drugim w ich orszakach, dobiełem się na Łabę; tęsknica mnie za wami wzięła i przebiełem się aż tutaj...

Umilkł Włast, a ona jeszcze słuchała.

— Jestże to inny kraj niż nasz, ten, w którym byłeś tak długo? — spytała.

Włast się uśmiechnął i westchnął.

— Niema w nim zimy — rzekł. — Cały rok zieloność trwa i kwiaty tam kwitną, a jeśli czasem niebo się zachmurzy i z deszczem śnieżek po-pruszy, znika tak, że go chyba w powietrzu zobaczy. I dziwnie tam piękne niebo i słodkie powietrze i owoce smaczne.

— A ludzie?

— Ludzie — opowiadał Włast — czarni i opa-

leni i gwałtownego serca, ale rozumni i wspólniali zarazem.

— A wiecie?

— Domy i grody, o jakich nam się nie śniło. — Po jakimś narodzie, co tam panował, olbrzymie mury zostały i niema domostw, tylko kamienne a wysokie kamieniem wykładane drogi, a rzeki górą płyną w korytach ze skał kuty.

Dziewczę niedowierzająco bratu w oczy spojrzało. Włastowi świeciły źrenice i usta się śmiały.

— A! — mówił — więcej tam daleko cudów jest, niż moje usta wypowiedzieć mogą, a twoje serce uwierzyć. W kamiennych tych domach skarby są zaczarowane, złoto i kamienie jasne, i ze złota a kruszczu lane i rzezane postacie jak żywe. Jakież to język wypowie? A któż opisze tego cesarskiego dworu wielkość i potęgę, i tych wojaków w żelazo pookuwanych całe zastępy, któreby mogły świat zawojować! I przepych ich sukni, ich wozów, koni, i mądrość ich kapłanów.

Nagle Włast zamilkł, a Hoża milcząc zawsze jeszcze słuchała.

— A! — zawołała pocichu. — Jakże się tobie, bracie, wydadzą teraz lasy nasze, i drewniane dwory i puste kraje. Ty będziesz śnić i tęsknić za tamtymi! A nam, gdyby złote obcywano góry i nie wiem jakie niebo, — ach, ja bym nie mieniała kraju bez zimy na nasze smutne noce burzliwe!

— I ja bym nie mieniał — przerwał Włast, — i nie zatęsknię ani za dwozem, ani za złotem, — ale za jedną zatęsknię rzeczą...

Głos mu cichł zwolna i ustał.

Siostra, uśmiechając się, patrzyła, a myślała, jaka ta jedna rzecz być mogła, za którą brat

jej miał tęsknić. Rumieniec okrył twarz, serce uderzyło — myślała w duchu.

— Wiem!

Ale powiedzieć nie śmiała i twarz ukryła w dłoniach.

Włast też jakby się domyślał czegoś, pokraśniał i zadrżał.

— Hoża moja — rzekł, — za czem ja tęsknić będę, to ci kiedyś powiem, nie dzisiaj; ale to wiedz, że ani za człowiekiem, ani za stworzeniem żadnym, ani za bogactwem, ani za skarbem żadnym ja tęsknić nie będę, tylko za czemś, co nad wszystkich ludzi, nad skarby wszelkie, nad życie nawet jest droższem. Ale dziś, to musi dla ciebie, siostró moja, tajemnicą pozostać.

Zamilkł Włast. Hoża zbladła i nie odezwała się. Sparta na rękę, zadumała się głęboko, któż zgadnie, o czem? o kraju bez zimy, o tem, co nad skarby droższe, o tajemnicy brata, o innych ludziach i światach?

Od kilku już chwil stojący nieco opodal Jarmierz, patrzył na nich okiem ciekawem i zazdrosnem, jakby ich chciał podsłuchać. Przy nim stały dwa konie pokryte sukniem i do jazdy gotowe. Jeden z nich zarżał i Włast drgnął mimowolnie, posłyszawszy głos jego.

Spojrzał, — Jarmierz dawał mu znaki; czas było po staremu na koń sięść i rękę do oszczepu wprawiać nanowo. Niechętnie wstał Włast, — ale musiał być posłusznym.

III.

Naznaczonego dnia na Krasnogórę zawczasu się zaczęli zjeżdżać sąsiedzi.

Na przyjęcie ich we dworze wszystko już było gotowem, lecz że się wielu spodziewano, a dwór, acz obszerny, nie starczył dla tylu gości; dzień się zaś obiecywał pogodny, bo od rana białe tylko chmurki przebiegały po niebie, a wiatr chłodnawy powiewał ze wschodu. W lasku za dworem poustawiane były w cieniu drzew starych długie stoły z tarcie, ręcznikami szytymi czerwono pookrywane.

Do przyjęcia gości niewiele naówczas było potrzeba, gdy wszyscy z jednej czerpali miśsy i z jednego krajali sobie mięsa nożami, które każdy miał u pasa. Proste kubki do napoju służyły, a z wytoczonej beczki nalewano do dzbanów, które po stole krążyły. Pańskie stoły tylko bogatszym kruszczem naczyń się różniły.

Zamiast w kuchni, u ognisk na podwórku piekły się całe kozły, barany i dziki.

Cała służba niewieścia od rana w wielkim była ruchu, a stara Dobrogniewa, choć nie rzucała kądzieli, niespokojna często się wlokła zaglądać, co się z jej dziewczętami działo, zwłaszcza, gdy głośniejsze śmiechy od strony ognisk się rozległy. Naówczas stara wychodziła ze swojego zakątka i rękę z wrzecionem, którego nigdy nie puszczała, podnosząc do góry, niemą tą groźbą zmuszała zbyt wesołą gawiedź do chwilowego milczenia.

Wkrótce jednak potem, gdy groźne widmo znikło z oczów, zaczynały się szeptu i rżenia, rosły, podnosiły się, śmiech ogarniał znowu i zwyciężał strach, a rodził wrzawę.

Od rana Luboń w najpiękniejszym swym

stroju z sukna cienkiego, sznurami szytym i taśmami, chodził, rozglądając się dokoła domu.

Taką samą suknię jak sobie, na znak następstwa, kazał wdziąć synowi, odziewszy go zupełnie jednako. Mieczyk mu dobrano podobny i wszystek przybór, a przykazanie było, aby się od boku ojcowskiego nie oddalał.

Jarmierz stał na czele pacholków i służby. Żłoby dla koni wcześniej pozasypywano owsem; siano świeże zapełniało drabiny; pomyślano wedle praw starej gościnności, aby i ludzie i konie i psy głodne nie były. Wielu bowiem jadąc, psy z sobą zabierało, aby, przez pola i lasy jadąc, nie próżnować.

Już kilku bliższych sąsiadów w podwórku z gospodarzem rozmawiało, na syna spoglądając, a żaląc się nad nim, iż blade a mizernie powrócił do domu, gdy zatętniało i szybkim konia pędem wpadł na podwórze barczysty, zarosły, zasapany człek, wesołego oblicza, oczu wypukłych, rażny a butny, i z konia skoczył, mimo otyłości, jak młody chłopak, ale cugli jego z rąk nie puszczaając, z nim razem podszedł do gospodarza.

Ten skinął, aby mu konia wzięto, ale przybyły oddać go nie chciał.

— Ja zaraz powracam — rzekł. — Słowo tylko. Szczęśliwy Luboniu, panie mój... dobrą wam zwastuję nowinę... Mieszko, pan nasz miłościwy, zasłyszawszy, że u was gody, sposobi się też przybyć, choć nieproszony. Bałem się, abyście frasunku stąd nie mieli, gdyby niespodzianie was zaskoczył... Wziąwszy więc konia, na przelajem się puścił lasami... byście w gotowości byli na przyjęcie pana miłościwego...

Luboń pobladł trochę i czoło pocierał.

— Wielka to cześć dla domu mojego — rzekł — miłościwego pana gościć... anim wart...

— Miłuje bo was nad innych — odparł zasapany poseł.

Luboń głowę skłonił pacholcowi, który stał niedaleko; miodu kazał podać, aby się przybyły pokrzepił, ale na twarzy więcej widać było zakłopotania, niż radości.

Miód wnet przynieśli, a Stogniew, który był u dworu knezia starszym, pił za zdrowie gospodarza i syna jego.

Potem ledwie okiem rzuciwszy po podwórzu i zebranej drużynie, rękę podał i już na konia się sadowił, a tak rażno znów na grzbiet mu skoczył, iż się aż patrzący zaśmieli. Ręką ich pozdrowiwszy dokoła, do wrót nazad ruszał; ledwie za nie wyjechawszy, konia pocisnął i już tylko tuman kurzu zwijał się przez półko bez drogi ku lasowi.

Luboń też zaraz znikł. Szedł do znanego kamienia, na którym stara prządka siadywała.

— Matko — rzekł — licha nasza dola, choć cześć wielka... Knezia będziemy mieli, Mieszek przybędzie... A nie co go tu prowadzi, ino Hoża, bo mu już świeżej trzeba... Niechże się schowa, aby jej nie było... bo kocha on mnie, kocha... miłuje i czei, ale córkę od studni schwycić każe, aby tylko mógł...

Potrząsł głową stary. Dobrogniewa też wstała, biorąc kądziel z sobą i poszła zaraz wnuczki szukać.

Było w obyczaju, że niewiasty gościom, zwłaszcza dostojniejszym, służyły, jadło i napoje przynosiły, sługi doglądały zdaleka, chociaż do stołu z mężczyznami nie siadały nigdy. Sposobiła się więc i Hoża wystąpić jako gospodyni i przybierała właśnie w izdebce. Dwie skrzynie malowane stały otworem, a niewieście stroje porzucane leżały. Hoża tylko co lśniące kosy posplatawszy, wianuszek ruciany świeży miała kłaść na nie, gdy starucha z nieodstępną kądziela na progu się ukazała.

— Hej! — rzekła. — Stroju by tego dosyć

było... bo wam dziś rumianego liczka na gorące słońce nie wystawiać... Zaświeci nam tu takie, że spalić może i twarz i wianuszek zwarzyć... Niechaj Hożę główka boli... bezpieczniej w chłodzie przesiedzieć południe...

Dziewczę zdziwione patrzyło, gdy stara przystąpiła szepecząc.

— Mieszko, kneź, przybędzie tu... już o nim ojciec wie... i nie chce, byś się pokazywała.

Spłonęło dziewczę, i ręce jej od wianka opadły.

— Cóż ci żal? — zapytała starucha. — Ej! czego znowu? Wleż na strych, a odsuń dranicę... będziesz wszystko widziała... a ojciec nie chce, aby na ciebie patrzano.

Hoża siadła na tapczanie i głowę zwiesiła.

— Wola pana a ojca, — będąc posłuszną — ozwała się. — Ani mi tak bardzo żal... aleby mnie też nie zjadł oczyma!

Dobrogniewa głową kiwała.

— Co ty wiesz, przepiórko ty młoda! — poczęła mruczeć. — Co ty znasz?... Oczy jedzą! oj! jedzą oczy! a z kneziami dziewczętom nie żartować. Już on cię, prawda, napatrzył raz, już słali od niego, że za siódmą by cię brał, a ojciec mu powiedział, tylko za jedną i jedyną ją dam... A no, co? wówczas syna nie było? tyś mu była córką i synem... teraz Własta ma, czemu by cię za siódmą nie miał kneziowi dać...? Choć — ciszej mówiła stara — z tego syna, z tego Własta, nikomu nie będzie pociechy... Niemiec w nim siedzi...

Widząc dziewczę zasmucone, stara się do niej zbliżyła, pogłaskała ją po głowie, usta do czoła przyłożyła, westchnęła i powoli wyszła napowrót.

W podwórku i pod drzewami coraz zaczynało być ludniej i gwarniej. Przybywali z okrzykami przyjaciele, powinowaci, sąsiady z daleka

nawet. Każdy przynajmniej ludzi i koni z sobą miał dziesiątek, więc czeladzi gromada jeszcze była większa niż gości. Za szopami, gdzie się to wszystko zbierało i gdzie już stało piwo, chleb i pieczone mięsa, wesołość i ochota też większa była, niż między panami. Śmiech kiedy z tamtej strony buchnął, jak grzmot się rozlegał.

Już słońce się miało ku południowi, gdy sługa, posadzony na duchu, aby zdala o kneziui znać dawał, począł wołać, że od Poznania tu- man kurzu się toczy. Luboń tedy z synem i powinowatymi a rodem całym i przyjaciółmi wyszli za wrota z chlebem i powitaniem, aby pana przyjąć poczestnie.

Kneziowie już ówczesni całę inną, niż dawni mieli władzę. Sto lat wojen z Niemcami i sąsiady łupieżcami, choć jednego rodzaju a niezgodnymi, zwiększyły potęgę wodza i urósł mu zastęp zbrojny co go otaczał; o wiecach dawnych, radach i swobodzie ledwie się kto śmiał odezwać. Jak czasu wojny kneź był już panem życia, śmierci i majątności, a choć zważał na to, by ludzi nie drażnić i starszyznę czcili, nikogo o to nie pytał, co chciał poczynąć, a co chciał to poczynił i dokonał.

Piastów ród też niesrogi był, gdy zleży woli przeciw sobie nie widział; pamięć w nim jeszcze żyła, że z ludu wyszedł i między kmieciami powinowatych miał. Ale przeciwnieństwa pan znosić nie chciał, aby nieładu nie dopuścić. Lękano się więc knezia i szanować musiano, i była przy nim siła wielka, a może większa, niż za onych czasów, gdy Pepelków zrzuceno za srogość i ciemięstwo.

Nim się orszak kneziowski ukazał, wszyscy goście z gospodarzem na czele u bramy już stali.

Mieszko, dojeżdżając do Krasnogóry, zwolnił koniowi kroku, i mieli mu się czas przypatrzeć

jak przodem na siwym koniu, w bok się wzięwszy, z pańską miną, głowę do góry wzniosłszy jechał, uśmiechając się wesoło.

Odziany był płaszczem lekkim, a na sobie miał odzież letnią, ale naszywaną bogato, pas cały nabity złotem ozdoby i pióro białe u czapki. Miecz też u pasa w pochwie wisiał złotej, sadzonej kamykami drogiemi. Na koniu siedzenie było purpurowe, lice także w rękę. Poznać w nim łatwo mógł każdy wojaka, tak na koniu bezpiecznie siedział i wiódł go, ani się nim troszcząc, choć siwy mu się rwał i zżymał.

Mieszko w samej był sile wieku, dorodny i urodziwy, brodę miał ciemną, postrzyżoną, włos piękny, długi, spadający na ramiona, oko choć ciemne, szafirowym blaskiem jaśniało, zarazem siłę wyrażając i dobroć, i radowanie się życiu a wesele. Usta podobnie rumiane, wydatne, wyraz miały męskiej dobroci i zdały się stworzone, by smakowały we wszystkim, co im świat jako panu podawał. Choćby na sobie nie miał oznak dostojęństwa, poznałby już w nim każdy pana i władzę, nawykłego do rozkazowania, pewnego, iż mu wszyscy posłusznymi być muszą, a okraszającego swą siłę dobroduszością i miłością.

Piękna twarz Mieszka, rumiana, świeża, oko pełne, czoło białe, pociągały ku sobie, ale czuć było w nich, że gdy je oblał promień gniewu, strasznie się mogły zmienić i stać groźnymi. W wejrzeniu też nie wszystko się wypowiadało, co było we wnętrzu, choć napozór oko patrzyło niezmrużone, wprost na ludzi, czasem błysnęło ono jakimś ogniem w głębi, jakby płomień buchnął z duszy, i wnet uśmiechało się znowu. Tak samo usta, drgały czasem dziko i wracały do dobrodusznego wyrazu.

Kochali go ludzie, ale drżeli przed nim razem, a przyboczni wiedzieli, że choć się na nie

patrzeć nie zdawał, widział wszystko. Co dziwniejsza, były rzeczy, które odgadł, jakby je widział, choć podpatrzeć nie mógł. W dzień wesela, jak dziś, gdy jechał Mieszko zabawić się u ziemianina swojego, wyglądał raczej na sąsiada dobrego, niż na pana, ale gdy na wojnę konia dosiadł i do ręki miecz wziął, drżało przed nim, co żyło.

I w zamku swym, w Poznaniu, gdy ze starszyzną się rozrywał przy kubku, albo ze swojemi niewiasty żartował, zdał się miękki, a jakby do niewieścich tylko bałamuctw stworzony, bo się w nich lubował też bardzo; ale to trwało tylko dopóki nie zapalono wici i na wojnę iść nie trzeba było. Zmieniał się wówczas rozkoszny pan na surowego wojaka, który ani głodu ani chłodu się nie zląkł...

Ze swemi się zabawiając, można sądzić było, że tajemnicy żadnej nie miał, a otwarty był do zbytku; znali go przecie bliźcy, że więcej wiedział, niż powiedział, i chytrym być potrafił, gdy tego nastąpiła potrzeba.

A z Niemcami tak umiał być, iż go najbystrzejsi nie zbadali. Co w myśli miał, tego nigdy nikt odgadnąć nie mógł. Starszyzna, co koło niego chodziła, co go mówiącego słuchała, nieraz by była poprzysięgła, że jutro wypocznie, że na jutro o niczem nie myśli, a o świcie pan, co wczoraj dziewczętom sobie śpiewać kazał, jakby o niczem nie myślał, konia dosiadł i na granicę biegł. Nikt nie wiedział ni dnia, ni godziny, kiedy zawoła na koń...

Ludzi miał niepozornych, odartych, co doń wchodzili i wychodzili dniem i nocą, na żebraków wyglądając; z temi się zamykał i kto wie, co im za rozkazy dawał, a co od nich za poselstwa odbierał.

Więc choć na pozór człek wesóły i pusty,

Mieszko u wszystkich poważanie miał, bo nad niemi rozumem stał wysoko.

Za kneziem jechało dwóch powinowatych jego przybocznych i Stogniew, co był nad dworem jego, i wojewodów dwu starych, i garść różnej młodzieży; wszyscy byli bogato przyodziani i zbrojni pięknie. Pan to był, co choć niewiele potrzebował dla siebie, wspaniałość lubił około dworu i ludzi.

Na widok Lubonia i orszaku jego, który stał z odkrytemi głowy, Mieszkowi twarz wesółą jeszcze się piękniej rozpogodziła. Konia wstrzymał, a podczas gdy Luboń do nóg mu się skłaniał, po ramieniu go uderzył, pozdrawiając. Drugim też głową skinął, a ci się do ziemi zgiąwszy, pokłon mu oddawali. Pacholek już konia brał i Mieszko zręcznie z niego zeskoczył.

— Ojcie Luboniu — rzekł, — nie prosiliście mnie na obchód wasz, a jam się wam sam zaprosił... Nie przyprowadziliście mi syna, więc sam go widzieć przybyłem.

Na te słowa Luboń, Własta przyprowadziwszy, paść mu kazał do nóg pańskich, co gdy się stało, a Mieszko się ciekawie chłopakowi przypatrywał, rzekł gospodarz stary:

— Syn mi w niemieckiej niewoli przywiadł i zbiedniał, odżywić go chciałem nieco, nimby z nim przyszedł z powinną głową do stóp pańskich...

Mieszko po ramieniu dłonią poklepawszy Włastę, który milezący powstał, począł wiedziony przez gospodarza iść ku stołom w cieniu drzew ustawionym. Tu dla niego wcześniej wzniesiono stolicę, wyższą nad inne ławy, i Luboń całą ją okryć kazał sukniem, a nad głowami knezia także sztukę sukna rozwieszono na gałęziach dwóch drzew tak, iż go od słońca i wszelakiego powiewu lub spadających liści chroniła.

Gdy szli, mogli postrzedz wszyscy, iż kneź się rozglądał wszędzie; jakby kogoś szukał oczyma, i gdy pod drzewami zdaleka ukazały się stojące w bieli niewiasty, które posługiwać miały, naprzód w tamtą stronę rzucił wzrokiem, i jakby zadowolony, spuścił go prędko. Przez czoło jak pas przeszyła marszczka jakaś i znikła.

Siadł tedy pan na wyższym miejscu, przed którym zaraz kubki i misy postawiono, aby wybierał co chciał, i gospodarz sam z synem mu posługiwali. Drużyna opodał na ławach miejscza zabrała.

Ochoczo po skwarze wychyliwszy kubek Mieszko, gdy podano misę, dzban i ręczniki, naprzód ręce umył i otarł, poczem chleb i mięso i białe kołaczki i wszelaką strawę przed nim ustawiono, aby pożywał jako chciał.

Ani go prosić było trzeba, bo jadł rad i pił dobrze, a znał go Stogniew i inni, że długo się z jadłem zabawiać nie lubił. Głód zaspokajał prędko, pragnienie gasił powoli: potem zaś, gdy było z kim, rad żartował i powiadać sobie kazał, co kto umiał i mógł. Był bowiem pan wszystkiego ciekawy, pamiętający, cokolwiek kiedy w życiu słyszał i niegardzący rozumem niczym, chociaż swojego miał dosyć.

Gdy jadł jeszcze a Luboń z Włastem przy nim stali, ozwał się zrazu do starego.

— A krasnej córki to waszej nam nie pokażecie?

— Chora mi jest od wczora — rzekł Luboń, — na głowę leży... Upał znać jej zaszkodził.

Na to nie dał odpowiedzi żadnej. Począł się we Własta wpatrywać a pytać, co gdzie przez te czasy robił i bywał; zasłyszawszy coś od ojca, iż na dworze cesarskim bywał i do dalekich krajów na południe z nim jeździć musiał, poruszył się mocno, ciekawiej jeszcze wpatrując

się w bladego młodzieńca i ciągle mu zadając pytania, na które ten krótko tylko i pomieszany odpowiadał.

Stogniew, który się też dowiedział o losach Własta, szepnął zaraz Lubonowi, iż kneź ciekaw niemieckich obrotów, pewnie syna jego na dwór zawezwie, aby mu o nich powiedział.

Nic nie odrzekł na to ojciec, bo mu się też serce ścisnęło.

Tymczasem u stołów ochota, choć poszanowaniem dla knezia hamowana, powoli coraz się żwawszą stawała.

Na onych ogromnych misach i deskach, na których pieczone mięsiwa stały, widać już tylko było resztki kości poogryzanych, a i te rzucano psom, bo ich cała gromada, domowych i gościnnych, stoły otaczała.

Chwilami powstawała między niemi pod stołami, sroga walka którą ledwie panowie mogli pohamować.

Rosły z tego śmiechy nowe a bujne. Dziewcętom też roznoszącym przy stołach napój i strawę, dostawały się wesołe żarty, od których kraśnieć i oczy sobie musiały zakrywać.

I wesoło bardzo zrobiło się pod drzewy, a ktoby był miał czas spojrzeć ku dworowi uważnie, dostrzegłby był może na dachu odsuniętej draniczy i czarnego oka, które przez mały otwór przypatrywało się wesołej biesiadzie.

Przed Mieszkiem postawiono w ostatku jagody leśne i mleczywo, a stary miód, Piastowie pamiętający czasy i obstała knezia gromadka starszych, a wszczęła się zrazu pusta rozmowa o koniach i o łowach, ale wnet w inną drogę zboczyła.

Mieszko postrzegł średnich lat mężczyznę, stojącego nieco na uboczu; zrazu jakby go nie poznał, wlepił w niego oczy i dumał, chcąc so-

bie go przypomnieć! Potem do Stogniewa się obrócił i palcem na tamtego wskazując, rzekł:

— Dobrosław ci to Wiotki, albo się mylę?

— On sam miłościwy panie... — rzekł Stogniew.

— Co go tak długo widać nie było? — pytał kneź. — Kędyż się zadział... chory był albo zdziczał w lesie?...

Stogniew podstąpił do pana tak, aby nie mógł być od innych słyszany i szepnął mu.

— Na Czechy jeździł, gdzie sobie na dworze królowej Drahomiry pokrewną jej dziewczkę zaswatał... A no... ludzie prawią, jakoby i ona innej wiary była... i on może dla niej na inną przyszał.

Kneź nie odpowiedziałwszy Stogniewowi, na Dobrosława skinął.

Mężczyzna to był w wieku Mieszkowym, dojrzały, wyrosły jak dąb i śmiałego, otwartego oblicza. Znano go jako wojaka mężnego i otwartego słowa człowieka, który prawdę mówił i gotów ją był dłonią popierać.

Ulekli się więc wszyscy, aby się biesiada nie zamąciła gniewem pańskim, bo Dobrosław na ostatnią wyprawę nad Łabę się nie stawił. Stogniewowi przykro się zrobiło, iż do tego powód dał. A Dobrosław na skinienie szedł śmiało bardzo, do nóg się skłonił, jak należało, ale przedko głowę podniósł i spojrzał w oczy kneziowi niezłękniomy wcale, oczekując, co mu rzecze.

— Gdzieżeś to samopas tak długo gościł, Dobrosławie? — zapytał Mieszko. — Wołaliśmy was do boku i nie przyszliście...

— Darujcie, miłościwy panie, domam nie był... żonę sobie szukał... — począł otwarcie Dobrosław.

— Albo to doma jej znaleźć było trudno? — spytał kneź.

— O dziewczki u nas niema biedy — rzekł

Dobrosław. — Alem do tych, które znałem, serca nie miał... Dwie żon miałem z sąsiadów, obie mi pomarły... chciałem indziej szczęścia szukać...

— I kędyżeście bywali?... — bez gniewu i spokojnie począł pytać kneź.

— Zabiłem się aż na Czechy i na dwór króla Bolesława... tamem żonę zaswatał.

Mieszko zmileczał, popatrzył na Dobrosława i na tych, co dokoła stali, głową potrząsł.

— Cóżeście tam widzieli na tym dworze? pewnie co lepszego, niż u nas? Oni tam już Niemcom służą i sami do nich stali się podobni.

Dobrosław potarł brodę myśląc.

— Niemców tam nie widziałem żadnych, ni też niemieckiego obyczaju — odezwał się, — a dużom się przecie nauczył, miłościwy panie, bo oni na to się do Niemców zbliżają, aby lepiej wiedzieli, jak ich pożyć...

— A królaście widzieli? — zapytał Mieszek chmurno.

— Jakby nie? Na łowym z nim jeździł... i u dworum stawał niejedyn raz... napatrzyłem się go dosyć.

— I co o nim trzymacie? — wtrącił kneź mierząc oczyma Dobrosława.

Znów myślał nad odpowiedzią zapytany, a pochylił głowę i oczy w ziemię wlepił.

— Miłościwy panie—rzekł—mąż jest silny... tyle tylko wiem, mąż przebiegły wielce a władzy chciwy... lepiej go mieć druhem niż wrogiem... tyle tylko wiem — powtórzył.

Teraz Mieszko nie rzekł nic, z kubka popił i na mówiącego popatrzył długo.

— Jutro na łowy pojedę — ozwał się po namyśle — pojedziecie i wy ze mną Dobrosławie.

Ten głowę pochylił i ustąpił; trwało milczenie trochę, skinął pan na Lubonia.

— Syna mi przyslijcie na zamek do Poznania... przy dworze go chcę mieć.

Usłyszawszy to stary, pobladł, zawahał się, mimowolnie ręce mu się splotły załamane.

— A! miłościwy panie! Jedynak on u mnie i tyle go lat nie było!...

I Luboń do nóg mu się chciał rzucić, gdy Mieszko ręką go za ramię chwyciwszy, śmiejąc się, wstrzymał.

— Odbierać go wam nie myślę! — zawołał. — Ale opowiedzieć mi musi, co u Niemców widział. Na to mi jest potrzebnym... Oddam go wam napowrót, nie bójcie się... A po coby mi się zdał zresztą? — dodał Mieszko — blady i słaby... nie do miecza znać urósł, albo go tam tak tą niewolą wycieńczyli...

— Luboń westchnął.

— Chciałem — rzekł — aby go tu odkarmiły baby moje i żeby biedę wydychał.

Kneź ruszył ramionami i nie odpowiadając już, na Stogniewa skinął, co on w lot zrozumiałwszy, pacholkom zdala stojącym dał znak, aby po konie szli. Mieszko nazad się wybierał do domu.

A jak tu przybył wesołym i dobrej myśli, tak dostrzegli wszyscy, iż po rozmowie z Dobrosławem i Luboniem już mu na czoło sęp wystąpił i usta się krzywić poczęły.

Może też spodziewał się najrzuć tu Hożę, którą dobrze pamiętał, a tej mu nie pokazano...

Gdy z siedzenia kneź się ruszył, wnet wszyscy też poczęli wstawać z ław i cisnąć się ku niemu. On szedł nie patrząc na nikogo, prosto do wrót, gdzie już konie i poczet stał w gotowości. Tuż za nim kroczył Luboń z synem, Stogniew i inni, przeprowadzając.

Więc gdy siwego podawano, gospodarz podszedł dziękować i za nogę ścisnąć pana, co też Włastowi uczynić kazał. Mieszko się trochę rozchmurzył.

— Nie skąpcieź mi syna — odezwał się do Lu-

bonia, przysyłajcie go, jeżeli nie jutro, bo na łowach będę, to trzeciego dnia... A nie obawiajcie się o niego, bo go głodem nie zamorzę i nie mu się złego nie stanie u mnie...

Nie nie odpowiedział Luboń, a Mieszko skinieniem głowy pozdrowiwszy otaczających, na plecy małego chłopaka, który je podstawił panu, jedną nogą się oparł i konia dosiadł raznie. Inni też do swoich się brali, aby za nim nie pozostać i cały orszak książęcy z kopyta żywo od wrót popędził drogą, gdy zebrana przy Luboniu drużyna, czapki w górę podrzucając okrzykiem go ścigała.

Znikł już w tumanach pyłu kneź, a gromada stała jeszcze patrząc za nim. Luboń milezący zdawał się wolniej oddychać. Z panem oddalił się dwór cały, można było mówić swobodnie.

— Dobry pan — ozwał się Dobrosław. — A no, patrząc nań czujesz, że pan, choć to kmiecia krew nasza...

— Ani być winno inaczej — dodał Luboń, — bo pocóżbyśmy go nad sobą wysadzili, gdyby panem a wodzem nie umiał być?... Niech się go ludzie boją, byle się Niemcy lękali...

Na wspomnienie Niemców uśmiechnął się Dobrosław.

— Daleko nam do tego — rzekł, — by się oni nas obawiać mieli, mnieby na tem było dość, abyśmy się ich mogli przestać lękać... Patrzałem ja na nich zblizka...

I nie dokończył. Czekali wszyscy zaciekawieni, lecz Dobrosław odstąpił kroków kilka i już mówić nie miał ochoty.

Gdy przed kneziem Mieszkiem Stogniew o nim opowiadał pocichu, Luboń i Włast stali nieopodal, a Włast usłyszał, iż go za wyznawcę nowej wiary miano... Zarumienił się, spoj-

rzeł ciekawie na niego i radość mu w oczach zabłysła.

Teraz, gdy Luboń do miodu i piwa gości swych prosił, a Dobrosław nieco na bok ustąpił, zbliżył się ku niemu nieśmiało Włast i rzekł cicho.

— Chcę mówić z wami... chodźmy sami...

IV.

Nie bardzo zważano teraz, co się z gośćmi pozostałymi działo; szedł każdy, gdzie chciał: jedni na żarty, gdzie biała pleć stała opodał na usługi gotowa, drudzy do kadzi... inni do psów, z którymi się chwalono, tamci do koni. Luboń starszych częstował.

Miał więc Włast sposobność między drzewa wprowadzić Dobrosławę, gdzie sami we dwu byli... Ten, dawszy się wziąć, pierwszy pytać nie rozpoczynał; — czekał, wpatrując się w młodzieńca, idącego niespokojnie i widocznie niepewnego, jak ma zawiązać rozmowę.

Gdy już odeszli tak daleko od innych biesiadników, że im ich gałęzie zasłoniły, Włast poruszony, ze łzami niemal w oczach, żywo odpiął suknię, szczelnie na piersiach zasłonioną, i ręką dobywszy z pod niej zawieszony na sznurku mały krzyżyk złocisty, ukazał go Dobrosławowi.

Na widok znaku tego, niespokojnie obejrzał się Dobrosław zdumiony widocznie... chwycił to znamię, przyłożył do ust i pocałował... Tak się dwaj bracia w Chrystusie pośród pogan poznali.

Włast schował natychmiast to godło, i uści-

snął Dobrosławę... ze wzruszenia mówić jeszcze nie mógł.

Stali oba niemi, przejęci, strwożeni, ale szczęśliwi, że się zbliżyli i poznali.

— Skąd wiedziałeś, żeś ochrzczony? — zapytał Dobrosław.

— Musi to być wiadomem powszechnie — rzekł Włast... — bo Stogniew o tem półgłosem kneziowi zwiastował...

Zamyślił się Dobrosław smutno...

— Nie darmo mnie też wezwał jutro na łowy! — westchnął. — Co tam mnie czeka... Bóg wie jeden.

Włast uściśnął go drżący...

— Kneź by was miał prześladować? — zapytał.

— On, nie — odparł Dobrosław. — Ale się boi narodu, który w swoje bogi wierzy i przy nich stoi. Ciekawym jest pewnie nowej wiary, wie, że ją czescy panowie przyjęli... że ona i u nas i wszędzie zawładnąć musi, — ale nim się to stanie, wyleje się wiele krwi, wiele krwi!...

Zadumany Dobrosław powtórzył to kilka razy, wzdychając.

— Powiedz mi co o sobie — dodał, jakby przebudzony, idąc w las dalej. — Gdzie ciebie ochrzczono?

— Na dworze cesarskim... chrzcił mnie pan i biskup Rawenny... po chrzcie, przygotowali mnie na kapłana i — kapłanem jestem...

Gdy tych słów domawiał chłopak, z pokorą spuszczać oczy, Dobrosławowi zajaśniały źrenice; załamał ręce, podniósł je nad głowę i o mało wielkim głosem nie krzyknął. Pochylił się zaraz, sięgając po rękę Własta, którą pocałował z pokorą, a ten krzyż mu nad schyloną zakreślił głową...

— Tak, kapłanem jestem — mówił pociachu. — I wróciłem dlatego, aby tę wiarę szcze-

pieć między swemi... a trwoga mnie ogarnia, jak tego, co pada i nie ma gałęzi nad sobą, za którą by się uchwycił. Wy mi bądźcie tą gałęzią, miły bracie w Chrystusie... Radźcie mi... Dni już wiele świętej nie mogłem spełnić ofiary... wszystko co mnie otacza... odgaduje mnie i grozić mi się zdaje. Nie mam do kogo rzec z duszy słowa... Ojciec groźny, babka gniewna zmuszają mnie do życia, którego prowadzić nie mogę... Co pocznę?

Zamyślił się Dobrosław długo.

— Ojciec mój — rzekł — bo cię ojcem, chociaż młodszego nazwać muszę. — Ja jedno tylko wiem, iż tu między narodem naszym, który Chrystusa nie zna, wiele przebaczone tym, co przybyli nawracać... Tak było w Czechach, nim kościoły stawiać poczęto i wyznawać wiarę, za którą Waclaw zginął, a bratobójca ją trzymać musi, i pokutę odprawiać. Nas chrześcian... utajonych tu jest wielu... a dla ochrony życia, milczeć musimy i cierpieć.

— Jest wielu? — podchwycił Włast, składając ręce jak do modlitwy — mówicie, iż wielu nas jest?

— Ale więcej jeszcze tych co na nasze czynią życie — dodał Dobrosław. — Bądźmy cierpliwi, bądźmy ostrożni, a ufajmy Bogu naszemu, który cuda czyni... tak mnie w Pradze na Hradzie nauczano...

Mówili jeszcze, gdy nadbiegł szukający Własta niespokojny Jarmierz, bo się ojciec o niego dopytywał i słał za nim; musieli się więc rozstać, aby podejrzenia nie obudzać i Dobrosław inną drogą udał się ku biesiadującym.

Jarmierz dziwnie jakoś popatrzał za odchodzącym. Między nim a Wlastem stosunek był i uczucia do określenia trudne. Dla dawnego ulubieńca pańskiego, którego się przy-

branem dzieckiem być spodziewał, Włast nie był miłym. Jarmierz złego mu nie życzył, a nie mógł jednak wstrzymać się i pohamować zazdrości.

Usiłował zbliżyć się do niego od pierwszego dnia, Włast mu był przyjaznym, serdecznym, a jednak czuł Jarmierz, iż mu się całkiem nie zwierzał — i że między nimi stała jakaś zaporą, co ich dzieliła. Obawiali się jeden drugiego...

— Cóż to się stało, żeście z Wiotkim odeszli? — zapytał Jarmierz.

— Pytać mnie chciał o Niemcy, jak i inni — rzekł Włast. — A mówiąc, odeszliśmy w las, sami o tem niewiedząc.

I na tem zakończyła się rozmowa. Syn do ojca pośpieszał, bo go po jednym już odjeżdżającym sąsiedzi żegnali, a Luboń u boku swojego syna mieć chciał, aby z nim przyjaciółom dziękował.

Stary jak poprzedzających tak i tego dnia na oku miał syna, niepokoił się nim. Jarmierz mu o modlitwach jego i praktykach jakichś niezrozumiałych donosił; domyślał się w nim, jak stara Dobrogniewa, skrytego chrześcijanina, i wiarę tę nową wytępić w nim co najrychlej pragnął. A zdało się starymu, iż tego łatwiej nieczem dokonać nie potrafi, jak dając mu żonę i nałamując go do obyczaju swojego, do łowów i wojny.

Właśnie tego dnia ze starym Słomką, powinowatym sobie, Luboń się był przy kubku rozmówił na osobności. Słomka miał córkę Mładą, dziewczynę lat piętnastu, piękną bardzo, której wdzięki słynęły już na okolicę.

Jak inni tak i Słomka, obawiał się o swoją, aby mu jej na dwór do Poznania za siódmą czy ósmą dla Mieszka nie wzięto, bo baby la-

tały po całym kraju, żon panu dostarczając... a krasa za posag stała.

Wzdychał Luboń, przyznając się przed powinowatym, iż się o Hożę lęka, a on tak wyznawał, że ma strach o Młodą.

— O tę się bać nie masz co — rzekł, rękę mu kładnąc na dloni Luboń. — Daj mi ją dla syna... Poślę swaty... jak jej czepiec włożą, — nikt nie będzie śmiał dotknąć, by najpiękniejszą była. Daj mi Młodą dla Własta!

— Czemu nie? A byle więcej nie brał już więcej nad tę jedną — rzekł Słomka.

— Niema u nas tego zwyczaju; — jeno u kneziów, u takich, których bujna krew każe zapominać o sromie... — Myśmy wszyscy po jednej mieli — mówił Luboń.

— I my z wieków — dokończył Słomka — a gdzie u ogniska dwie albo trzy, tam ni ładu, ni wstydu, ni pokoju... Dam Młodą za Własta...

Ścisnęli się za ręce.

— Ale starym obyczajem — ze swaty i obrzędem... a niech ją Włast choćby najrzy przódy, bo przeciw woli dziecka nie chcę ani dać, ani narzucać.

Luboń się uśmiechnął.

— Dwoje młodych, a czemu by woli ku sobie nie mieli mieć? — odparł. — Nasza tu, nie ich wola ma rządzić...

Poszeptawszy jeszcze z sobą, rozeszli się zgodni...

A gdy Włast do ojca przybył, aby z nim zegnać odjeżdżających, i Słomka przystąpił, Luboń kazał synowi do nóg mu się pokłonić, choć nie mówił dla czego.

— Stary druh i powinowaty nasz — zamruczał. — Jak ojca go pożegnaj.

Włast posłuszny spełnił wolę jego.

Jeden tak za drugim sąsiedzi, naprzód dalej mieszkający, potem bliżsi, rozjeżdżać się za-

częli, a ostatni już późną nocą, o młodym księźcu ruszyli.

I Hoża wyszła teraz z ukrycia swojego świeżem powietrzem odetchnąć.

Włast był znużony i na uboczu siadł spoczywać. Służba zabierała stoły, kubki po ziemi leżące, próżne kubły, dzbany i kadzie...

W dali słychać było śpiewy odjeżdżających. Wieczór cichy, spokojny po dniu pełnym wrzawy nastąpił.

Luboń ze starą matką szeptali coś pociachu, gdy Włast, któremu już dano wolność, po krótkiej rozmowie z siostrą, do swojej szopki wysunął się na modlitwę.

Ale tu na niego czekał Jarmierz. Miał czas się rozmyśleć, ciążyło mu to, że z Włastem szczerze się zejść nie mógł, chciał z nim pomówić otwarcie. We drzwiach szopki się spotkali, Jarmierz zwyciężył zazdrość i niechęć, jaką miał do dawnego towarzysza młodości, i idącego za rękę ujął.

— Właście — rzekł cicho. — Siadźcie tu trochę, ja z wami chcę jak brat pomówić otwarcie, — pozwólcie.

— Owszem, bracie mój — mów... ja ci życzę dobrze.

— I ja wam, piorun niech mnie ubije, — prawdę mówię, — zapalczywie dodał Jarmierz. — Będę szczerym... Dwanaście lat was nie było... stary tęsknił do ostatka i przetęsknić nie mógł. Nie było kogo kochać, polubił mnie... jam Hożę pokochał. Szło na to, że ja mu synem bym miałem — teraz... powiedzcie co teraz będzie?..

Włast go uściśnął.

— Jarmierzu mój — odezwał się. — Jeżeli cię Hoża kocha, a ojciec pragnie, czyż ja bym ci stanął na przeszkodzie? Ja wierz mi, bracie! ja... nie i nikomu nie odbiorę... nawet to, co mi po ojcu należy... ja ani pragnę mieć, anim

zdolny tem władać. Widzisz mnie — słaby jestem, nie wojak...

Spuścił głowę... Jarmierzowi żal się go zrobiło i uściśnął go w milczeniu.

— Ja też wam nie myślę ojcowizny odbierać — rzekł, — ani bym mógł ni chciał; pomóżcie mi tylko do Hożej, a bądźcie mi bratem. Przysiążmy sobie braterstwo... i służmy sobie, starym obyczajem — jak pobratymcy.

— A! mój Jarmierzu, bez innej wszelkiej przysięgi, odezwał się Włast — zawierz mi, bratem ci jestem i będę.

— A ja ci dam pierwszy dowód — odezwał się Jarmierz zniżając głos, — że ci dobrze życzę i bratem jestem... Was stara babka i ojciec i wszyscy posadzają, żeście wy nową wiarę przyjęli.

— A gdyby tak było? — wzdychając cicho zapytał Włast.

— Niech to złe odejdzie od nas! — zawołał Jarmierz. — Nie mówcie tak, ani się przyznawajcie do tego, ani myślcie...! Nie znacie starej Dobrogniewy: strułaby was choć wnuka... Nie znacie ojca... wyrzekłby się was, jak wroga!

Głos mu się trząsł, mówiąc, ale przestraszony, zniżył go i kończył szeptem cichym.

— Nie mówcie tak, bo to być nie powinno i nie może... Luboń by na to nie pozwolił nigdy... Ale posadzają was... ja sam, — może ja sam winienem temu... ja nie wiem! Pytali mnie — mówiłem, że jakieś dziwne przed nocą i rano odprawujecie obrzędy — przyznaję się — możem nie powinien był mówić o tem.

Włast milczał.

— A gdyby was tam i zepsuli — ciągnął Jarmierz, — trzeba, wróciwszy do domu, do swoich bogów powrócić. Zmuszą was do tego... Słyszałem dziś, Luboń się ze Słomką umawiał, dadzą wam za żonę Mładę...

Włast oczy sobie zakrył i jęknął.

— Nie mów mi tego.

— Cóż to pomoże? — kończył Jarmierz. — Młada, widziałem ją raz w lesie z matką, piękna jak bogini Dziewanna... biała, smukła wesoła, z oczyma niebieskimi... Ona was, wy ją pokochacie...

— Bracie mój — po chwili posepnie odezwał się Włast, — coście wy mnie mówili, poszło z pocziwego serca... — I ja wam wyznam wszystko — tak... ja jestem chrześcijanem i nie przestanę nim być, choćbym za to umrzeć miał!

Nastąpiło milczenie długie... Jarmierz patrzył zdziwiony na niego i głową trząsł.

— Ojcu musicie być posłuszni!

— Tak, lecz mam w niebiosach Boga mojego, któremu winienem większe jeszcze posłuszeństwo...

Mowa ta była już dla Jarmierza niezrozumiałą, lecz pytać się nie śmiał; uściśnął Włast, który odzyskiwał powoli przytomność po krótkim wzruszeniu, co mu ją było odjęło.

— Spokojnym bądź — odezwał się do Jarmierza. — Nasz Bóg opiekunem jest i cuda czyni, ale mu wiernym pozostać potrzeba. Bądź spokojnym. Jeśli ojciec mój ziemski ojca mojego niebieskiego zdradzić mi każe, pójdę ztąd... zostaniesz ty sam i będziesz staremu dziecięciu i pociechą.

— Jakto? porzuciłbyś wszystko? ojca? siostrę? dom? bogactwa wasze? dla...

— Tak — odparł Włast. — Nie pytaj mnie dla czego i kogo. Ja ci więcej powiedzieć nie mogę dziś... ale ci przysięgam — porzucę wszystko, abym ocalił więcej, niżeli to wszystko!

Zadumany, przelekły prawie Jarmierz stał przed nim, słuchając i uszom nie wierząc, patrząc i nie wierząc oczom, bo twarz Własta za-

miast być smutną i strwożoną, promieniała weselem i jakby dumą zwyciężką.

Dokończywszy tych słów, Włast uściskał prawie wesoło Jarmierza, i nie kryjąc się już przed nim, ukląkł wnet na modlitwę...

Ta także była dla poganina jakimś zdumiewającym zjawiskiem. Przy obrzędach pogańskich widywał szal i obłąkanie prawie, nie widział nigdy człowieka tak spokojnie, ze łzami, z męztwem rozmawiającego z niewidzialnym duchem. Czuł on, że to była rozmowa, że w ciemnościach tej nocy, dla oka niedostrzeżona potęga jakaś dźwigała tego tak słabego na pozór człowieka, dając mu siłę i męstwo dziwne. Wszystko, co mu Włast powiedział, dawało do myślenia, napępniało trwogą, jak objaw nowy świata nieznanego...

Jarmierz zamyślony stał tak patrząc na modlącego się Własta i dreszcz go przebiegł jakiś.

Modlącemu mieniła się blada twarz, oczy jaśniały blaskiem dziwnym, piękniejszym się stawał, innym. Jarmierzowi zdało się, że jakaś jasność otaczała głowę młodzieńca.

W cichości, na palcach z trwogą cofnął się do szopki i przystanął w jej progu, nie mogąc pochwycić wątku własnych myśli. Własta mu żal było, a przytem ciekawość gorącą obudzała ta tajemnicza jakaś wiara, co taką dawała siłę, takie męstwo słabej istocie, taką pogardę wszystkiego, co człowiekowi najdroższe.

Stał wsparty u słupa, niemy, aż dopóki westchnienie i ruch nie oznajmiły mu, że Włast wstał i zabierał się do spoczynku. Naówczas i Jarmierz zwłókł się na swe posłanie, nie mówiąc słowa, okrył opończę, i nie mogąc zmruczyć oka, pozostał tak prawie do dnia brzasku...

Następnego dnia Luboń, który nalegał ciągle na syna, aby się przyuczał do męskiej za-

bawy, kazał Jarmierzowi jechać z nim na łowy, w las, sam po dniu wieczorajszym czując się znudzony... Zbudził więc Jarmierz zawczasu Własta, który pomodliwszy się, posłuszny jechać z nim musiał.

Dodano im psy i kilku ludzi w pomoc, i nim rosa oschła, a we dworze żywszy się ruch rozpoczął, ruszyli z Krasnejgóry lasami wprost do ostępów, w których zwierza się znaleźć spodziewali.

Włast jechał milczący, jak gdyby jeszcze się modlił. Jarmierz za niego i za siebie łowów musiał dozierać, gdyż Luboń sam łowiec doskonały, ścierpieć nie mógł powracających z próżnemi rękami.

Granice puszczy naówczas nie były tak ściśle oznaczone jak później, a panującemu służyło prawo łowów wszędzie gdzie chciał. Byli właśnie w ostępie, wskazanym przez ludzi, w którym stado kóz napewno znaleźć mieli, gdy Jarmierz, przodem ciągle podążający, zawrócił się nagle ku Włastowi i dał mu znak, aby się zatrzymał. Pachołcy, towarzyszący im, a z boku straż trzymający, cofnęli się nagle, jakby przestraszeni. Włast nie wiedział, coby to oznaczać miało, gdy Jarmierz nadbiegłszy, szepnął mu, że Mieszko właśnie w tej puszczy polował. Musieli więc niezwłocznie uchronić i szukać sobie gdzieindziej zwierza.

Jeszcze rozmawiali z sobą, gdy z za gęstwiny ujrzeli wychodzącego knezia, za którym kroczył Dobrosław. Oba zdawali się więcej zajęci rozmową, niż myśliwstwem. Orszak łowców knezia pozostał był w tyle, a Mieszko uważnie się przysłuchiwał, co mu towarzyszy opowiadał. Mieli już ustąpić, gdy kneź podniósł głowę i Własta zobaczył. Poznał go zaraz i po namyśle skinął nań.

Młodzieniec zsiadłszy z konia i zdjawszy

z głowy okrycie, pieszo się zbliżył do knezia, który stał, lekko oszczep trzymając w ręku.

Dnia tego na łowach, kneź odziany bardzo prosto, bez żadnych oznak dostojności, mimo sukni szarej i czapki, jaką wszyscy nosili, Mieszko przecież tak pańsko wyglądał, że w nim władającego krajem wodza poznać było łatwo.

Dobrosław też wojacką i piękną miał postać, ale gasł przy tym silnym i rozkwitłym bujnie mężu, który samym wzrokiem wrażał posłuszeństwo.

Na zapytanie, co w tym lesie poczynął, Włast rzekł, iż z rozkazu ojcowskiego na łowy jechał.

— Wyślijcież łowców swych, gdzie chcą — rzekł Mieszko — a sami, gdy już tu jesteście, zostańcie przy mnie.

Choć nie bardzo rad rozkazowi pańskiemu, Włast szepnął słów kilka Jarmierzowi, który natychmiast ustąpił ze swemi, a sam za Dobrosławem stanąwszy, nie wiedząc, gdzie się ma podziać i co czynić, pozostał, czekając dalszego rozkazania pańskiego.

Chociaż na łowach byli, nie zbierało się na żadne myśliwstwo. Dwór pozostawiwszy za sobą, Mieszko szedł, jakby przechadzki używając, rozmową z Dobrosławem zajęty. Ustała ona, gdy Własta postrzeżono; Mieszko stanął, jakby namyślając się, wiszący na ramieniu róg mały do ust wziął i parę razy się ozwał.

Zaszumiały wnet gąszcze z obu stron i liczna gromada nadbiegła. Kneź zawołał do siebie Stogniewa.

Stali właśnie na malej łączce, zewsząd drzewami ocienionej. Mieszko się obejrzał dookoła; ziemia była wilgotna. Kazał z koni zdjąć sukno, posłać je na trawie i legł na niem. Przy-niesiono kobiałkę z pieczonem mięsiwem i ba-

ryłkę miodu, którą przed kneziem ustawiono. Dobrosław i Włast stanęli opodał nieco.

— Stogniew — rzekł kneź. — Wy poprowadźcie łowy, ja spocznę. Dobrosław i Włast Luboniów zostaną przy mnie. Jeśli na nas napędzicie zwierzynę, tem lepiej, a nie...

Ruszył ramieniem i skinał ręką.

Zrozumiawszy wolę knezia, Stogniew skoczył do ludzi, co się zdala byli kupą ścisnęli i począł wydawać rozkazy. A nim krótka upłynęła chwila, kneź sam pozostał z dwoma towarzyszami.

Oczyrna zmierzwszy baczenie dwór swój, który śpiesznie i wrzawliwie w las pędził, Mieszko popatrzał na Włast, jakby go okiem chciał wybadać i zbliżyć mu się rozkazał.

— Tyś był między chrześcianami? — zapytał. — Długo?

— Dwanaście lat, miłościwy panie, — odparł Włast.

Poruszył głową Mieszko.

— Znasz więc ich dobrze?

— Lepiej niż teraz mój własny kraj — odezwiał się zapytany.

Zdawało się, że jeszcze pytanie jakieś na ustach knezia krążyło. Włast z trwogą myślał o tem, co pocznie, jeśli go Mieszko spyta, a żali i on chrześcijaninem nie został? Sumienie nie dozwalało mu zaprzeczyć się Chrystusa, a wyznając wiarę, nie miałże, jak ci, o których mu opowiadano w Rawennie, cierpieć za nią męczeństwa i śmierci? Myśl ta przeleciała błyskawicą i zrodziła w nim raczej dumę niż trwogę!

Ale kneź, którego wargę się już poruszyła, zamilkł i nie zadał mu tego pytania. Przytomny Dobrosław, pobladł był, spoglądając na Włast. Nie można było odgadnąć co myślał Mieszko o chrześcijaństwie. Obok zamku stała kontyna pogańska Jessego i kneź chadzał do

niej, wyroczni pytał, wieszczków słuchał i obyczaj zachowywał stary. Wiedziano jednak od ludzi, że ilekroć trafiło się spotkać obcego i takiego, co z chrześcianami i chrześcijaństwem obcował i mógł je lepiej poznać, kneź troskliwie się dopytywał, badał, szczegóły sobie opowiadać kazał, a potem zamyślał dziwnie. Lecz w naturze miał to Mieszko, że do czynu skorszy był niż do słowa, i nie mówił, ani się zwierzał nigdy nikomu, co miał począć, wręcz rozkazy dając bez namysłu. Myśli też jego odgadnąć nie śmieli nawet najbliżsi; Stogniew przyznawał się, że ilekroć domyślać się chciał, omylił się zawsze.

Po tem pytaniu, które na wardze umarło, Mieszko pomileczał trochę, Własta kilkakrotnie oczyma jeszcze przemierzył z ciekawością, i obrócił się do Dobrosława.

— Mów — rzekł — jak ci się zdało!... są oni więksi i silniejsi od nas na Hradczynie, a Bolesławy te czeskie? są oni bogatsi? — są oni nam straszni?

A gdy Dobrosław z odpowiedzią się ociągał, dodał:

— Tak, jak Niemcy mają jedną stolicę i jedną głowę cesarza, tak naszej mowie trzeba jednego pana i jednej ręki, inaczej nas Niemcy zjedzą.

— Maż Bolesław tę siłę, aby zagarnął nas wszystkich i mnie? — mruknął Mieszko, ostatni wyraz prawie niedosłyszany wymówiwszy głosem. — Mów, a nie kłam mi pochlebstwem. Tych co mi nogi liżą, mam dosyć.

Dobrosław oczy trzymał w ziemię wlepione.

— Miłościwy panie — odezwał się, zwolna cedząc słowa, — jeżeli siłę na setki i tysiąc wojowników liczyć mam, tom ich nie rachował; nie wiem; jeżeli na rozum, to mi Bolesław nie

zdaje się mędrszym nad innych. Przecież on jedno wie, iż Niemców bić trzeba się u nich samych uczyć. Dlatego od nich nie stroni, często się łączy z niemi, kłania się im, ale tylko dlatego, aby ich zmógł lepiej.

— I przeto przyjął ich wiarę? — spytał Mieszko, w oczy patrząc Dobrosławowi.

Na odpowiedź nie rychło się zebrał zapytany i rzekł:

— Nie wiem...

Milczeli trochę, a kneź jadł i popijał, uśmiechając się jakby sam do siebie.

— Gdyby nas dwu poszło w zapasy z Bolkiem o lepszą — zaczął, — jak ci się zda, ktoby z nas został powalony?

— Kto losy wojny może zgadnąć? — odparł Dobrosław. — Ale pocóż wojnę poczynąć?

— Hm, wojna się sama począć może, nie poczynana przez nikogo... A co tam o nas trzymają?

Dobrosław zawsze zwolna zbierał się na odpowiedź.

— Wiedzą, że miłościwy pan silnym jesteś, ale oni tego, kto się do chrześcian nie liczy, groźnym nie sądzą.

— A dawnoż oni do nich przystali? — zawołał Mieszko szydersko. Drahomira matka Bolkowa i on, jeszcze się oboje kłaniali swoim bogom... Alboż Bolko chrześcijaninem jest? — dodał Mieszko. — Albo brata, co nim był, za to, że nim był, nie zabił?

— O tem na dworze knezia mówić niewolno — a szepeczą różnie, — rzekł Dobrosław. — Wacława zamordowali dworscy Bolkowi, sądząc, że na ich pana życie nastawał.

— A Ludmiłę? — podchwycił Mieszko szydersko.

— Spraw tych nie wiem dobrze — odezwał się Dobrosław, — ale to wiem, com na swe oczy

oglądał, że Bolko do świątyni nowej na Hradczynie chodzi i wiarę swą trzyma.

Mieszko nieco podniósł głowę i zwrócił ją ku Włastowi.

— A ty? — zapytał. — Powiedzże mi ty, co chrześcian znasz, jaka ta wiara ich jest? ciężka? straszna?

Niespodziewanie podchwycony pytaniem tem, Włast oniemiał zrazu, nie wiedział, co ma rzec, modlił się w duchu o natchnienie i sam nie wiedząc jak, odezwał się z zapalem.

— Miłościwy panie, wiara to jest, co za prawdę człowieka szczęśliwym czyni, zbroją mu jest, karmią mu jest, światłem i siłą!!

Słyszac te słowa Dobrosław pobladł, ale spojrzal z poszanowaniem i z trwogą niemal na natchnionego młodzieńca.

Kneź też, nie spodziewając się odpowiedzi tak śmiałej, oniemiał na chwilę, oczyma przełękłemi zmierzył mówiącego i mruczał sam do siebie. Włast stał, gotów choćby na męczeństwo.

— Mówią — odezwał się — że człowieka ona dręczy i morzy i wzbrania mu wszystkiego, — prawda-li to jest?

Młodzieniec, który już czując się natchnionym z góry, ważył się choćby na życia utratę, nie mierzył więc słów swoich.

— Miłościwy panie — począł — gdy człowiek bierze z pola dzikiego konia, albo sokoła z gniazda, aby go nauczył i rozumu dał mu siłę, musi go morzyć głodem, bezsennością i znużeniem; tak wiara czyni z człowiekiem dzikim, aby z niego zrobiła istotę nową na obraz Boży.

Mieszko zmarszczył brwi, powtarzając dziwnym głosem.

— Na obraz Boży! na obraz Boży! coś ty rzekł...?

— Tak uczy ta wiara! — powtórzył Włast.

Kneź oczy spuścił i zadumał się. Zdawało się, że zapomniiał na czas jakiś, kędy był, z kim i co go otaczało. Mileczał zatopiony sam w sobie. Włast stał przestraszony razem i dumny sobą.

— Na obraz Boży! — powtórzył raz jeszcze Mieszko — więc ta wiara daje człowiekowi siłę nadludzką?

— Tak jest, miłościwy panie — rzekł Włast. — I zwycięstwo i potęgę i panowanie — mówił Mieszko.

— Daje, gdy człowiek na nie zasłuży.

— A czemu je kupić może? — pytał Mieszko. Włast mileczał nieco.

— Miłościwy kneziu — rzekł — nie w kilku słowach da się zamknąć ta wiara pełna tajemnic i cudów, ani ją usta ludzkie wypowiedzieć zdolają łatwo. Cuda ona sprawia, lecz na nie ciężko pracować potrzeba!

— Ale je za skarby też i bez pracy kupić można? — rzekł kneź.

— Nie — odparł Włast; — złoto i skarby są tam rzeczą pogardzoną i marną.

Mieszko poprzestał pytać. Zdawało się, że się lękał zwrócić oczów na śmiałego chłopca. Wzrok skierował ku Dobrosławowi znowu.

— Zaszataliście sobie dziewczkę na dworze Bolkowym, mówią ludzie — odezwał się, nieco zniżając głos. — Musi to prawdą być? Pojedziecie do Pragi, nad Hradszyn?

— Czyżbyście miłość wasza zbronił mi tego? — rzekł Dobrosław.

— Nie bronie — rzekł Mieszko, — owszem, posłem chcę was mieć. Jedźcie do Pragi, ale nikt o tem wiedzieć nie ma, co rzeknę.

Zwrócił się do Własta, dając mu znak, by i on mileczał.

— Ani mówcie, żem ja was posłał na

zwiady — kończył kneź, — ale od siebie na dworze pytajcie, ażaliby nie radzi mnie tam byli? Ażaliby Bolko z Mieszkiem nie podali sobie rąk i nie połączyli się przeciw wspólnemu wrogowi? Mówcie od siebie — nie ode mnie, bo się nie godzi, abym ja prosił; mnie tylko rozkazywać przysłało. Zrozumieście ich, gdybym przybył do nich, jakby mnie oni przyjęli?

Wzrokiem dokończył kneź.

— Rozum miejcie — dodał.

— Uczynię wedle rozkazania — z radością prawie odezwał się Dobrosław.

— I nikt o tem wiedzieć nie ma! — powtórzył kneź.

Tych słów dokończywszy, podniósł się rzeźko Mieszko, stanął, podparł w boki i uszu nadstawił.

Od kilku chwil już psów głosy na ostępie słyhać było i zdało się, jakby się one zbliżały coraz. Mieszko oszczep wziął do ręki i nakazał milezenie.

Las grał zdala ogarów gonem. Z okiem zaognionem kneź pośpieszył kroków kilkanaście naprzód. Rozmowa, którą toczył przed chwilą, zdawała się już zapomniana, cały był w łowach, nie patrzył nawet na Włastę i Dobrosławę, którzy za nim pozostali, czekając rozkazów.

Coraz wyraźniej słyhać było pogoń za zwierzem, chrzęst gałęzi i okrzyki. Mieszko za grubym pnem dębu stał z niecierpliwością namiętnego myśliwca.

Wtem w krzakach chrapanie i łomot się dał słyszeć tuż prawie i stary dzik ze spienionym ryjem wypadł, dysząc, z gęstwiny, wprost na knezia i w tejże chwili oszczep jego tkwił już głęboko, ciśnięty silną dłonią, w zakrwawionej bestyi, która rzuciwszy się jak wściekła, biegła na Dobrosławę.

Miał i on oszczep w rękę i uskoczywszy nieco, uderzył nim na dzika.

Włast ustąpił, nie wiedząc, co ma czynić, lecz tuż nadbiegli kneziowscy ludzie, którzy rozjuszony stworzenie chwycili i przytrzymali; psy też rzuciły się na pastwę i dzik legł zwyciężony na ziemi.

Radosny okrzyk ozwał się po lesie. Kneź zdala patrząc obojętnie, kazał Stogniewowi sobie konie podawać i łowy na ten dzień były skończone.

Już na konia wsiadłszy, rzekł kneź Dobrosławowi, aby do domu wracał, a Włastowi za sobą jechać polecił i cały orszak zebrawszy się w gromadę, mileząc posuwał się ku grodowi do Poznania.

V.

Gród wznoszący się na prawym brzegu Warty nad Cybiną, nie odznaczał się na oko wspaniałością wielką, ale rozległy był i dosyć warowny, choć mógł się nie lękać napaści, bo go samo oddalenie od nieprzyjaciół broniło.

Wysoki wał opasywał go zdala, ostrokoły i tyny obejmowały drugim kołem, domostwa jednak w nim zawarte, wszystkie były z drzewa i stołbu nawet murowanego nad nim nie było widać. Ziemny usyp obejmował razem kneziowskie dwory, świetlice, komory, stajnie, swirnie, odryny, szopy i nieopodal od rzeki odosobnioną stojącą świątynię Jessego, którą otaczał maleńki gaj prastarych drzew tak, iż jej zdala z pośrodku zielonych gałęzi prawie widać nie było.

Zbudowana wzorem innych kontyn, opie-

rała się na słupach rzeźbionych i malowanych, między którymi wiszące sukienne opony zastępowały ściany. Za nimi dopiero był przybytek osobny, kapłanom tylko dostępny, drewnianymi ścianami zamknięty. W pośrodku chowano stanowiska wojenne, noszone na wysokich tykach posążki bogów, które miasto chorągwi służyły: tu wróżbici i gęślarze będący na straży, opowiadali przyszłość za pomocą ognia, wody i ziemi.

Nie rozkazywał tu nikt, okrom samego pana, który był razem władcą świątyni i zamku. Pod jego rozkazami stali wróżbici, wieszczkowie, śpiewacy i wszystka posługa przy chrampie. Gaj święty, który go dookoła otaczał, stanowił granicę, której swawolnie przekroczyć nikomu się nie godziło.

Świątynia była zarazem skarbcem wojennym i książęcym. Stała przy niej straż przez dzień i noc, przemieniając się nieustannie.

Od niej na gród i na dwór Mieszków nie było daleko. Zalegały domostwa pańskie przestrzeń znaczną, a pobudowane były wszystkie na kamiennych podkładach, z drzewa grubego ciosanego i wyrznanego misternie, malowanego w barwy kraśne. Gdzieniegdzie potworna głowa jakiegoś zwierzęcia, wyrobiona dziwacznie, wznosiła się u dachu i przyczułów.

Od przodu dworu były izby i komnaty rozleglejsze, z ławy i stołami dla zgromadzeń większych przeznaczonemi; w każdej z nich na stopniu podwyższonym stało siedzenie pańskie, czyli stolica kneziowska, suknem krasnem okryta.

Wielka w niektórych sprzętach prostota łączyła się z przepychem i bogactwem dziwnie od niej odbijającym. Tam, gdzie zwykle biesiadowano w dniu uroczyste, kute jakby od siekiery i młota leżały i stały mnogie naczynia

ciężkie, ze srebra a nawet złota, niektóre kamieniami ledwie oglądzonemi nasadzone.

A ktoby był zajrzał do skarbcu, gdzie łupy wojenne składano, zdziwiłby się mnogości niezmiernej na stosy zrzuconych naczyń, blach i sztab kruszczów drogich. I na orężu, jeżeli nie dla całych zastępów, to dla pańskiej drużyny, też nie zbywało, a był on zdobyty w części na pobitych Niemcach, w części na przybyłych ze wschodu i zachodu. Spotykały się tu rzymskie oręża dawne i wschodnie z Azji przyniesione, kaftany łuskami naszywane ręką wprawna i kawały blach zbroi miedzianych i żelaznych; łuki z nad Czarnego morza, topory normandzkie, siekiery nadreńskie, miecze z krajów, których imienia nikt nie znał, wyroby północy i południa, włoskie i scytyjskie, z czasów różnych, ze światów wielu, drogami handlu i wojny zwleczone na kupę.

Dwór książęcy był liczny, bo stanowił przyboczne wojsko Mieszka. Co najlepsi wojacy stać tu musieli zawsze w pogotowiu, tak jak po innych grodach, przy żupanach i starostach oddziały czekały ciągle na zawołanie, wraz z panami swymi. A gdy na wojnę iść było potrzeba, skinał tylko Mieszko, wychodząc ze swojemi, aby inni za nim szli, i ciągnęło, co żyło.

Liczba tych pułków co roku rosła i zwiększała się, ale co roku też i niebezpieczeństwo od Niemców, już panujących za Łabą po Odrę, powiększało się i mnożyło. Z markgrafami u granicy, wdzierającymi się we wnętrze, walka była nieustanną.

Serbowie nadłabiańscy coraz się słabiej bronili, wiele plemion znękanych przeszło do wrogów i z nimi chodziło przeciw swoim na łupieżę; wkrótce cała waga niemieckich sił, sprzymierzonych z Czechami na Polanach i Mieszku miała zaciężyć.

Czuł kneź, że się teraz ważyły losy ludów jednego rodu i języka, i że on albo miał je bronić od zagłady, albo paść z niemi.

Najeżdżane też miry polańskie wszystkie już nie o starych swoich swobodach myślały, ale o własnej obronie, i choć kneziowska moc rosła, wołały jej ulegać, niż w jarzmo iść niemieckie.

Na rozdartych ziemiach Słowian działo się różnie, a walka wrzała ciągła; to się Niemcom poddawano z haraczem, to się burzono i opierano; jedni szli im hołdować i chrzest przyjmowali, drudzy się łączyli ku obronie. Godziny pokoju nie było. Samopas większa część plemion ratowała się jak mogła, w kupę się zebrać nie umiejac. Każdy z małych wodzów chciał wielkiej władzy. Ze starych czasów pozostały właśnie graniczne między jedнопlemiennymi, które teraz w wojnie z wrogiem odżywały. Gdy Morawy i Czechy już się były zwały w państwo jedno, naprzeciw nieprzyjaciółom, chętnie walcząc z niemi, — Polanów dopiero Mieszko skupiał, aby szli razem, sięgając i po dalsze rozbite plemiona.

Od lat już wielu nad Cybiną stało to ognisko, w którym się wszystko przygotowywało, co gdzie dokoła a zwłaszcza między Wartą a Odrą dziać się miało. Na osobnych gródkach siedzący mniejsi kneziowie poddali się władzy Mieszka, bo ich siłą do tego przysili.

Na samym grodzie i poza wałami jego, w szopach i chatach, w chłaznach i dworach, szeroko rozłożonych nad Wartą, u prawego jej brzegu, mieszkał żołnierz kneziowski, — sotnicy i tysiącznicy. Obok niego, ci co rzemiosło na zamku potrzebne sprawiali, lud od stróży, od posług, od posylek, od łowów i od wszelkich powinności pańskich, niewolnicy i parobcy.

A choć miasto było niepozorne i szare od postarzałych ścian drewnianych, zajmowało już przestrzeń znaczną. Na targi też tu przybywali kupcy z towarem różnym zdaleka, ze wschodu i zachodu. Ludność się na tysiące liczyła, cała grodowi pańskiemu służyła i podlegała.

Starszyzna wojskowa dalej siedziała w lasach, po dworach swych i gródkach, nad brzegami rzek i jezior osadzonych.

Przyboczny dwór pański był mnogi — równie dla okazałości jak wygodny. Co najdoborniejsza młodzież stała u boku knezia, mieszcząc w podwórzach grodowych.

W głębi, oddzielone od tej części, pod pilną strażą i zawarciem, siedziały żony pańskie i służba niewieścia.

Życie tu wiodło się więcej obozowe, wojacze, niż dworskie, bo każdej godziny wszystko w pogotowiu być musiało siadać na koń i lecieć, gdzie o niebezpieczeństwie od nieprzyjaciela znać dano.

Czasem też, gdy wieść przyniesiono, że Niemcy się nad Łabą pospali, albo na Pomorze bezpiecznie wtargnąć było można, gdy jaki wódz, a książątko przywlokło się, o pomoc prosząc i prowadzić obiecując, z dnia na dzień ruszało z grodu, co żyło, ledwie w nim garść na obronę zostawiwszy.

Dniem i nocą bieżono nad granicę, za rubieżę dla łupu i postrachu. A powracano różnie: raz z łupem i radością wielką, z niewolnikami w łyka powiązanymi, — czasem nocą w garści małej, pokrwawionej, za którą się zawstydzone kupki wlokły powoli.

Bywało różnie, chociaż za Mieszka dobrze się szczęściło, bo był i mężny i przebiegły wielce, na lada się posłuch nie kwapił, i dobrze ważył, nim się porwał.

Pan był milczący, ale gdy dobył głosu

a krzyknął, drżało, co ten głos usłyszało, i biegało, co żyło.

Tego wieczora, gdy z łowów na Cybinę powrócono, a z orszakiem pańskim blady i niepozorny Włast nadciągnął, zebrali się w podwórzu koło niego kupka niemała, bo go tu nikt jeszcze nie widział i odgadnąć nie umieli, po co go tu ścignięto.

Nie wyglądał on gość na wojaka, ani na możnego władzę; odziany był niepočetně, patrzył na ludzi nieśmiało. Któż mógł zgadnąć, na co się on tu zdał?

Stogniew ciekawej gawiedzi gęby pozamykał szepnawszy, iż był synem Lubonia, że długo u Niemców w niewoli przesiedział, więc i wszystkie ich tajemnice znał, a tem się mógł przydać kneziowi.

Własta zdał Mieszko na ręce Stogniewowi, poleciwszy, by o nim pamiętał. Niemniej jednak w pierwszej chwili, gdy kneź poszedł do swych niewiast na drugie podwórze jeść i spoczywać, a Stogniew dworem rozrządzić miał, Włast został sam na przedsieniu pod słupami, siadł na ławie, rozglądał się i niebardzo wiedział, co miał czynić.

Gawiedź się była wszystka rozeszła. Kilka psów, siadłszy naprzeciw niego, obcemu się przypatrywały, pomrukując. Wtem od wałów wolnym krokiem przywłókł się człeczyna, który nieznanego zoczywszy na ławie, przybliżył się do słupów prawie, by mu się pilnie przypatrywał.

Własta też mógł on zaciekawić, bo nie wyglądał jak drudzy, a odgadnąć było trudno, co na kneziowskim dworze robił.

Pięknym wcale nie był, krępy bardzo i zsiadły, nogi miał trochę krzywe, łeb duży, kręcącym się czarnym włosom pokryty. Z ust dobywały mu się dwa kły, dziwnie wyrosłe, tak, że war-

gi ich przysłonić nie mogły; nawet gdy głowę zaciskał, sterczały z niej żółte kości, nadając twarzy wyraz dzikiego śmiechu. Ogromne ręce, silne, grube, pięści jak młoty, kark krótki i żyłasty, pierś wydatna, szeroka, wszystko mu jakąś zwierzęcą nadawało cechę. Czoło też miał bardzo niskie, a ślepie świejące jak u kota. Dłonie, które ściśnięte trzymał, nie przymykały się zupełnie, bo ogromne rysie pazury nie dawały się im stulić. Sterczały one długie, pozawracane, śpiczaste, ostre, jak oreż do obrony. Prosta gunia okrywała ciało obrosłe włosami, na nogach miał grube płóciennne spodnie i nędzne wykoszlawione chodaki.

Takie potworne stworzenia chowali wówczas panowie do posług, tak samo jak oswojone niedźwiedzie i przyłaskawione wilki.

Gdy psy siedzące u słupów zobaczyły zbliżającego się, ogony wzięwszy pod siebie, uszły mu zaraz z drogi i pokładły się dalej, jakby go się lękały.

Dziki człek, bo na takiego wyglądał, podszedł tuż do Własta i zuchwale ze wszech stron poczał mu się przypatrywać.

— Coś ty za jeden he! — zamruczał wreszcie — ty, jakiś?...

Spokojnie i łagodnie zwrócił się młodzieniec ku niemu.

— A ty? — spytał.

— A ja?... Toć widzisz... jestem od psów, od padła, od stryczka, od gnoju i od śmiecia... nazywają mnie Psiajuchą... a ciebie?

— Cóż ci przyjdzie z nieznanego nazwiska?... Daj mi pokój — odparł Włast — nie masz do mnie...

— E? a kto wie? Zkądżeś ty?

— Z Krasnejgóry.

— To przecie nazwisko nie obce... — ode-

zwał się Psiajucha. — Ty musisz być Luboniów sługa.

— Lubonia syn.

— Oho! oho! — rzekł pacholek i skłonił się szydersko. — Tylko bieda, że Luboń syna nie ma.

— Nie miał go — rzekł cierpliwie Włast, — ale mu on powrócił.

Chciał się pozbyć natręta, lecz trudno to było; Psiajucha stał z założonemi rękami i wpa-trywał się uparcie.

— Chuderlawe to — poczał mruzczyć, jakby sam do siebie — blade, mizerne... poco się to tu zda? Komary go zadziobią... a chleb będzie żarł tak, jak drudzy!

Włast spojrzał nań; obrzydły pacholek ani się ruszał.

— Nie będzie tu z niego pociechy żadnej... ani babom nawet, bo to wymokłe... oneby się gzić rade... a to ledwie dysze... Poco to tu wzięli... Ja go do pomocy nie przyjmę... — Hej! — ozwał się głośniej, pełniąc swój obowiązek błazeński — miłościwy Luboniów synu, władzyko... nie wiecie, pocoście tu przybyli?

— Z panem miłościwym przybyłem — odezwał się Włast, choć miał wstręt do tej rozmowy.

Posłyszawszy to pacholek, mruknął i od-
dalił się. Nie było go dosyć długo i już Włast sądził, że się go pozbył zupełnie, gdy zwolna Psiajucha przywłókł się napowrót, stanął na-
przeciw niego i w milczeniu przypatrywać mu się zaczął.

— Toś ty u Niemców w niewoli przez dwa-
naście lat był? — ozwał się nagle — he?

— A byłem — sucho odparł Włast

— O! i pewno nową wiarę u nich wzię-
łeś — dodał pacholek. — A z nią tutaj pójdziesz
na gałęź! na gałęź! na gałęź!...

Włast mu na to nie odpowiedział.

Psiajucha wykrzywiwszy się strasznie, obie
pięści nastawił, zębami zgrzytnął i jeszcze parę
razy powtórzywszy:

— Na gałęź... nogami aż tupać zaczął.

Nie postrzegł tego, że Stogniew, widząc go
dokuczającego przybyłemu, wysłał chłopaka
z biczem, a ten z tyłu zaszedłszy, smagnął go
parę razy z całej siły po nogach.

Z razu chciał się nań porwać Psiajucha,
ale spostrzegłszy Stogniewa, odwrócił się za-
skowycał, zęby mu pokazał, klapnął niemi parę
razy i uciekł.

Psy ruszyły się i ujadać za nim zaczęły.

Takie było pierwsze na dworze pańskim
Własta przyjęcie.

Pozostał potem długo zapomniany w przed-
sieni, dopóki go Stogniew nie zabrał z sobą do
izby, gdzie wieczorny zastawiono posiłek. Zna-
lazło się tu trzech starszych ze dworu, którzy
razem do stołu zasiedli. Włast najpokorniejsze
miejsce zajmawszy, siedział milczący. Spogląda-
no nań niemal z politowaniem jakimś i po-
gardą.

W mężczyźnie za tych wieków wojen i siły
pierwszą było zaletą — siła pięści i zręczność,
a że Włast słabowito wyglądał, nie budził też
poszanowania dla siebie, choć wiadano, że był
synem możnego człowieka.

Stogniew i towarzysze jego, Rosław, pań-
ski podczaszy, i Mislaw, sotnik od straży,
spozierali nań ze wstrętem; wiedzieli, że długo
był z Niemcami i mieli go niemal za wroga.
Dziwno im było, że kneź na dworze go chciał
mieć.

— A no — ozwał się w końcu, jakby uli-
towawszy milczącemu, Stogniew. — Jakże wam
po niemieckiej niewoli u nas się wydaje?

— Nie wielem ci ja widział jeszcze, oprócz domu pana rodzica mojego — rzekł Włast.

— Widzieliście tam u nich murowane grody kamienne — odezwał się drugi szydersko, — musi wam po nich być tęskno... Ale te gnuśniki w ciepłym kącie siedzieć lubią i ryją się po norach... a my, dziś tu, jutro tam... nam drewnianej chałupy dosyć...

— Prawda, grody u nich piękne są — rzekł Włast — dostatek wielki... ale choć wygody lubią, wojować też umieją.

— Lepiej od nas? — podchwycił Mislaw prawie gniewnie.

— Jam nie wojak — odparł Włast, — na tem się nie znam.

— A na czymże wy się znacie? — zapytał Stogniew.

— Byłem w niewoli, — odezwał się Włast ośmielając się i mówiąc spokojnie. — Będąc w niewoli czyniłem po niewoli to, co mi kazano, służąc i sokołom, i koniom, i ludziom.

— Jakżeście się na swobodę dostali?

— W końcu widząc, że im się na niewiele przydał, dali mi ją sami... — mówił zapytany. — Użyłem jej, aby do domu powrócić.

— A doma? — spytał Stogniew. — Doma u takiego jak Luboń wojaka... cóż wy tam robić myślicie?

— Co mi pan rodzic każe...

Pokora ta i spokój, z jakim odpowiadał na nieco szyderskie pytania syn Lubonia, ton do którego ci ludzie nawykli nie byli, czynił na nich dziwne wrażenie.

Rosław i Mislaw śmieli się uzuchwaleni, widząc takiego bezbronnego, słabego człeka, który się nawet zagniewać nie umiał: — Stogniew czuł nieco litości.

Półgębkiem czynione żarciki z biednego

chłopaka, wywoływały mu rumieniec na licach; cierpiał, ale milczał.

Posiliwszy się nieco, już chciał wstać, by odejść i uwolnić się od tych towarzyszków, gdy komornik książęcy, sługa izdebny wszedł, pozrywając go do Mieszka.

Zmieniło to nieco usposobienia dwóch bujnych wojaków, a Włast żywo i z wielką ochotą, pokłoniwszy się im, z izdebnym pośpieszył.

Mieszko był jeszcze w drugim podwórzu, gdzie niewiasty jego mieszkały i gdzie sypialnię miał, w której odpoczywał.

Przeszedłszy pierwszy dziedziniec wewnętrzny, pełen psów i wrzawy, przez wrota zawsze zamykane, u których straż stała, wprowadził go komornik na drugie podwórze. W pośrodku jego był ogródek zielony i drzewa.

Zaledwie zaskrzypiały drzwi, z otwartych okien na lewo ujrzał Włast powychylane głowy młodziuchnych niewiast w białych chustach, z uśmiechem przypatrujących mu się ciekawie i dających znaki prowadzącemu go komornikowi. Chichotania stłumione dały się słyszeć; kilka strojnych dziewcząt wyrwało się z wnętrza, aby się znać obcemu przypatrzeć lepiej.

Komornik prędko wskazał mu drogę na prawo, pod słupami, które podsienie dokoła podpierały. Przez wielką sień potem weszli do obszernej izby, w której na ławach siedziało i leżało kilkunastu, tak jak ten, który Własta prowadził, przyodzianych komorników, a oprócz tego straż się znajdowała zbrojna. Izba, sparta na drewnianych słupach, które ją na dwoje dzieliły, okopconą od dymu, z ogniskiem ogromnym, wygasłym teraz, cichą była i milczącą.

Przeszedłszy ją i drugą mniejszą, pustą, w której stał oręż przy ścianach, a na nich wi-

siały łuki, obuchy, proce i tarcze... uchylił drzwi do komory Mieszkowej...

Kneź leżał wyciągnięty na skórach niedźwiedziach, z rękami pod głowę założonemi, na wpół uśpiony. Zwrócił oczy ku wchodzącemu i nie wstając, dał mu znak, aby się przybliżył.

Komornik, drzwi zamknawszy, zniknął.

Jakiś czas panowało milczenie. Mieszko westchnął parę razy, podniósł się z wolna, siadł na łożu i rzekł, przypatrując się Włastowi.

— Tej nowej wiary niemieckiej jestem ciekawy... Ty ją znać musisz... mów mi o niej! Wszak Bóg ich Chrystusem się zowie?

— Tak, miłościwy panie — począł Włast z wolna, a pytanie to rozradowało mu duszę. — Tak, Chrystus był Bogiem na ziemi, i powrócił do niebios, skąd zstąpił na nią. Zszedł On, by nowe prawo przynieść z sobą i zaszczerpić je krwią swoją pomiędzy ludźmi.

— Tak... wiem... był zabity... zameczony... — rzekł Mieszko.

— I zmartwychwstał! — dodał Włast.

Kneź usłyszawszy to, podniósł nań oczy z wyrazem niedowierzania i przestachu.

— I czynił cuda wielkie? — zapytał cicho.

— I czyni je ciągle... — dokończył Włast.

Mieszko, jakby własnego lękając się głosu, oczy zwrócił na mówiącego i odezwał się cicho bardzo.

— Tyś chrześcijanin?

Włastowi serce uderzyło silnie.

Pomimo, że głos ten nie był, a przynajmniej nie wydał mu się groźnym, nie mógł być pewien, czy przyznając się, nie wyda na siebie wyroku śmierci. W tej chwili osłabienia ducha na myśl mu przyszło, jakby dla uniewinnienia kłamstwa, trzykrotne Piotrowe zaparcie się Mistrza... drgnął, odpychając to jak pokusę nie-

czystą i wnet mężnie zwyciężając niemoc i obawę rzekł:

— Jestem nim, miłościwy panie! jestem nim! Choćbym za to cierpieć miał i życie utracić, zaprzeć się nie mogę Boga mego...

Zdumiony Mieszko, milcząc, długo się w natchnionego młodzieńca wpatrywał.

— I... nie lękasz się śmierci? — zapytał.

— Nie, panie... bo mnie po niej czeka żywot wieczny i wieczna szczęśliwość.

— Żywot wieczny! — mruknął kneź, wstając. — Jesteśże ty pewnym?

— Miłościwy panie — zawołał Włast, nabierając coraz więcej odwagi — Bóg nam go przyrzekł.

Z dziwnym wyrazem twarzy, napół sztywnym na pół trwożliwym, rzucił się kneź na łożo i zadumał głęboko.

Milczenie przykre trwało długą chwilę.

— A umiesz ty cuda czynić? — zapytał.

— Nie, panie, bo ich żaden człowiek nie czyni, — rzekł Włast — tylko Bóg; a ten, przez kogo Bóg czyni cuda, musi być godnym Jego łaski. Jam jej nie godzien!

Tego Mieszko zdawał się nie rozumieć dobrze.

— Przecież są tacy chrześcijanie, co czynią cuda? — odezwał się.

— Są, miłościwy panie, ludzie święci, przez których Bóg nasz je czyni.

Mieszko znów się zadumał, położył na swym posłaniu i zdawał zupełnie zapominać o Właście.

Młody chrześcijanin z bijącym sercem stał i czekał. Nie mógł rozpoznać z twarzy pana, czy był gniewnym i miał go odepchnąć, skazać na więzienie, na śmierć, na chłostę, czy bezkarnie go puścić. Widocznem tylko było, że kneź z podbudzoną ciekawością go słuchał.

Od chrześcian przeszedł nagle do cesarza.
— Cesarz niemiecki... silny on jest? — zapytał.

— Nie wiem, czy jest kto nad niego silniejszy na świecie, — odparł Włast — nawet ten drugi, siedzący na stolicy dalekiej nad morzem... Panowanie jego rozciąga się od kraju zimy aż do tego, w którym jej niema nigdy... Ma pod sobą królów i kneziów i panów moc niezliczoną, wojska niezmężone... skarby ogromne... A! panie, potęga jego straszna...

Mieszko uśmiechnął się znowu z niedowierzaniem.

— A przecież — dotąd jego markgrafowie i książęta Serbów, Polan i Wendów zmóźdz i podbić nie mogą!... — zamruczał, jakby sam do siebie. — Nas, cośmy rozbici i podzieleni. Czechy mają, ale Czesi ich zdradzą, gdy chwilę upatrzą... Poszli z niemi, bo Ungrów złamać trzeba było, co się nam wpili pod trzewa...

Zaczął potem pytać o zamki, o zbroję, oręż i szyki wojenne, i o wszystko, co w obcych ziemach inne było.

Włast opowiadał powoli i z rozwagą, opisując, co widział, stare grody z ich murami wielkimi, zamki na gór wyżynach, żelazne uzbrojenia rycerzy, bogactwa cesarskiego skarbu, wspaniałość pałaców i świątyń.

Nie przerywając chyba nowemi pytaniami, kneź dał mu mówić tak długo, jak starczyło wieści. Dumając przysłuchiwał się posepnie, to z ożywieniem zajęciem, gdy szło o sprawy wojenne, — to z lekceważeniem, gdy mowa była o złoście. O wojskach i wojennych szykach Włast mało co powiedzieć umiał, chyba co mu samo w oczy wpadło.

Myśli Mieszka trudno było odgadnąć, wszelako na twarzy malować się zdawała raczej nadzieja jakaś i niecierpliwość niż zwątpienie, jak

gdyby szukał środków dorównania tej sile, wcale się nią nie trwając.

Gdy w końcu Włast znużony, wyczerpawszy wspomnienia, zamilkł, Mieszko popatrzywszy w okno, rzekł, zwolna głos zniżywszy.

— Patrzej, abyś się ze swym Bogiem nowym przed ludźmi nie chwalił! Gdyby cię obwiniono, żeś wiarę niemiecką przyjął, — ukarać bym musiał! Ojca mi żal twój. My czcimy naszych starych bogów, innych u nas ludzie nie znają — nie wspólnego z wrogiem mieć nie będziemy, nie!

Włast chciał go żegnać, gdy kneź dorzucił:

— Od dworu cię nie puszczam, musisz tu zostać! Mnie przysłało znać tych wrogów, z którymi się o każdą piędź ziemi mojej, coby ją zagarnąć pragnęli, nieustannie drzeć potrzeba. Stogniew ci da miejsce. Gdy cię puścić zechcę, — powiem. Na zawołanie mi być i milczeć!

Z tem odpuścił kneź Własta, nie okazując mu większego gniewu; a gdy ten wychodził na pierwsze podwórze, aby sobie szukać przytulku, Mieszko się położył na pościeli i zadumał jak wprzód.

Przez okna od podwórza wpadały śpiewy niewieście, krzyki a ujadania wrzawliwe i śmiechy szyderskie a złośliwe. Ustawo to czasem jakby siłą i rozkazem stłumione, ale wnet kłótnia wracała znowu.

Wtem drzwi, osłonięte oponą, otwarły się i w progu stanęła niemłoda niewiasta, wysokiego wzrostu, przybrana bogato, cała obwieszona łańcuchami i kolecami, jakby jej szło o to, aby się okazała piękną i młodą. Z pod białego rąbka, który jej głowę okrywał dobywały się włosy ciemne ale już posrebrzone. Z dawnej piękności zostały jej zaledwie czarne oczy iskrzą-

ce się jeszcze i usta małe, zaciśnięte z wyrazem gniewu.

Od progów postąpiła kroków kilka, wyciągnęła ręce białe ku panu i pokłon oddawszy, zdawała szukać wyrazów, od których by poczęła. Dłonią niecierpliwą to przeglądała włos, to poprawiała na sobie szatę.

— Cóż mi powiesz, Różana? — zapytał kneź, spoglądając na nią roztargnionemi oczyma.

— A co zawsze, co zawsze, miłościwy panie! że ja tu ze zgryzoty z temi twojemi niewiastami życie stracę — albo mnie z nich która zieleń struje jakim, bo to wszystko złe, — zażdrośne jędze...

— Cóż się znowu stało? — spytał, śmiejąc się Mieszko.

— A to, co się tu dzień i noc dzieje, jak się tylko obudzą te wasze bogunki! Jedzą siebie i mnie, — czy by sobie powydzierać rade! Słyszycie wrzawę, miłościwy panie: gdy jedna śpiewa, druga płacze, gdy się cieszy która, zaraz inna się wścieka. Nie pomaga nic. Ja tam starszą jestem, a porządku utrzymać nie mogę. Nocy nie dośpię, a nie upilnuję...

Założyła ręce na piersiach i stanęła na przeciw knezia, jakby błagając o ratunek.

— Cóż to? Nie macie siły i władzy, żeby sześciu głupim młodocycom nie dać rady? — krzyknął Mieszko.

— Prędej sobie Stogniew da rady ze stu pacholkami, niż ja z tem utrapieniem, z temi gąsienicami...

— Cóż więc począć z niemi?

— Co? co? — mruzczała stara Różana. — Rozpedzić to na cztery wiatry, poodsyłać to do domów, — ja nie wiem, ale ja już ich nie zmożę.

— A któraż najgorsza z nich — spytał kneź.

— Zawsze ostatnia, ta, którą najlepiej lubisz, miłościwy panie, ta, co wam najmilsza,

a której palcem nikt tknąć nie śmie. Ta na mnie i nie patrzy, nie żeby mnie słuchać miała, ta grozi i mnie, i drugim.

— Kto Lilja?

— Dziś Lilja - a jutro będzie ta, co po niej przyjdzie — mówiła, głową potrząsając, zrozpaczona Różana. Dobrze one wszystkie!

— A cóż mam na to uczynić, co? — począł żartobliwie kneź.

— Wszystkie odpędzić — odpędzić!

— To nie może być — nudno by mi było — rzekł Mieszko. — Kto wie? zmienić się to jeszcze może, ale nie zaraz. Różana, miej cierpliwość — trzymaj je ostro! moc masz nad niemi, zagróż w mojem imieniu.

Rozpaczliwie niemal rękami rzuciła Różana, gdy szelest dał się słyszeć za oponą i piękną, młoda niewiasta, zuchwale, śmiało wpadła do komory książęcej.

Dziewczę było, nie mające lat dwudziestu, z czarnemi piękniemi oczyma i długimi kosy czarnemi, zręczne i gibkie jak łania, silne i odważne. Na czole, w oczach i ustach malowała się ta pewność siebie, jaką daje piękność i młodość. Z pogardą i gniewem spojrzała na Różanę, która się nie cofnęła przed nią, minęła ją i postąpiła do Mieszka.

— Miłościwy panie! — słyszałam ja wszystko, stałam za oponą. Co wy tej starej jędzy wierzycie? Zła jest na wszystkich, bo jej młodość pełźnie z włosami, bo ma już zmarszczki na twarzy i Stogniew ją dla młodszej porzucił.

Różana zaciśnęła pięści; Lilja zaczęła się śmiać:

— Kiedy ona już ani krasną, ani młodą być nie może. — Tak, tak! — powtórzyła, widząc, że Różanie się oczy paliły i usta drżały.

— Tak, miłościwy panie! Chciałaby, abyśmy u kądzieli siedziały cały dzień, a ona

sobie mogła spokojnie starszyznę na miód zwabiać do siebie.

— A ty gadzino! — krzyknęła Różana w gniewie, powstrzymać się nie mogąc.

Mieszko śmiał się z kłótni, która się go bawić zdawała, lecz zarazem czoło coraz mu się groźniej faldowało.

Lilja uśmiech wywoływała na usta, usiłując pana rozbroić.

Niedość było na tych dwu zapaśnicach; drzwi się otwarły głośno, — wpadła trzecia jeszcze.

Było to dziewczę równego może wieku z Lilją, ale do niej niepodobne; drobne, wątłe, białe, z włosami złotawymi i oczkami szaremi, jakby do płaczu stworzonymi. Na pozór słaba i bezbronna, miała Barwina więcej może dumy i siły w obliczu, niż te dwie, co ją uprzedziły. Z jakąś powagą dziwną zbliżyła się, główkę podnosząc do knezia.

— Ta Lilja — rzekła — kropiwa nie Lilja. Ona wszystkiemu winna! Ona mnie i żadnej nie daje spokoju! Jam przecież starsza od niej i mam prawa moje! Ja jestem żupana córka, mój ród kneziowski, my Lechy, a ona kto? Ojcem jej niewolnik... dziecko porabie... porabka jakaś i śmie...

Lilja, nie dając jej dokończyć, przyskoczyła do niej z gniewem i groźbą tak straszną, że Różana, zapomniawszy własnej urazy, stanęła co żywiej między niemi, aby walki nie dopuścić.

Mieszko śmiał się jeszcze, ale twarz pańska coraz się stawała straszniejszą, brwi i czoło marszczyły się. Sparty jedną ręką na łożu, drugą wyciągał ku zwaśnionym.

— Barwina, i ty Liljo! kto wam wchodzić pozwolił? Do izby nazad, w tej chwili!

— Panie! Lilja cię zdradza! — zawołała mała Barwina.

— Kłamiesz! Ty sama masz kochanka ty! ty! — czerwieniejąc się cała, krzyknęła Lilja.

— Różana prowadź ich do izby... Precz, natychmiast! Rozeznam sprawy wasze i ukarzę...

Stara chwyciła za rękę wyrrywającą się Barwinę i podstąpiła z nią ku drzwiom. Lilja znać pozostać chciała, aby skorzystać z ich odpraw, lecz Mieszko ręką drzwi jej wskazał także; posłuszna niewiasta głowę spuściwszy, powoli, gniewna, zapłoniona, musiała wyjść z Różaną.

W sieni słychać jeszcze było głosy kłótlive, które się powoli oddalały i zmieniły w gwar niewyraźny.

W tej chwili Stogniew się ukazał w progu. Spojrzał na pochmurne pańskie oblicze i nie śmiał ust otworzyć.

— Na Peruna! — zawołał Mieszko. — Cale chyba to stado precz rozebrać potrzeba; zamiast pociechy i spoczynku, waśń tylko i męka z niemi.

Ręką groźnie zamachnął w powietrzu.

— Do Peruna, te białogłowy z ich językami! — powtórzył.

Stogniew zdawał się czekać na rozkazy, ale Mieszko się zadumał, i zbył go posępnem wejrzeniem.

VI.

Włast pozostał na dworze Mieszka, chociaż, mimo iż mu kneź twarz okazywał łaskawą, inni nań koso patrzali. Domyślano się w nim znać tego czem był w istocie — chrze-

ścianina — a tu to znaczyło tyle, co Niemiec i wróg. Spokojna i pokorna postać młodzieńca nie przypadła zresztą do butnego i rycerskiego dworu, który ciągle oddychał wojną lub zabawiał się łowami i zapasami siłaczy.

Ściągano nieustannie i zbrojono, a przyposabiano ludzi, jakby nazajutrz wojna miała wybuchnąć, bo na granicy nigdy spokoju nie było; ztamtąd przychodziły wieści dniem i nocą, szczególnie o czynnościach srogięgo nieprzyjaciela Słowian, markgraфа Gerona. Mieszko, jeśli się osobiście nie mieszał do drobnych tych utarczek, podsyczał je, wywiadywał się, pomagał potajemnie.

Kneź sam i wszyscy, co go otaczali, mieli już to przekonanie, że do niego należała władza i panowanie nad wszystkimi plemionami bratnimi, aż do morza, aż za Wisłę; że Szląsko też i Chrobaty powinny być, prędzej, później Czechom być odebrane i do Polaków jedności włączone. Wszystko, co Gero zdobywał nad Łabą, co zdradą odpadało od bałwochwaltwa i słowiańskiego przymierza, Mieszko uważał, jakby sobie wydarte. Pomagał mu w tem brat po ojcu, choć nie po matce, starszy od niego Sydbór, z ulubienicy Ziemomysłowej urodzony, przed zaślubieniem Górki, matki Mieszkowej, wojak z lat młodych, który żył tylko wojną.

Po matce, która była prostą dziewczyną z lasów kedyś wziętą, Sydbór wziął naturę dziką, upodobanie w życiu swobodnem, pod gołem niebem, na zasadzkach, w walce i napaściach.

W Mieszku szlachetniejsze górowały instynkta, pragnienie panowania, przemysłne poszukiwanie środków, chęć dorównania narodom, które więcej mogły i umiały. Sydbór był prostym zapaśnikiem, który chciał się tylko

bić i miał upodobanie w rzezi a krwawych walkach. Litości u niego prosić było próżno, — nie prosił jej dla siebie, nie miał dla drugih.

Mieszko dawał mu dowództwo nad niesforniejszemi oddziałami i najtrudniejsze do wykonania polecenia; używał go, nie dając mu technąć. Sydbór był rad i więcej nie pragnął. W wyznaczonej sobie dzielnicy, którą mu brat puścił, nie siedział nigdy prawie, domu dotąd nie miał, rodziny nie pragnął, koczował z oddziałem swojej konnicy na wiecznych czatach, włócząc się po nad granicą, gdziekolwiek można było napaść znienacka, łupu zagarnąć siłą i ludzi nabić mnogo. W boju śmiał się i cały krwią obłuzgany szalał zwycięstwem. W Poznaniu zjawiał się wołany, często niespodzianie, ale miejsca nie zagrzał: drugiego dnia już go piekło w pole. Czasem, nie opowiedziawszy się kneziowi ruszał i nie wiadano nawet dokąd.

Ruchawy ten i przedsiębiorczy brat byłby może niepokoju nabawiał Mieszka, gdyby w nim dostrzegł jaką chęć samoistnego panowania; ale Sydbór zdawał się nic nie pragnąć nad to życie, które prowadził. A srogi ten, nielitościwy kat na ludzi, którego znano z tego, iż żadnej winy nigdy nie przebaczył i miłosierdzia nie miał nad nikim, kochał przecie i szanował Mieszka, a nadewszystko czeił i przywiązany był do siostry, która nosiła toż imię, co matka jej — Górka.

W osobnym dworze na zamku nad Cybiną, mieszkała ona pod knezia opieką; miała swą służbę oddzielną i żyła odosobniona. Niewieście towarzystwo żon kneziowskich nie przystało jej, trzymała się od niego zdala. Mieszko zdawna za mąż ją wydać pragnął, lecz lada komu jej dać nie chciał. Górka też nie wyrывała mu się na świat.

Była ona najmłodszą z rodzeństwa,

a gdy Ziemomysł umierał, dzieckiem ją zostawił. Doszła lat dwudziestu, wychowując się ze starymi niewiastami, które niegdyś matce jej służyły, wśród wrzawy wojennej dworu brata, mając upodobania prawie męskie i charakter Mieszkowemu podobny. Górka była teraz piękną ciemnowłosą dziewczycą, silną i śmiałą, któraby jak owe czeskie dziewczęta chętnie poszła na wojnę, gdyby jej pozwolono. Wszystko, co Mieszko sobie poczynił, obchodziło ją mocno; rozumiała go i zgadywała, choć go pytać nie śmiała, a jak jemu marzyło się szerokie panowanie nad zjednoczonymi plemionami, tak jej też zaślubienie jakiegoś knezia, któryby Mieszkowi z orężem stanął do boku.

Kneź szanował siostrę i lubił ją, ale niczem było jego przywiązanie do niej, przy czesici a uwielbieniu dzikiego Sydbora, który ile razy nad Cybinę przybył, zawsze tej siostrze musiał dać jakąś przywieźć, a najszcześliwszy był, gdy go do niej dopuszczono. Górka z tym przyrodnim swym czyniła, co chciała, a gdyby mu najdziwniejszy rozkaz wydała, spełniłby go nieochybnie, o niebezpieczeństwo nie pytając.

Nazajutrz po przybyciu Własta, rano właśnie nadejść Sydbór, a jeszcze do wrót nie doszedł, gdy już na grodzie panowało poruszenie wielkie i wszyscy biegli widzieć go nadeciągającego. Wyszedł i Włast...

W przedsieniu stał Mieszko otoczony dworem, czekając także na zapowiedzianego gościa, gdy zdala od wałów pokazał się orszak jego.

Nie był on zaprawdę świetny, a dziwnie wyglądał; stu może ludzi konnych na żwawych mierzynach prowadził z sobą Sydbór... sam on jechał przodem, — istny wódz dzikich; czerwony, czarny, zarosły, w odzieży jaskrawej i naszywanej blaszkami a świecidły, w czapce z pióropuszem, nieco oszarpanym, obwieszony bro-

nią wszelkiego rodzaju, której miał tyle, ile się jej u pasa, na ramionach, przy koniu, w rękach mogło zmieścić. Jeden miecz wisiał u pasa, drugich dwa tkwiło za nim, młot miał pod ręką, łuk na plecach, procę na ramionach, dzide i oszczep poczepiane misternie. Komu innemu ta mnogość narzędzi więcejby przeszkadzała, niż dogadzała, lecz Sydbór ich z taką zręcznością umiał używać, iż nie zbytecznem dlań nie było. Tarczę zwykle miał uwieszoną tylko przy koniu i mało jej używał.

Ludzie jego mieli wszyscy grubo kute pancerze łuskowe i blachy, niektórzy kaftany, dzidy, szable krzywe, oszczepy, a odziani byli jednakowo, co naówczas wielki przepych stanowiło.

Jak Sydbór, tak i jego cała drużyna wyglądała strasznie; nie było ani jednego całego... twarze porąbane, ciała sińcami okryte, oręż poszczerbione, na wszystkim krwi i pyłu pełno. Pomimo to szli butnie, rażno i z twarzami wesołymi, jakby w tryumfie. Tłomaczyło się to tem, że w pośrodku orszaku ich, szło stado ludzi powiązanych sznurami, poczepianych z sobą, — starców, młodzieńców, kobiet i dzieci.

Sydbór napadł na osadę niemiecką pod gródkiem, nad Odrą niedawno założonym, i wszystko, co znalazł zagarnął, wieś puściwszy z dymem. Zabrane konie i bydło, pędzili osobno ludzie, którzy wolniej ciągnęli.

Wszyscy ci niewolnicy, odarci i pobici, o twarzach i ciałach pokrytych ranami ledwie pozasychanemi, przedstawiali widok przerażający niemej a wścieklej rozpaczey.

Jak tylko orszak ten stanął w podwórzu, kilka niewiast padło spoczywać na ziemię, a kilka, zwaliwszy się, nie powstało już więcej. Kupka dzieci nagich, z włosami rozczochrane-

mi jęczała i płakała, a wojacy smagali je dla uspokojenia.

Z wrzawą, jękiem, śmiechem i płaczem przyciągnął tak Sydbór przed Mieszka, pokazując mu na zdobycz swoją, i z konia jeszcze rozpoczynając opowiadanie o wyprawie. Mowę jego jęklivą, trudno było zrozumieć, ale to, co wiódł z sobą, wymownem było.

Na widok ten i Mieszkowi oczy się zaśmiały. Śmiech i radość były usprawiedliwione, bo tak samo i gorzej jeszcze w pętach prowadzono Słowian, branych nad Odrą, a markgraf Gero nie tylko mieczem, ale zdradą tępił to plemię, któremu nie mógł dać rady.

Zbiegło się co było ludzi na grodzie, po części niewolnikom, po części znanym wojakom Sydbóra się przypatrywać i rozpytywać, kędy bywali. Spoglądano na Niemców, dopatrując w nich ludzi zdrowych i zdatnych do pracy i posługi; — niewolnik wówczas był drogi i pożądanym...

Zdała patrzeć i Włast, a twarz mu pobladła nagle na widok siwego odartego staruszka, który zaledwie łachman mając na sobie, obnażony, wychudły, do ran prawie skrępowany sznurami, ze spuszczoną głową stał, ledwie się mogąc na nogach utrzymać. Krótko ostrzyżone włosy, a na wierzchu głowy wygolona korona, która pośmiewiskiem była dla pacholków Sydbóra, pozwoliły w nieszczęśliwym poznać chrześcijańskiego kapłana.

Włast mimowolnie załamał ręce; szczęściem, nim postrzeżono ten ruch, zdradzający politowanie, miał czas opamiętać się.

Po okazaniu łupów i rzuceniu przed Mieszkiem różnego naczynia, oręża, szat pobranych na kupę, wśród której Włast dostrzegł srebrny kielich kościelny i dwa lichtarze... ludzie jedni zabierali do skarba zdobycz, a kneź bra-

ta schylonego przed nim po ramieniu klepał, drudzy z gromadą niewolnika powoli odciągnęli ku szopom dla wypoczynku.

Kneziowie oba weszli do dworu; służba, komornicy, gawiedź pozostała, rozwiadując się o wyprawie, śmiejąc się i pokrzykując wesoło.

Włast, którego widok niewolnika przejął litością jako chrześcianina i kapłana, jako długo czas w Niemczech i z Niemcami żyć nawykłego... stał osłupiały, myśląc coby mógł począć, aby starca, którego znał, mógł z niewoli srogiej wydobyć.

Przychodziło mu na myśl rzucić się do nóg kneziowi, gdy doń przypuszczony zostanie, i prosić go o darowanie staruszka, który bezsilnym będąc, mało na co komu mógł się przydać.

Stał tak jeszcze zamyślony, gdy poczuł, że go ktoś za rękaw pociągnął. Obejrzał się i zobaczył za sobą staruszkę, obwinietą płachtami białymi, która coś po cichu szeptała mu do ucha... Nie mógł jej zrazu ani zrozumieć, ani się domyśleć, czegooby od niego chcieć mogła. Stara odwiodła go na stronę, i odezwała się:

— Wy to jesteście Luboniów syn, coście dwanaście lat przebyli w niemieckiej niewoli...?

— Tak — rzekł Włast, — ja nim jestem.

Stara popatrzała nań długo...

— A pamiętacie wy Srokicę?

Włast, któremu się wspomnienia młodości zatarły w pamięci, zaledwie to imię mógł przypomnieć.

— Tak nazywali u nas, w Krasnejgórze, poczciwą niewiastę, co mnie po śmierci matki swoją piersią karmiła.

Staruszka objęła mu kolana, a potem prędko podniosła oczy i załzawione razem i rozpromienione.

— Gołąbku mój! dziecko moje! Toć to ja

jestem Srokichą... Ojciec twój darował mnie do dworu kneziowi, bom umiała leczyć i zamawiać. Dali mnie do kniehini, do Górki... siedzę przy niej, biedną dziewczynę zabawiając, jak umiem. Gołąbku mój! dziecko moje! A cóż to z ciebie niewola zrobiła... Jam myślała, karmiąc ciebie, że jak dębeczak wyrośniesz, a tyś jak leszczyna wiotki i wątły.

Włast przypatrywał się staruszce — z rozrzewnieniem: powoli na myśl przychodziły mu lata młode, które zawsze urok wielki mają. Lża mu się kręciła w oku. Chciałby był czemś obdarzyć staruszkę, mamkę swoją, lecz nie miał nic. Nie widać też po niej było ubóstwa i potrzeby; odzież miała dostatnią, płótno białe i cienkie, a ręce niezapracowane okazywały, że wczasu używała.

— Gołąbku mój — powtórzyła cicho Srokicha — chodź ze mną, ja cię kniehini mojej pokażę... bo ty tak, jak dziecko moje, krew w tobie żupanów i władyków, ale i mleko też moje płynie...

Ocierала lzy stara i pragnąc i nie śmiejąc głaskać swojego wychowanka, który się jej smutnie uśmiechał.

— Chodź! — dodała. — Kniehini dobra pani, piękna pani, miłosierna. Sama jedna, męża nie ma, nudno jej w świecie, bawić ją trzeba to śpiewami, to gadkami — niechajże się pobawi, słuchając o twojej niewoli. Ja cię do niej zaprowadzę.

Włast stał niebardzo rad zaproszeniu, ale starej nie śmiał się opierać; myślał przytem, że jako chrześcianin i kapłan, winien był zbliżać się do ludzi, aby choć próbować nawrócenia.

Stara, wiedząc go za sobą, przeszła część podwórza, aż do drugiego dworu kniehini; otworzyła sobie wrotka boczne i niemi Własta wpuszcwszy, zaraz je za nim zasunęła.

W podwórku niewielkiem cicho było i zielono. Całe ono jakby ogródek bujno zarosły stanowiło... W pośrodku była stara lipa rozłożysta, po rogach w plecionych z łożyny klatkach świegotały zamknięte ptaszki. Maleńka sarenka chodziła gryząc trawę swobodna, a gdy ujrzała wchodzącą Srokichę, stanęła, podniosła główkę z oczkami czarnymi i nóżką tupnęła... lecz postrzegłszy za nią obcego pierzchnęła w drugi koniec podwórza.

Stara kazała się Włastowi zatrzymać, ławę mu pod ścianą pokazując, aby sobie na niej spoczął, a sama poszła do kniehini.

Z okien na podwórze wychodzących, kilka głów wyrzało, przypatrując się oczekującemu i znikło... Przypatrywała mu się i hodowna sarenka, to przybliżając, to uchodząc, a nad głowami ptaszki szczebiotały.

Po dosyć długiem oczekiwaniu ukazała się wreszcie Srokicha i dała znać Włastowi, by szedł za nią.

Przeszedłszy dwie puste izby, w trzeciej izbie z oknami zwróconemi na podwórze, pełne niewieściego sprzętu, znalazł Włast Górke.

Stała, spodziewając się go, w pośrodku komory, całej przystrojonej w kwiaty i kobierce, z rękami na piersiach założonemi, w postawie prawie męskiej, piękna, ale surowej twarzy kniehini.

Była tak podobną do Mieszka, izby ją za siostrę jego wszędzie poznać było można. Piękniejszą była — nie inną: ten sam rozum i zadumanie miała w twarzy i dumę tę samą.

Ubrana w suknie krasne, z wianuszkciem na głowie, którego dziewice nigdy naówczas nie zrzucały — oczyma bystreimi od wnijsćia zaraz ciekawie zmierzyła Własta...

Stara sama do kolan jej przypadłszy, jemu też paść do nóg pani kazała, co Włast do-

pełnić musiał. Nim on otworzył usta, Srokicha za niego mówiła już o dwunastoletniej niewoli jego, skarżąc się, że ona tak go znękała i wysuszyła.

Kniehini stała długo milcząca, — patrzała, i nierychło dopiero głosem męzkim rzuciła pytanie, czy go Niemcy męczyli?

— Miłościwa kniehini — odpowiedział Włast, — żadna niewola rozkoszą nie jest; lecz i między niemi są ludzie litościwi.

Górka potrzęsła głową...

— Daleko was pędzili? — zapytała...

Włast tedy rozpowiadać zaczął, jako był na dworze cesarskim, a z nim w tej ziemi, która nie zna zimy, i w której cuda prawie widzieć można, tak piękną jest i ludną.

Wspomnienie o cesarzu, o tych krajach oddalonych, o cudach — żywo zajmować zaczęło kniehinę i pytała już a przysłuchiwała się bacznie.

Opowiadanie, którego Srokicha słuchała też bardzo chętnie, byłoby długo może trwało, gdyby hałas w podwórzu nie zwiastował gościa nowego. Nim stara rozmyśliła, co z włastem uczyni, wparł się już Sydbór do siostry... otworzył drzwi, i przypadłszy do niej, bił jej czołem, całując kraj szaty, śmiejąc się i ryhoczając, że ją mógł widzieć.

Górka mu rękę swą białą położyła na ramieniu, i uśmiechnęła się, nie jak bratu, ale jak służce, pytając, kędy bywał i z czem powracał.

— Miłościwa kniehini — bełkotał dziki wojak, ciągle się śmiejąc i patrząc jej w oczy — byłem daleko; wpadłem aż do niemieckich wsi w granicy, dwie ich spaliłem, niewolnikom nabrał, bydła i koni, i bab i dzieci... a oto dla ciebie, kniehini — bo ja o was nigdy nie zapominałem... wybrałem, co najlepszego.

To mówiąc wskazał jej, aby nastawiła ręce...

Górka podniosła nieco poję sukni... a Sydbór począł wyjmować z zanadrza, i sypać, śmiejąc się na nastawioną poję, pierścienie, kolce złote, i ozdoby kobiece. Przy jednym z kołców trzymała się część ucha oderwanego z nim razem, ale nikt nie spojrzał na to.

Sydbór śmiał się chwaląc łupem; kniehini zdawała też nim cieszyć, lecz dziękowała bratu, bez wielkiego zapachu. Po chwili wszystką tę zdobycz oddała do schowania starej Srokiszce, a wojak począł opowiadać, jak palił i zabijał.

Włast stał jeszcze, lecz nie miał już co tu robić, — nikt nań nie patrzył; pokloniwszy się więc, dał znak starej, ażeby go wypuściła.

Wyszła ona za nim — a w komorze kniehini słyhać już było tylko dzikie śmiechy Sydbóra.

Wypuszczając dziecko swe, stara szepnęła mu, gdzie i jak znaleźć ją może, jeśliby czego potrzebował. W istocie ona to go więcej widzieć i cieszyć się nim potrzebowała.

Wyszedłszy ze dworu kniehini, Włast, któremu na pamięci stał ciągle obraz starca, nie-miłosiernie skrepowanego, — choć nie wiedział, gdzie go miał szukać, postanowił iść dowiedzieć się o niewolniku, aby mu być jaką pomocą.

Lecz na grodzie obszernym szop i budowli różnych tyle było, że w nich łatwo mógł się obłąkać. I byłby długo musiał szukać jeńców, gdyby tłum gawiedzi dworskiej, otaczający ich, nie wskazał mu, gdzie byli.

Starszyzna wojskowa zgromadziła się tu, wcześniej sobie upatrując ludzi, których zamiana, darem lub za zapłatę dostać sobie mogła do usług. Brańcy i branki leżeli na ziemi, pędzeniem długiem i Nielitościwem znużeni, pospierrani jedni na drugich.

Ponieważ lękano się, by z długiego nie pomarli głodu, rzucano im chleba suchego i postawiono wiadro z wodą. Niektórzy chcieli

gryźli spleśniałe okruszki, inni pili; — większa część bezmyślnym snem ujęta, nie lękając się już ani razów, ani śmierci, leżała jak martwa.

Włast z trudnością się mógł precyzyjnie przez ciżbę, szukając oczyma staruszkę... On jeden siedział nie pijąc, nie jedząc, nie mogąc usnąć, ze spokojną rezygnacją człowieka, czekającego na śmierć. Mógł się jej spodziewać, bo sił do pracy nie miał, stary był, a karmić go darmo niktby nie chciał może. Wzięto go z tłumem, przy rabunku kościoła — nie ubito na drodze, ale zbliżała się chwila, gdy ich przebierać miano.

Zwolna obchodząc jeńców, Włast się przybliżył do starca tak, że oczy jego błądzące bezmyślnie po tłumie, na nim się zatrzymały.

Poznał go, prawie przerażony... chciał się ruszyć, lecz więzy nie dawały. Wśród gwaru panującego dokoła, łatwo do siebie przemówić mogli.

— Ojcie Gabryelu — rzekł Włast. — Jakżeście się tu dostali?

— Ojciec Matia — odparł niewyraźnie starzec — z kąd wy tu?

— Jam powrócił — musiałem.

— Jam schwyciony, jam w niewoli — mówił starzec — wola Pańska... gotowem na męczeństwo. Patrzałem na kościółek mój splugawiony, na świętokradztwo... o Boże! los własny mnie nie obchodzi!

— Ale mnie on na sercu leży, ojciec Gabryelu! — i jeśli potrafisz, ja was uwolnić muszę.

— Poco? — zapytał stary. — Kościół mój spłonął i obalił się, owieczki rozbite... pasterz niepotrzebny.

I głowę na piersi pochylił.

— Ojciec Gabryelu, bądźcie dobrej myśli! Idę prosić za wami.

— Proście za sobą Ojca miłosierdzia, — odezwał się staruszek — aby wam dał wytrwać w wierze... Bóg niech was błogosławi.

Związaną ręką staruszek zrobił krzyżyk...

Nie miał już tu Włast co więcej czynić; wysunął się więc co najrychlej i spieszył na zad do dworca książęcego. Lecz tu docisnąć się teraz ani pomyśleć było można. Jakieś kneziątko Obodrytów, z gromadą Lutyków przybyło właśnie, i do Mieszka wpuszczone zostało.

Wrzawliwa narada odbyła się z niem w wielkiej izbie. Mieszko, siedząc na stolicy swej, otoczony dworem licznym i zbrojnymi ludźmi, przyjmował ich uroczyście. A że pokilkakroć doświadczył ich niewiary i krzywoprzysięstwa, lajał więc i bezcześcił przybyłych, którzy go na kolanach przebłagać się starali i posiłki sobie a opiekę wyprosić. Przez otwarte okna od podwórza widać było we wnętrzu klęczących starców brodatych, i z siedzenia swego groźnie im odpowiadającego Mieszko.

Groził im nawet śmiercią, ale zwolna gniew się uśmierzać zaczął i łagodniejsza zaczęła umowa. Długo jednak trwało spieranie się z ludźmi, do niesfornego krzyku nawykłymi, którzy więcej narzekali, niż tłumaczyli się, a prostymi słowami powiedzieć nie nie umieli. Kilkakroć zrywał się ku nim kneź, jakby wpaść chciał i rozgromić, — wstawali oni i klękali, bili czołami o ziemię — wreszcie zgodą się skończyło wszystko i przyniesiono, miód a potem stół im zastawić kazano.

Nadejście Sydbóra, wracającego od siostry, nie ułatwiło zgody, bo dziki kneź nastawać począł, na Lutyków zwłaszcza, i ledwie się dał ukoić.

Cały ten dzień prawie zszedł na takich sprawach; Włast musiał czekać zbliżenia się do pana, nie mogąc o nie prosić. Wieczorem dopiero pozwał go Stogniew do knezia. Składało

się niespodziewanie szczęśliwie. Mieszko kazał iść Włastowi ze Stogniewem razem, dla przebrania niewolnika i rozpytania go, bo mało kto język ich dobrze zrozumiał.

Mieszko, baczny we wszystkim, kazał rozbadać, czy między jeńcami niema rzemieślników, szczególniej płatnerzy, kowalów i tych, co około oręża chodzić umieli.

Chwycił się tej zręczności Włast i do nóg pokłoniwszy się Mieszkowi, opowiedział mu, iż między niewolnikami znajdował się starzec mu znajomy, który niegdyś dobrze się z nim w czasie pobytu jego wśród Niemców obchodził. Prosił więc, uniżając się, aby go mógł dostać.

Zamyśliwszy się nieco kneź, — skinieniem głowy zezwolił na to, i dał rozkaz Stogniewowi, aby starca Włastowi dano.

Podziękowawszy za tę łaskę, szedł weselszy już spełnić dane rozkazy.

Jeńców znaleźli leżących kupą na ziemi i powiązanych jak przybyli. Włast sam pobiegł porozcinać sznury staremu ojcu Gabryelowi i opończyą go przyniesioną okrył... Posadzwszy go pod szopką, począł potem obchodzić wszystkich, pytać i rozdzielać.

Wnet część jedną dano na chaty do miasteczka, do rzemiosł różnych; innych rozebrała starszyzna, dzieci też rozdzielono różnie... często osobno od matek. Zostało na placu dwa czy trzy trupy i kilku dogorywających, około których Psiajucha się kręcił, bo ci do niego należeli.

Wieczór był późny, gdy rękę podawszy osłabłemu starcowi, Włast, który sam liche miał pomieszczenie w izdebce ciasnej i ciemnej bez okna, gdzie tylko posłanie się mieściło, poprowadził do niej ojca Gabryela, sam wybierając się do Srokichy, aby dlań dostał posiłek jaki, którymby wycieńczonego mógł pokrzepić. Cie-

pła noc letnia, dozwalała jemu u drzwi tej ciupki na twardej ziemi położyć się na spoczynek.

Ocalony kapłan, jak posłuszne dziecko, poszedł za swym oswobodzicielem, czyniąc co mu było rozkazano. Włast sam go nakarmił, ułożył, poobwiązywał rany od sznurów, i okrywwszy na noc, ucałowawszy ręce starca, cofnął się, aby na straży pozostać u progu.

VII.

Upłynęło dni kilkanaście podobnych do pierwszych, które Włast spędził na dworze księżym. Nie zmieniło się nic.

Kilka razy prosił, aby go kneź do Krasnejgóry do ojca raczył dopuścić, ale na to nie otrzymał zezwolenia. Razem z oswobodzonym ojcem Gabryelem, który leżał chory i ruszyć się nie mógł, pilnując się i karmiąc z pomocą starej Srokichy, niebardzo chętnej dla Niemca, Włast pozostać musiał w pośród nieprzyjaznego dosyć dworu. Patrzano nań zawsze niechętnie.

Kilka razy w wolniejszych godzinach kneź kazał go pozywać do siebie, zawsze zwracając rozmowę to na wiarę nową i ostrość jej, to na Niemców i ich cesarza, a jego siły. Włast ośmielił się nieco i czuł się w obowiązku, jeśli nie nawracania knezia, to przynajmniej do oswojania go z chrześcijaństwem i jego potęgą. Pomagało mu do tego wiele, iż najpotężniejszy naówczas władzca ziemi czeskiej, Bolesław, którego państwo rozciągało się od Wełtawy do Styru, obejmując Chorbację, Ruś, Szlązko, kraje niezmiernie rozległe, pomimo wstrętu, jaki czuł on i matka jego ku chrześcijaństwu, pomimo popełnionego na pobożnym a świętym bracie morderstwa, sam wreszcie musiał przyjąć tę

wiarę i ocalił Czechy, wchodząc w przymierze z cesarstwem.

Mieszko tłumaczył to sobie grozą najazdów węgierskich, przeciw którym Czechy się obronić nie mogły; lecz nowa wiara płynęła z zachodu z siłą tak nieprzepartą, iż nie pozostawało i jemu nic nad to, jak, albo ją przyjąć dla ocalenia, lub paść w walce daremnej.

Kilka razy w ciągu tych dni kneź posyłał i pytał niecierpliwie o Dobrosława, wyprawionego do Pragi; przychodziły nawet na myśl posądzenia, iż mógł go zdradzić i nie chcieć powracać, gdy jednego rana zjawił się poznaczony poseł.

A chociaż dnia tego znowu wyprawiono na Pomorze ludzi, których Sydbór wiódł dla pomszczenia jakiegoś napadu, choć byli posłowie od Łużyczan i Dulebów. Mieszko natychmiast powołać do siebie kazał Dobrosława i sam na sam się z nim zamknął.

— Mów — rzekł — mów mi wszystko, co widziałeś, coś słyszał, co mi przynosisz.

Czarne oczy knezia, palające ogniem niepokojnym, nagliły Dobrosława do jak najspieszniejszej odpowiedzi. A człek, co miał tak niecierpliwie oczekiwane przynieść wiadomości, był powolny, rozmyślny i wążący mowę swą, a wyraz każdy, niepewny siebie, jeśli nie bojaźliwy, to do zbytku rozważny. Zbierał więc myśli, gdy Mieszko posadzający go, że się ociągał tak, bo nie mu dobrego nie przynosił, płonął już gniewem przedwczesnym. Pierwsza myśl, jaka mu się nastęrczyła, była, że Bolesław teraz gorliwy chrześcijanin, mógł mu tak wzgardliwie odpowiedzieć, jak Świętopełk Morawski ochrzczony poganinowi Borzywojowi, przybyłemu doń w gościnę, gdy do stołu zasiąść mieli.

— Niegodzieneś się przy mnie... ze psami usiądź i jedz na ziemi...

Dobrosław spostrzegłszy ognistą twarz pana, strwożył się wielce.

— Miłościwy panie, pozwólcie mi powiedzieć, jako umiem, to, com widział i co słyszałem. Złego nie przynoszę nic! — ani słowa wzgardy, ani niechęci, owszem pokój, zgodę i przyjaźń od knezia Bolesława...

Twarc Mieszka się rozchmurzyła, odechnął.

— Strasznyż ten Bolko Luty, ten zwier okrutny?... — zapytał.

— Minęły te czasy, gdy Bolko był tak okrutnym — mówił Dobrosław. — Ze śmiercią i ucieczką Drahomiry zmieniło się wszystko. Bolesław zestarzał, osłabł... pokutuje dobrowolnie za przelaną krew... on i jego dzieci... Strachkwas, ten syn, co się narodził w dzień zabicia Wacława, jest duchownym chrześcijańskim; Młada, córka jego, zamknięta w klasztorze u św. Jerzego... zabity brat za świętego jest poczytywany i po śmierci czyni cuda.

Mieszko się rzucił z dziwnym śmiechem. Dobrosław zamilkł.

— Co uczynił z bratem — rzekł kneź — wiedział dlaczego... państwo podzielone być nie mogło. Ale mógł mu oczy kazać wylupić, niechby żył... A że książątek nieposłusznych nabił dużo... dobrze uczynił — dodał — inaczejby nie panował i nie obronił się. Srogi jest, ale rozumny... przebiegły...

Dobrosław milczał.

— Mów, silny on jest? — zapytał.

— Siły jego nie znam, lecz wiem to — począł Dobrosław — iż go i cesarz szanuje, a ma za sprzymierzeńca... i Niemcy się go boją, i Ugrowie siedzą cicho...

— Rozumny jest i ja szanuję go — odezwał się Mieszko — i dlatego chcę jechać do niego, rękę mu podać a powiedzieć, bądźmy

jako dwaj bracia... a nie zapotrzebowujemy cesarza ani Niemców, ni ty ni ja... i będziemy silniejsi od nich... Ziemie to nasze, język nasz... nie damy ich... Panujmy we dwu...

Zamilkł chwilę i cicho mruknął do siebie.

— Potem, gdy bezpiecznie będziemy od Ugrów i Niemca, zobaczymy, między nami, komu dane ma być panowanie... Ziemie nasze ciągną się szeroko... a to, co nam wydarł cesarz, odbierzemy... Co on mówi? — spytał Mieszko — co myślisz o mnie?

— Miłościwy panie — odparł Dobrosław — kneź Bolko Luty mógłby równie nazwać się Mileczącym jak Sierdżistym... nie mówi on nic, a głosu dobędzie wówczas chyba, kiedy miecz chowa... Rzekł mi tylko: Zechce przybyć Mieszko, rad mu będę. Chce, bym go czcił jak brata, uczynię to... zapragnie, abym go wrzekomo nie znał, udam, jakoby nie wiedział, kto jest... Kneziowi oczy zajaśniały.

— Dobrześ sprawił twe poselstwo — rzekł — a powiedz sięli podróż moja, do której wnet gotować się każę, otrzymasz nagrodę i łaskę moją mieć będziesz.

Nie skończyło się na tem badanie, ponieważ Dobrosław nie po raz pierwszy na dworze pragskim przebywał, a dzieje tamtejszych książąt znał; Mieszko pytał o nie i o wszystko, co zasłyszał... o krwawe przygody rodu, dziś pokutującego za krew przelaną, o stolicę, gród, o kraj, czyli ochrzczony był cały, jak lud nową wiarę przyjmował, i jak go do porzucenia dawnej skłonić umiano?

Wreszcie, dopytując o cały ród Wratisławiczów, Mieszko jał badać, czy dziewczki kneziowskie poślubione były i dlaczego mężów nie znalazły?

Jał tedy Dobrosław opowiadać, iż jedna z nich poświęciła swe życie Bogu, a takie dzie-

wice za mąż nie wychodzą; druga zaś, Dubrawka, dojrzała już, wolną była.

— Widziałeś Dubrawkę tę? — zapytał kneź ciekawie.

— Obyczaj chrześcijański nie zakazuje niewiastom pokazywać się i zamykać ich nie zmusza; przychodzą one i obcuja wraz z mężczyznami... Na dworze więc Bolka Lutego — mówił Dobrosław — widziałem Dubrawkę. Dziewica urodziwa, dorosła i dojrzała, wesola i śmiała jak na kniehinie przystało... Śpiew i płasy lubi... odwagę ma mężką prawie, a rozum też jak niewiele niewiast miewa...

Zamilkł Mieszko zamyślony, lecz nie odpuszcił jeszcze Dobrosława; po chwili pytał znowu, jaki był na dworze porządek i dostatek, jak tam przystało jechać i okazać się, skromnie czy pańsko?

Wielkiego pocztu z sobą prowadzić przez Łużyce i Czeską ziemię nie było podobna, w kilku się przekradać dla knezia nie przystało. Dobrosław radził w kilkadziesiąt koni wyruszyć i obiecał tak prowadzić lasami, wymijając gródki łżyckie i czeskie osady, idąc za biegiem Łaby i Wełtawy, iż niespostrzeżeni prawie do Pragi samej przybyć mogli, jakby na łowy się wybrawszy.

Nie chciał też Mieszko, aby u niego w domu ktokolwiek wiedział o celu podróży; ani zresztą było we zwyczaju oznajmować o tem.

Zaraz nazajutrz do drogi sposobić się miano, wybierając do orszaku zaufanych ludzi, najlepszą zbroję, najpiękniejsze konie, najświeższe szaty, a dla knezia Bolka wspaniałe dary. Stogniew, który nigdy nie odstępował Mieszka, Dobrosław i Włast, dlatego że oba chrześcianami byli i za tłómaczów służyć mogli, oprócz tego komornicy najulubieńsi, którym nie mówiono dokąd kneź jechał, wyznaczeni zostali.

Włast, przypomniawszy starego ojca Gabryela, którego chciał uwolnić, odważył się prosić by i on mógł kneziowi towarzyszyć. Zmarszczył się na to kneź, ale zezwolił, nakazując tylko, aby starego jeńca ludzie między siebie wzięli. Nie chciał, aby widocznym był i dał odgadywać drogę, którą się udać mieli... Włast zaś miał potajemną nadzieję, iż raz między chrześcian się dostawszy, uwolnić go potrafi.

Gdy Mieszko, wydawszy Stogniewowi rozkazy, obu ich nareszcie odpuścił, Dobrosław i Włast wyszli razem. Na grodzie z sobą mówić nie mogli, lękając się, by ich nie podsłuchano, wyszli więc za wały, w pole nad rzekę i tam sam na sam siedli.

Dobrosław nie mógł się wstrzymać, by z radości nie uścił Własta.

— Rozradowane jest serce moje! — zawołał w uniesieniu. — Stało się, o co prosiłem Boga... Mieszko nasz jedzie do Bolka... a rozumny pan, ujrzy, że nic mu nie pozostało, ino przyjąć tę wiarę, bez której my ocaleni być nie możemy. Z nią do nas przyjdzie wszystko, i ziemia nasza zakwitnie, — a Niemcom odjęty będzie pozór prześladowania... Jeśli się nie mylę, Mieszko chce być chrześcianinem, ale się lęka..

— On? a kogóż lub czegożby się miał trwożyć?... — zapytał Włast.

Dwanaście lat nie byliście z nami — począł Dobrosław — nie znacie, co się u nas dzieje... Starą wiarę, którą lud żyje i oddycha, w której się narodził, urósł, — nie łatwo wytepić... Policzmy, ile nas tu jest chrześcian a ilu nieprzyjaciół?... W chwili, gdy pan nasz przyjmie chrzest, wszystko, co mu dziś służy, obróci się przeciwko niemu...

— Lecz siłę ma! — rzekł Włast.

— I tak siła stanie po stronie ludu... Mru-

czą już teraz i odgrażają się... Patrzą na nas groźnie, choć tylko posadzają...

— Nie przetoż — rzekł Włast — ulęknąć się potrzeba i w błędzie pozostać... Bóg pomoże...

— Tak — dokończył Dobrosław. — Ale krwi wiele się przeleje... I westchnął smutnie.

Gwarzyli tak długo jeszcze, gdy wreszcie Włast, który kneziowi nazajutrz miał towarzyszyć i potrzebował na to od ojca pozwolenia i wyprawy, pożegnawszy Dobrosława, na koń siadł, aby jechać do Krasnejgóry, z kądem nocą mu powrócić było potrzeba.

Droga była mu dosyć dobrze dawniej znaną, a oddalenie niewielkie; sam jeden więc konia wzięwszy puścił się, aby przed wieczorem stanąć u ojca.

Więcej niż on sam koń go do domu i żłobu prowadził. W Krasnejgórze znalazł ten sam spokój, jaki zostawił; wybiegła przeciw niemu Hoża, szczebiotaniem go witając, ukazała się z za węgla z nieodstępną kądzielą stara przadka, twarzą dosyć pochmurną zwracając się do wnuka, naostatek wyszedł Luboń stary, ucieszony syna powrotem, i Jarmierz, który wraz z nim sądził, że kneź Własta puścił do domu.

Syn skłonił się ojcu do nóg i oznajmił, że po wyprawę tylko przybył i dla opowiedzenia się, bo kneź nazajutrz jechał w drogę (zakazano mówić dokąd) i kazał mu być w swym orszaku. Nachmurzyła się twarz Lubonia, ale wola książęca musiała się spełnić. Jarmierzowi kazano wydać, co Włast potrzebował, aby wstydu ojcu nie uczynił.

Wszystko, co żyło w domu, zbiegło się do przybyłego, który musiał opowiadać o dworze, co widział tam i słyszał.

Stara Dobrogniewa mileząc przysłuchiwała się także, ale z twarzą posępną. Wolałaby

była mieć na oku wnuka, zwłaszcza, że podejrzenia jej, co do chrześcijaństwa nabrały teraz większej jeszcze wagi. Po odjeździe Własta, stara potajemnie rozwiązała zostawione przez niego sakwy i znalazła w nich kielich srebrny, patynę, ampułki, wyszywane przybory do odprawiania mszy św. służące, co wszystko za czarodziejskie jakieś narzędzia chrześcijańskich wieszczków mając, wnuka już zgubionym sądziła. Tak ona jak i Luboń nie widzieli innego ratunku, tylko ożenienie go i trzymanie na oku. Pobyt na dworze nie był im na rękę.

Gdy oprócz innych rzeczy Włast i swoje go zostawionego węzła zażądał, stara wydała go wprawdzie, ale zasępiła się więcej jeszcze.

Tymczasem dobywano szaty i uzbrojenie, wyprowadzono innego konia i Jarmierz pilno się krzątał około wyprawy syna pańskiego.

Luboń napróżno dopytywał, dokąd jechali i na jak długo, i nie zdziwił się, gdy syn mu odpowiedzieć nie umiał, gdyż nie było w obyczaju knezia, naprzód oznajmywać o sobie. Stary ojciec tem się pocieszał, że wyprawa musiała mieć wojenny cel i że syn się zaprawi do oręża.

Ściemniało już nieco, gdy się przygotowania skończyły i Włast na koniu objuczonym, pożegnawszy swoich, nazad ku Cybinie wyruszył.

W pierwszej swej jeździe z Poznania miał za przewodnika konia, teraz choć drogę mu rozprowadziano i on sam ją sobie przypominał, gdy w las wjechał, niebardo jednak sobie umiał poradzić. Dróg wielkich nie było, gdzieś lasem i zaroślami prowadziła mało wybita ścieżka. O zmierzchu niedobrze ją było można rozeznąć. Puścił się więc, kierując mniej więcej w stronę, w której gród, jak mu się zdało, leżeć musiał.

Noc nadchodziła szybko, pusto było dookoła. Włast niecierpliwie zwracając się różnie podług swej myśli, wkońcu się zupełnie zbłąkał; las coraz był gęstszy, zarośla niedostępniejsze, a mrok we wnętrzu jego trudno rozpoznać dawał drogę i kierunek. W gęstwinie żadnego głosu i znaku życia nie było. Wreszcie z koniem się przez nią przedzierać coraz trudniej się stawało. Zsiadłszy więc z niego, dla lepszego rozpoznania ścieżek i prowadząc go w rękę, szedł Włast, nie wiedząc dobrze, co pocnie.

Dosyć już długo błądził tak, coraz mniej mogąc zmiarkować, w którą się miał kierować stronę, gdy w głębi lasu zdała spostrzegł światelko. W miejscu tem podnosiło się nieco wzgórze lasem zarosłe i ogień rozpalony był na jego wierzchołku; kłęby czerwonego dymu wily się wpośród drzew i płomienie oświecały wysokie pnie starych dębów.

Włast, zbliżając się, dostrzegł gromadę ludzi, z których jedni stali, drudzy siedzieli dookoła ogniska. Uszu jego dochodziły stłumione i zmieszane głosy.

Niepewien będąc na kogo trafił, i lękając się, aby go samotnie jadącego nie odarto, przywiązawszy u dołu konia do pnia sosny, sam pieszo poszedł pocichu na zwiady. Ostrożnie się przedzierając przez krzaki, zwolna się zbliżył ku wierzchołkowi wzgórza, tak że mógł już ukryty za kłodą obaloną dojrzeć i słyszeć, co się tu działo.

Płaszczynę wzgórza okrywały rzadko rozsądzone drzewa olbrzymie. W pośrodku stał najogromniejszy ze wszystkich dąb rozłożysty, którego gałęzie wielką przestrzeń ziemi osłaniały. U pnia jego widać było przy ognisku głąz mchem obrosły, napół w ziemię wpadły. Kilkunastu ludzi z brodami długimi, z dzidami

i kijami w rękę, stało nieopodal, kilku siedziało. Naczynia gliniane na kamieniu rozstawione były.

Z kolei starcy ci głos zabierali. Niektórzy mówili tak cicho, że ich posłyszeć nie było można, inni podnosili głos.

Włast, który w ciągu pobytu na grodzie zbliżał się przez ciekawość nie raz do świątyni, postrzegł tu też same twarze, które tam widywał. Byli to wieszczkowie i gęślarze od kontyny, a z nimi inni jacyś ludzie. Miejsce musiało być ofiarne, jak to kamień oznaczał.

Rozpoznawszy nieco ludzi i twarze, Włast przysunął się bliżej. Tu mógł już słyszeć, co mówili i wyraźniej widzieć starych, co ołtarz otaczali.

— Z Niemcami — mówił jeden — i z ludźmi, co u nich żyli, obcuje ciągle, — nami gardzi!... Pieśni posłuchać nie chce, a trafi na nią, to się śmieje i ramionami rusza. Ponawracali na swą wiarę Lutyków i Obotrytów wielu, wzięli Czechów... przyszła kolej na nas... Biada nam... ten nas zgubi... ten, nie kto inny, z oczów mu to widać...

— U niego na dworze — rzekł drugi — najlepší ci, co zdradę od nich czuć... Do kontyny po wróżbę nie pośle; gdy idzie na wyprawę, nas nie byta... wieszczby żadnej nie chce... niewolnika nie zabito na ofiarę lat już wiele...

— Bojan niech powie — przerwał inny — czy kiedy on, albo siostra poszli się pokłonić do gaju, albo złożyli objatę... — nigdy...

Szemrano coś niewyraźnie.

— Czuć u nas to, co było w Czechach... kontyny obalą... drzewa wytną... — a Niemców zaprowadzą krzyknął jeden...

— Niedoczekanie ich! — ozwał się potężny głos z ziemi — nie da się lud... obroni bogów swoich... Pilne na niego mamy oko... Stogniew,

który ucho jego ma i od boku nie odstępuje nigdy pierwszy wstanie przeciw niemu... wstaną kneziowie inni, kmiecie wszyscy... uczynią mu, co zrobili z Leszkami... Znajdziem wodza innego...

— Lud zbrojny ma w rękę...

— Nie pójdzie z nim na nas... — rzekł siedzący — nie pójdzie...

Gwar powstał znowu.

— Gdy tylko zdraalny znak da, ubiją go... — mówił jeden.

— A Sydbór? — zapytał ktoś z tłumu.

— O! ten mu służy jak niewolnik, i uczyni, co każe...

— Na co nam Sydbóra... mamy innych...

Zaczęli po imieniu liczyć nieznanych Włastowi władków i kmieci. Niektóre tylko w pamięci utkwieć mu mogły.

Na ziemi u kamienia siedzący wywoływał tych, którym ufano.

— Zawist, Nadek, Sulin, Staniec, Rodosz, Besior, Sulenta...

— Wtem z boku krzyknął ktoś imię ojca jego:

— Luboń...

— Nie — zaprzeczył drugi — Luboń mu nogi liże...

Gwar i sprzeczka powstała; ktoś Stogniewa o zdradę zaczął obwiniać, inni go bronili mówiąc, że pewni byli, iż wiary dotrzyma i swoją ręką gotów ubić pana, gdyby chciał trzymać z Niemcami i ich wiarą.

Dość długo trwała coraz gwarniejsza rozmowa przerywana cichymi szeptami, aż pieśń jakąś starą zawodzić poczęto.

Przerwała ona radę i spory.

Włast już dłużej słuchać nie mógł i nie chciał; dosyć mu było tego, co pochwycił. Nazad więc zszedł do konia, którego znalazł z za-

platanami cugłami u drzewa, siadł nań i na los już się puścił, nie kierując wcale. Noc była nadeszła gwiaździsta, pogodna ale ciemna; koń instynktem szukając drogi łatwiejszej, wyprowadził go na łąkę. Zrozpaczywszy by na noc mógł się dostać do grodu, chciał na niej obozować do dnia Włast, gdy dostrzegł cień idącego człowieka nieopodal się przesuwanego. Ozwał się doń nawołując. Człek stanął.

Zbliżywszy się, ujrzał zbłąkany starca o kiju, znać jednego z tych, którzy na wzgórzu byli na radzie, powracającego do chaty. Zawołał nań o drogę do grodu, pytając.

Przypatrzywszy mu się bacznie, stary wskazał ręką kierunek, dodając:

— I ja tam idę. Z boru się prędko wydostaniemy, a za borem widać gród, — traficie doń sami.

Na zapytanie, zkadby jechał, odparł Włast, że z Krasnejgóry; nie znając drogi zbłąkał się, a do grodu mu było pilno.

— Wyście tu obcy? — spytał stary idąc powoli koło konia.

— Obcy nie jestem — rzekł Włast, — alem tu nie bywał dawno.

— Wojowaliście?

— Nie — począł spytany — w niewoli byłem u Niemców.

— Psie syny — mruknął stary. — Wszystkich nas oni pobiorą i wprzegną do pługa... pobrali już braci naszych nad Łabą, i nad Odrą, poburzyli kontyny, powycinali gaje... Zdradzili nas knezie nasze i sami do nich poprzystawali... starszyna nas sprzedawał... ale przyjdzie czas i na starszynę i na nich... Dosyć my się łez napili, — drudzy krew pić będą musieli...

Umilkł chwilę stary, ale idąc mruczał, jakby przeklinał, a że Włast mu nie wtórował i nie odzywał się, umilkł wkrótce.

Z tych słów i z tego co podsłuchał na wzgórzu, mógł się przekonać Włast, jakie było usposobienie między Polany.

Z lasu wyjechawszy, zobaczył już zdala rozrzucone światła i ogniska nad Cybiną.

— Jedźcie — odezwał się stary — wam pilno... ja pójdę pieszo powoli... ze starym się wlec młodemu nudno...

I spuściwszy głowę na piersi, pokazał mu ścieżkę wiodącą do grodu. Włast konia popędził i wprędce stanął u okopów, gdzie straż przy ogniskach leżała.

Nie wstrzymał go nikt, wjechał więc do uśpionego zamku i zabrawszy sakwy swoje, a postawiwszy konia, pośpieszył do o. Gabryela.

VIII.

Piękny był wieczór kończącego się lata, po za którym już nieco nadchodzącą jesień czuć było. Przeszły lipcowe skwary, noce zaczynały być orzeźwiające i chłodne, drzewa wprzód powarzone upałami, zdawały się odżywać na nowo.

W blaskach południowych, w świeżej tej zieleni drzew zwieszonych konarami nad Węłtawą, jak gdyby wody jej pić chciały, cudnie wydawała się okolica Pragi, ze wzgórzem Hradszyna, którego sterczące wysoko mury widać było zdala.

Gromadka, z kilkudziesięciu złożona zbrojnych ludzi i dostatnio poprzybieranych, zatrzymywała się właśnie w gaju nad rzeką, dla spoczynku i narady o dalszym pochodzie. Miasto już ztąd widać było.

Podróżni przybyli z dalekiego znać kraju, konie mieli zdrożone i suknie pyłem okryte. Niektórzy ocierali pot z czoła i zsiadali z wierzchołków, aby się po męczącej wyprostować jeździe.

Wybrano na to ustronny, cienisty kąt nad rzeką, aby ludzie i konie przed wjazdem do obcego miasta, oczyszczone i przybrane, lepiej wydać się mogły.

Orszak, mimo, że ucierpiał w podróży, okazał się wydawał; składająca go młodzież była urodziwa i silna, konie piękne i okazałe, oporny na nich z sukna cienkiego, broń jednokawa u wszystkich, doborna i droga. Sama liczba ludzi towarzyszących panu, który właśnie pod drzewem spoczywał, mówiła o jego znaczeniu. Kneziem po drodze mianowali go i ci, co go nie znali, czołem mu bijąc nisko.

Z juk na luźnych koniach zdejmowano właśnie, co było potrzeba włożyć na konie i ludzi, aby nie ładajako się pokazać u obcych. Tymczasem gromadka wojaków wesoło się rozpierzchła po okolicy, szukając cienia, pragnąc wody.

Orszak ten stojący chwilowo obozem pod Pragą, należał do Mieszka, Ziemomysłowego syna.

Widać było w pośród niego Dobrosława, Wiotkiego, Własta, syna Lubonia i starego jeńca o. Gabryela, którzy razem na uboczu się trzymali. Oprócz nich nikt, gdy wyjeżdżali z grodu nad Cybiną, nie wiedział, dokąd jadą i po co. Domyślał się może bystrzejszy Stogniew z tego, co wieźli z sobą, że nie na wojnę się wyprawili.

Prowadzeni przez Dobrosława drogami mu znajomymi, napozór bez żadnego drogi śladu, górami i lasami gęstymi przedzierali się podróżni, idąc za biegiem Łaby i Wławy, aż do stolicy czeskiej, do Pragi. Zręcznie musieli unikać

i wymijać gródki nad rzekami, osady w parowach i kupki włóczących się za łupieżą Serbów, Niemców i różnych rabusiów zbrojnych. Ale w tem przedzieraniu się cichem, do którego wdrożeni byli, na męztwie i przebiegłości nie zbywało ludziom Mieszkowym. Dobrze zbrojni, silni, byliby się i dwakroć większej nie ulękli gromady.

Na czeską ziemię wszedłszy, już śmielej posuwać się mogli, bo Dobrosław miał słowo książęce... Bolko Luty wiedział o odwiecznych Mieszka i rad mu był bardzo; różne rachuby wiązały się z tem zbliżeniem dwu kneziów sąsiadujących z sobą. Polański pan i czeski — oba pono liczyli na siebie; obu się marzyło może, Bolkowi szczególnie, który potężniejszym się czuł i o cesarstwo opierał, że pobratyma hołdownikiem, podległym sobie uczynić potrafi.

Zwycięztwo odniesione nad Ugami wbijało Bolka w dumę, a czasowa podległość cesarstwu, nie upokarzała: mógł się on z niej wyzwolić, kiedy chciał, a do tego wszak i Mieszko mógł mu być pomocnym.

Przodem wysłany Dobrosław, wyrozumiał dobrze, iż tu zdrady nie knują, bo z niej by nie mieli korzyści.

Mieszko jechał, w głowie coś obmyślając, przez całą podróż zadumany i chmurny. Raz z noclegu chciał zawrócić nad Cybinę, potem Dobrosława badał znowu, a gdy stanęli na ziemi już ochrzczonej, niepokój zwiększył się jeszcze. Kneź się wszystkiemu przypatrywał z ciekawością chciwą, czasem z trwogą prawie.

Tu już panował wszędzie ten Bóg wielki, jedyny, potężny, któremu on jeden, poganin, nie kłaniał się jeszcze. Gdziekolwiek spotykali po drodze ślady świeżego jeszcze nawrócenia, powycinane gaje święte, obalone ołtarze stare; u krynic pozatykane niedawno krzyże

drewniane, ściany rozwalonych kontyn, ziel-
skiem porosłe, wśród których sterczały już zna-
ki nowej wiary.

Na widok tego zniszczenia, wydającego
mu się świętokradztwem, Mieszkowi twarz pło-
nęła gniewem, niedowierzająco spoglądał na
spokój, który te miejsca otaczał, dziwiąc się, iż
starzy bogowie krzywdy swej nie mścili. Mi-
mowolnie rodziła się wątpliwość o ich sile?
Każdy krzyż obawą go napępiał. Spoglądał
nań z zabobonną trwogą, azali nie pozna on
w nim obcego i wroga. — Z temi niepokojącemi
wrażeniami w duszy Mieszko przybył aż pod
Bolesławową Pragę!

Dobrosław, jakby odgadując myśli jego,
dodawał mu ducha, ręczył i zapewniał o gościn-
nem przyjęciu. Kneź słuchał i mileżał.

Komornicy przynosili mu właśnie bogate
ubranie i płaszcz czerwony, złotem szyty, który
miał wdziać na siebie, Włast podawał kołpak, dru-
gi miecz przypasywał, gdy zdala nadbiegł Sto-
gniew z twarzą dziwnie rozpromienioną i wesołą.

— Miłościwy panie! — zawołał. — Zanim na
hrad pana Bolesławowy przybędziemy, zapraw-
dę warto się przyjrzeć tutejszym niewiastom —
ja się im już niepostrzeżony przypatrywałem!
Krasne stworzenia! Oto tu, nieopodal nad rze-
ką przybiło ich kilkanaście czółnami, czy dla
kąpieli, czy dla zabawy. Usadowiły się na łą-
ce w gaju i śmieją się, płasają a śpiewają i pie-
śni zawodzą. Muszą być chyba z pańskiego
dworu, bo pięknie strojne i wyglądają, jak kró-
lewny.

To mówiąc na zarośla ukazywał.

A chociaż mówił dosyć cicho, komornicy
pańscy coś o dziewczętach posłyszeć musieli
i kilku z nich zaraz biedz poczęło w stronę
ukazaną; — ale Stogniew pogroził im, wstrzy-
mał i cofnął, aby nie spłoszyli pierzchliwych.

Mieszko porwał się śpiesznie i począł iść
za Stogniewem, który go poprzedzał, na Dobro-
sława skinawszy, aby mu towarzyszył.

Za łąką na której odpoczywali, gaj się
w tej stronie poczynął podszyty, i gęstwiną
można się było podkraść do miejsca, ku któ-
remu Stogniew prowadził. Dokoła osłaniały
kawał zielonej murawy u brzegu, stare drze-
wa, z pospuszczanemi w dół gałęzmi.

Cicho było i chłodno w tej ustroni od
oczów ludzkich zakrytej, a Weltawa mrucząc,
myła zwieszzone nad nią trawy i kwiaty. Na
falach jej, tuż u brzegu kołysało się kilka czół-
nen okrytych suknami, z tych właśnie reszta
gromadki postrojonych, kraśnych dziewcząt wy-
siadała, poskakując, wiosła rzuciwszy na nie.

Temu, co znał czeskie podania, wydać się
mogło, że Własta ze swojemi towarzyszkami,
z grobu wstała i jakaś Lumirowa pieśń ze sło-
wa w widmo się zmieniła.

Dziewczęta wszystkie prawie jednako by-
ły poubierane, w wianuszkach dziewczęcych na
głowach, z kosami, w krasne wstęgi wplecione-
mi, w białych cienkich gzałach, szytych wzorzy-
sto i malowanych zapaskach. Niektóre z nich
były bose, inne stapały w chodaczkach wyszy-
wanych z czerwonymi około nóg pooplatanemi
sznurkami. Biegały po łączce, jakby sposobiąc
się do jakiejś zabawy.

Śmieszki rozlegały się wesołe, ale tłumio-
ne jakby poszanowaniem i trwogą, którego po-
budkę odgadnąć było łatwo.

Wśród tego wienca dziewczątek, od lat
piętnastu do ośmnastu, dobranych jakby do
wieku i miary, stała urodziwa dziewczica, w któ-
rej po stroju i twarzy poznać było można panią.

Wzrostem bujnym o głowę całą przecho-
dziła towarzyszki swe, a postawą poważną

i dumną wszystkie je gasiła. Z wianku i kos znać w niej było dziewicę — niedopiero rozkwitła, ale w pełnym młodości kwiecie. Starszą była znacznie od swych towarzyszek, zdawała się też mieć zwierzchnią władzę nad niemi.

Dziecko pańskie, krew rycerską, potomstwo jakiejś Libuszy czuć było w pięknej pani. Silna jej dłoń biała nie ulękłaby się znać miecza, ani cugli szalonego konia: na twarzy nicco smagłej, w czarnych oczach ognistych paliło nieustraszone męstwo, ale razem z niem swobodna panowała wesołość. Nie zbywało jej na wdzięku niewieścim w ruchach zręcznych, ale męzka śmiałość z nim się łączyła.

Taką niewiastę — panią, nie łatwo było spotkać i zobaczyć, gdy one wszystkie sługami były, — i Mieszko, ujrawszy ją, wlepił oczy ciekawie, oderwać ich niemożąc od tego zjawiska, wydającego mu się czemś czarodziejskiem, wyższem i doskonalszem nad to, co widywał w życiu.

Wśród kilkunastu młodszych i piękniejszych ona ciągnęła oczy jak królowa.

Na pierwszy rzut oka, otaczające ją dziewczęce twarzyczki gasły, gdy po tamtych oko przebiegało, od tej wzrok oderwać się nie mógł!

Rysy twarzy znaczyły się ostro i dobitnie, coś męzkiego miały w sobie, ale niewieści urok okraszał je uśmiechem; białe zęby, wśród ciemnych ust różowych, jak dwa sznury pereł jaśniały.

Silą, wzrostem, urodą wśród tej gromadki nieznajoma pani zajmowała pierwsze miejsce. Wszystkie dziewczęta patrzyły jej w oczy, czekały skinienia, zdawały się chcieć zgadnąć myśli.

Dziewica, mianując je po imionach: Młoda,

Hodka, Swatawa, Radka, Wradka, Czastawa, jakby z pieśni pożyczonych, wyznaczała im miejsca na łące, stawiała kołem przy sobie, kazała się brać za ręce, i plasnąwszy w dłonie białe, dała znak.

Razem ze wszystkich ust odezwała się piosnka rzewna jakaś, a na pół wesoła, dziewczęta w takt jej się poruszyły i śpiewając poczęły płaś, obracając się około pani.

Ona, stojąc w pośrodku ich, słuchała z widoczną rozkoszą, nucąc zcicha, pochylając głowę, niekiedy przyklaskując w dłonie, lubując się skokom i pieśni.

Widok tej zabawy dziewczęcej poruszył knezia i zajął niewymownie; oczy mu zabłysły i usta się śmiać poczęły. Ukryty w zaroślach wpatrzył się tak, że zapomniał o wszystkim, co go otaczało i czekało, gdy Dobrosław, zlekka go potrąciwszy, szepnął mu do ucha:

— Kniehini Dubrawka.

Była to w istocie córka Bolesławowa, jedyna po wnijściu Młodej do klasztoru. Dubrawka, która dotąd, nieznalazszy sobie małżonka, i nieszukając go, pędziła przy ojcu życie swobodne, niebardzo o przyszłość się troszcząc.

W jej pięknych na pół męzkich rysach, widać było bujną krew tego rodu Przemyśłowów, który we złem i dobrem nie znał miary, córkę Drahomiry Lutyckiej, co nad miłość własnego dziecka przeniosła chęć panowania, córkę Bolka Lutego, co nad sobą starszemu nie chciał dać przewodzić, synowicę Waclawa, co pobożnością stał się niemal kapłanem, enotą doszedł świętości, pogardą życia — męczeństwa — krew rodu pańskiego, wojowniczego, stworzonego do królowania i dowództwa. Ojciec jej był jednym z kneziów czeskich — a został jedynym. Co mu nie ulegało — pościślał.

Takiej niewiasty męznej i silnej wśród

ówczesnych pokornych i bojaźliwych, — bo ja do tego z dzieciństwa wdrażano, — Mieszko nawet nie marzył. Znał je trwożliwemi tylko, zachwałami w gniewie, a rozplywającemi się we łzy na skinienie, płochemi i płochliwemi. Ta niewiasta, jakby stworzona dla wojaka, zachwyciła go.

Zapomniawszy się, czy umyślnie, Mieszko gaszcz, która go zakrywała przebił i stanął na widoku, aby się swobodnie przyjrzeć tej królownie i pięknym jej towarzyszkom.

Lecz zaledwie się ukazał, kilka dziewcząt spostrzegło tę strojną postać mężczyzny nieznanego, obcego, nagle zjawiającą się, jakoby czarem z ziemi wyrosłą — i pieśń zmieniła się w okrzyk przestrachu. Zakrywając oczy, rzuciły się strwożone i pobiegły do czółen, szukając w nich schronienia.

Jedna Dubrawka nie ułękła się, choć nie wiedziała jeszcze, co ten strach wzbudziło i odwróciła się śmiało a groźnie, spoglądając w stronę, gdzie stał Mieszko.

Zadziwił i ją zapewne człowiek nieznanym, który śmiał tak podejść na zabawie i podpatrzeć. Z brwią namarszczoną spojrzała groźnie na Mieszka, który stał, uśmiechając się.

Groźna twarz dziewczicy wcale go nie przerażała; dopiero wpatrzywszy się w nią, gdy spostrzegł na szyi wiszący krzyżyk, — pochmurniał. Znak ten spotykał wszędzie, — nawet... na tej pięknej kniehini.

— Kto wy jesteście? co tu robicie? — donośnym głosem zawołała Dubrawka.

— Piękna kniehini — rzekł, ośmielając się Mieszko — jestem wojak podróżny... szukam służby do wojny, może wy mnie przyjmiecie?

Dubrawka popatrzyła nań długo, z dźwięku mowy do czeskiej podobnej, a trochę różnie brzmiącej, starając się odgadnąć, zkądby ten

przybysz pochodził? Suknia bogata świadczyła o nieprostego stanu człowieku. Płaszcz miał na sobie książęcy.

Żartobliwie jakoś zaczęły się jej uśmiechać usta.

— Hej! — rzekła, biorąc się w boki. — Nie proście wy się na służbę do mnie, — służba ciężka, spokoju nigdy niema, nie wydołalibyście u mnie! Wojaków moich głodem morzę, a gdy się popsują, policzkami naprawiam. Niezdrowo służyć u mnie.

— Jednak mi jakoś nie strach tej grozy — odparł swobodnie, przybliżając się ku niej Mieszko — a cóż wy sługom płaciecie, piękna pani?

— Ho! różnie! — poczęła wesoło Dubrawka. — Czasem kijami, czasem różgami, niekiedy ciemnicą o chlebie i wodzie. Jabym was też do służby nie przyjęła, boście już musieli wielu takim panom służyć! A no, choć nie mój sługa, ukaraniaście godni: kto wam się tu wkraść pozwolił? Radzę, wam, uchodźcie, bo moim dziewczynom każę na was uderzyć, a to wszystko Własty wnuczki i wojaczki z Dziewina!

Mieszko rozśmiał się głośno.

— A no, piękna kniehini, — wydawajcie do wojny rozkazy! Kiedy wojna, to wojna... Gdy mi ją wypowiecie, na was pierwszą uderzę.

Słyszac to wyzywianie, dziewczęta na wpół w czółnach pochowane, ośmielone żartobliwą rozmową, poczynaly głośno śmiać się i chichotać. Niektóre groźnie wiosła podniosły.

— Jam tu też może nie sam i nie bez obro-
ny — dodał Mieszko — a jak klasnę w ręce i moich zawołam, weźmiemy wszystkie do niewoli.

Dubrawce żarty te podobać się musiały; patrzała na nieznajomego z coraz większym zajęciem.

— Wieluż tam was jest na wojsko moje?

Macie tam choć ze dwie sotnie? — odezwała się, śmiejąc.

Wtem wiszący na sznurku rożek wzięła w rękę i pokazała go kneziowi.

— W tym rożku u mnie więcej żołnierzy na obronę, niż wy mieć możecie do napaści.

I wskazała ręką ku Hradszynowi.

— No, to zawrzyjmy pokój z sobą, piękna kniehini — odezwał się Mieszko. — Dajcie mi je-no okup, choćby wianuszek wasz, — to was puszczyć całą.

— Kto? ja? wam? okup? Wianuszka wam się zachciało? Chyba wy mi się wykupicie, gdy wam życie daruję.

— No, zgoda, — okup! przyjmiecie okup odemnie? — zapytał kneź.

Milcząc, popatrzyła Dubrawka na mówiącego, jakby odgadnąć pragnęła, kto był; uśmiechała mu się bez gniewu.

Mieszko miał na palcu pierścień stary, który z domu wiozł, żeby go komu dał, jako zapłatę lub podarek.

Siedział w nim spory kamień czerwony, grubo złotem w plecionkę okuty... Nie mówiąc nic zdjął go z palca i podał Dubrawce.

Kniehini spojrzawszy nań, zarumieniła się mocno, ale nie gniewnie; nie wiedziała sama, czy go ma przyjąć lub odtrącić. Milczała.

— Chcieliście odemnie okupu, — rzekł Mieszko — oto go macie; nie wielki on jest, ale i wi-na nie straszna.

To mówiąc, zbliżył się o krok jeszcze do kniehini i gdy się najmniej spodziewała i gdy się najmniej w twarz ją zuchwale pocałował... Właśnie w tej chwili, jakby na próbę przez ciekawość, pierścień na palec kładła.

Z krzykiem i gniewem Dubrawka popchnęła knezia od siebie tak silnie, że Mieszko się

zachwiał, i pierścień zostawując w jej rękach, natychmiast w gąszcz uszedł, śmiejąc się wesoło.

Tu czekającym nań Stogniewowi i Dobrosławowi dał znak, aby za nim śpieszyli do koni.

Stały one już w gotowości na łące i na dany znak, wszyscy posiadali na nie. Naówczas Stogniew orszak podzielił i ustawił w porządku... Dobrosław samoszóst jechać miał na zamek przodem z oznajmieniem i pokłonem do Bolesława, z prośbą, aby w gościnę był przyjęty nie jako pan polańskiego kraju, ale jako kneź z nad granicy. Wysłaniec miał poprzedzić orszak pański, który wolnym krokiem zwrócił na drogę ku Hradszynowi.

Jeszcze się wszyscy ustawiali na łące, w środek biorąc konie juczne i niepokązną czeladź, a Stogniew ludzi dobierał i szykował, gdy śmiała Dubrawka puściła się w pogoń za uciekającym nieznajomym, i z gąszczy miała czas przypatrzeć się Mieszkowi, gdy na koń siadał z całym swoim orszakiem.

Chciała zrazu zawołać nań, aby sobie pierścień wziął nazad, nie będąc rada zuchwałemu podarkowi, lecz zobaczywszy, że Mieszek otoczony był znacznym orszakiem, zawstydziła się i zachowała pierścień na palcu, nie wątpiąc, że ktobykolwiek był ów nieznajomy, musi się zjawić na zamku, nie gdzieindziej, jak tam zmierzając. Zgadnąć, ktoby to był, trudno jej było; jednakże z rysów twarzy szlachetnych, z butnej postawy, z wielkiej śmiałości człowieka domyślała się kniehini równego sobie stanu jakiegoś pogranicznego pana. Mowa świadczyła, że nie należał do niemieckiego plemienia.

Zadumana stała tak dosyć długo, spoglądając za odjeżdżającymi, aż dopóki jej z oczów nie znikli. Kierunek, w którym odjechali, upewnił ją, że do Pragi dążyli.

Zabawa była już przerwana i popsuta, wnet więc dziewczęta na czołna siadły i Dubrawka z niemi popłynęła do stóp wzgórza, na którym Hradszyn się wznosił.

Od wjazdu na czeską ziemię spotykając ciągle krzyże i znaki chrześcijaństwa, Mieszko nękany był tą myślą, jak on, poganin przyjęty zostanie przez pobożnych teraz i surowych Przemysławiczów.

Owo podanie o Borzywoju, któremu ze psy na ziemi jeść dano, przychodziło mu na myśl nieustannie, i burzył się na przypuszczenie podobnej obelgi, którejby był nie ścierpiał, choćby tam miał życie położyć. Jadącemu więc przodem Dobrosławowi powiedział raz jeszcze.

— Oznajmie bratu Bolkowi, że poganinem jestem, żem niechrzczony, ale przez to zniewagi sobie uczynić żadnej nie dopuszczę. Jeśli jako brata dla pogaństwa mego znać mnie nie chce, od wrót jego precz wolę odjechać.

Ani też myślał Bolesław dać znać Mieszkowi, iż go przez to niższym od siebie czuł: — pragnął go zyskać, nie zrazić... Oba byli wzajem potrzebni sobie.

Zwolna, drapiąc się po przykrej i stromej drodze na górę, orszak Mieszków zbliżał się ku wałom, opasującym gród Bolesława.

Zdale już widać było inny kraj i obyczaj, większą potęgę i umiejętność, przyniesioną z zachodu. Kamienne ściany otaczały dokoła warownię, po nad niemi widać było dachy malowane, a wyżej nad nie sterczał na kościele św. Wita krzyż wielki, którego widok przejął znowu Mieszka trwogą i niepokojem.

Był tu pod panowaniem krzyża. Nad góry wszystkie, nad dwór książęcy, nad góry i lasy w obłoki wzniesiony, królował ten znak tajemniczy, który już całym prawie władał światem i jednoczył świat cały.

Wlepiwszy weń oczy, jechał Mieszko; — nie trwożyło go tu nic, oprócz tego wysoko wyniesionego krzyża, któremu królowie i kneziowie, co żyło podlegało. Krzyż ten stał już nad polańską granicą; — uznać tego Boga, poganinowi zdało się przejściem ze swobody i bezkarności do niewoli i posłuszeństwa. Wydał mu się nieprzyjacielem ten znak wysoko, dumnie świecący na niebiosach ostatnimi zachodzącego słońca promieniami.

Dobrosław, pośpieszywszy przodem, znacznie prędzej stanął na zamku w Hradszynie opowiedział się u bramy, poznany został i wpuszczony, a starszy od dworu Bolesława, poprowadził go do knezia.

Spóczywał Luty Bolko, gdy mu o gościu znać dano, ale wstał wnet, choć ociężały był i już osłabły wiekiem.

Twarz jego nasępiona, blada, od zmarszczek poorana, oczy pod nawisłemi brwiami, niespokojnie biegające, zaciśnięte usta, czyniły oblicze jego groźnem, choć lata i wspomnienia przeszłości znacznie srogość dawną złagodziły. Dziekiego coś zawsze pozostało w rysach tego władcy, na którego ramionach ciążyło niezmyte znamie Kainowskiej zbrodni i niezliczona moc krwawych zapasów, któremi się dobijać musiał panowania nad zjednoczonem państwem swoim! Długa pokuta, ofiara dwojga dzieci nie złagodziła jeszcze tego piętna bratobójczego, którego pamięć odżywiały cuda grobu Wacława. Krwawy ów poranek dnia św. Kuźmy i Damiana, w przedsieniu kościoła w Bolesławiu, stał w oczach starca do dziś dnia.

Gdy Dobrosław stanął przed nim, schylając się do kolan i oznajmując przybycie pana swojego, starzec poruszył się żywo, z widoczną radością przyjmując nowinę.

Wnet kazał podać sobie suknię wierzeh-

nią bogatą, kołpak książęcy, przypasał miecz i ujawszy w dłoń laskę zawołał na dwór, komorników i na starszyznę, by mu towarzyszyła. Posłano po młodego Bolka, syna książęcego, dorodnego i dojrzałego już męża i na jego ramieniu spierając się, otoczony mnogim dworem, zszedł stary kneź w podwórzec zamkowy.

Ale tu jeszcze dobrą chwilę stać musieli, nim we wrotach ukazał się na koniu jadący Mieszko. Ujrawszy gospodarza i orszak jego, wnet z konia skoczył przybywający i stała się w nim zmiana, na którą ci, co go znali, patrzyli ze zdumieniem, nie sądząc, by do niej był zdolny.

Dumny kneź stał się na widok Bolesława niemal pokornym, z uśmiechniętą i łagodną twarzą przybliżył się ku niemu i pochylił nisko głowę, kołpak zdejmując.

— Sąsiad do sąsiada, pobratym do pobratymca! — rzekł. — Przybywam do was, miłościwy panie, z braterstwem i pokojem.

— A ja wam, jako bratu, rad jestem! — zawołał Bolko, obejmując go za szyję.

W tej chwili, podczas tego uścisku, Mieszko mimowolnie wspomniął brata Waclawa i kneź sam drgnął, przypomniawszy dzień Kuźmy i Damiana. Po chwili milczenia wskazał na syna.

— Dziecko to moje, bądźcie mu też druhem — ozwał się głosem cichym.

Nie rzekłszy więcej, pod ręce się wzięwszy, weszli do obszernego gmachu murowanego, który Mieszkowi, nawykłemu do drewnianych dworów, wydał się okazałym nad miarę i prawdziwie królewskim.

Inaczej też wyglądały budowy na Hradzynie, niż u Polan na ich grodach. Tu już prawie zupełnie stare owe rzezane i kraszone słupy misterne, ozdoby z drzewa i ciesielska robota, wedle starego Słowian obyczaju — znikły. Kamień je zastępował i tylko stropy ozdoba-

ne z drzewa przypominały dawniejsze czasy. Gruby mur z ciasnymi oknami otaczał izby niewesołe, ciemne, prawie więzienne. Wszędzie pełno było wśród tego mroku świecących, pozawieszanych zbroi, ryszunków różnych, a na stołach naczyń kruszcowych i kunsztownych wyrobów.

Ściany gdzieniegdzie osłaniały szyte opony kwieciste i kobierce. Oznaki nowej wiary wszędzie uderzały w oczy. Duchowieństwo, które otaczało Bolesława, którego wychowawcem był syn jego, starało się o to, aby nawróceni mieli ciągle na oczach obrazy, przypominające im ich obowiązki. Nie było jednej izby bez wizerunku Zbawiciela na krzyżu, ze straszliwym realizmem wyrzeźbionego wyrażście i nieforemnie. U każdych drzwi wisiało naczynie z wodą święconą, na ścianach obrazki w tłach złocistych, których Byzancjum dostarczało.

Przedmioty te, których znaczenia Mieszko się tylko mógł domyślać, równie go niespokojnym czyniły, jak ów krzyż, który ujrzał w obłokach nad Hradzynom. Na pamięć przychodziły cuda, o których słyszał i których się lękał.

Gospodarz i gość po chwili siedli razem na ustroniu, we wgłębieniu muru, z którego wychodziło okno ku Pradze. Dwie ławy kamienne, okryte wezgłowiami bogatemi, jakby dla ustronnej rozmowy przeznaczone się zdawały. Stary Bolko ręką wskazał Mieszkowi na stolicę, która u stóp jego się rozciągała.

Nigdy równie pięknego obrazu nie widziały oczy Mieszka, do równin polańskich i lasów nawykłe. Z okna tego widać było wesoło płynącą wśród zielonych drzew i zarośli rzekę; z głębin tej zieleni sterczały wybijające się do góry dachy domostw licznych, rozsypane szeroko i krzyże kilku kościołów. Zielona wyspa zarośla także drzewami, jak kosz kwiatów pełny

śmiała się, zdając kołysać na srebrnych wodach Weltawy.

W milczeniu patrzali oba czas jakiś na ten widok; — w oczach starego Bolka, jakby lza się zakreśliła choć one do niej nie były nawykłe. Może przeczuwał niedaleki zgon i rozstanie z tym pięknym krajem, okupionym tak drogo.

W owych wiekach i w spotkaniu podobnem rozmowa wcale inną być musiała, niż pomiędzy panującymi późniejszych wieków. Oba ci ludzie nie umieli słowem obracać, byli mężami czynu nie języka, oba całej myśli swej wypowiedzieć ani chcieli, ani mogli, a wybadać pragnęli. Skierowali ku sobie oczy. Instynkt uczył ich, że wejrzenie mówi jednym blaskiem więcej, niż na dnie przeciagniona rozmowa.

Mieszko w oczach starca znalazł, co przeczuwał: żelazną wolę i nieugiętą siłę. Bolko ze wzroku knezia polańskiego, o którym mało słyszał, nie dobałał się nic. Pierwszy z nich wiedział, że pokornym być musiał, aby go sobie pozyskać, drugi wcale nie był pewien tego, co gość przynosił z sobą — słabość czy siłę, ale poczuł jedno, że z przebiegłym miał do czynienia. Patrzali tak na siebie, wzajem się uśmiechając sobie, jak dwaj zapaśnicy, co walkę rozpocząć mają.

Mieszko krótkim miał tu być gościem, nie miał czasu do trawienia na długich rozmowach. Czeski pan wiedział też o tem. Położył mu pomarszczoną dłoń na kolanie.

— Zapóźno — rzekł — przychodzisz do mnie. Bolko już nie ten, co był. Patrz, czoło mi się zmarszczyło, dłoń drży, oczy świata mało widzą, głos osłabł. Do grobu idę, o śmierci myślę.

— Będziecie żyli długo i panowali — odrzekł Mieszko. — Macie spokój w domu i siłę,

syna, który wam stoi u boku i sprzymierzeńców potężnych.

Bolko ręką rzucił.

— Sprzymierzeńcy we wrogów się zmieniają, — mruknął. — A czemuż wy ich tam, gdzie ja nie szukacie?

Mieszko spojrzał bystro, ale nie nie odpowiedział.

— Niemców nam nie pożyc — dodał stary. Trzeba mir z niemi robić, aby w domu się zagospodarzyć. Do tego miru, bracie mój, wy wiecie, co trzeba.

Mieszko zadumał się.

— Lud przy swoich bogach stoi twardo — rzekł.

— Macie waszych wojaków i siłę... zmusić trzeba...

Nic nie odpowiedział Mieszko i Bolesław, popatrzywszy nań bacznie, przestał nalegać zrazu.

Z kolei polański pan rozmowę począł.

— Miłościwy panie rzekł — nie darmo przybył do was; jeden u nas język, jedna krew, chcemy Niemca pożyc, — dajmy sobie ręce.

Bolko pomyślał.

— Jakże to może być, jeśli przy swoich bogach stać będziecie? — odezwał się.

— Wszakci Niemce się nieraz z Wilkami, Obodryty i Lutykami łączyli, choć ci pogana mi byli jeszcze — rzekł Mieszko.

— Niemcom wszystko wolno! — westchnął kneź. — Siła przy nich. Cesarz i papież rzymski władną dziś światem. Ten, co króluje w Byzancjum, niewiele już znaczy. Uczynimy przymierze, Mieszku, uczynimy, ale chrzest przyjąć trzeba.

Spuścił głowę kneź i umilkł.

Bolko uderzył go znowu po kolanie, jakby obudzić chciał.

— Myściec ino o tem, wszystko za tem pójdzie.

Wyrazów tych domawiał stary, gdy Wok, który nade dworem po kneziu miał pierwszą władzę, starzec poważny, z łańcuchem złotym na szyi, przyszedł z pokłonem, oznajmując, że chleb i sól czekały. Wieczera już oddawna była gotową, a kneż wydał rozkazy i polecił, aby wspaniała była...

Cały więc liczny dwór, cały niemal skarbiec stołowy ściągnięto do wielkiej izby, w której się już paliły pochodnie. Ogromne stoły dla panów i dworów ich, ponakrywane czekały. Pod ścianami rzędem stali pacholki, jedni trzymający światło, drudzy misy, nalewki srebrne i ręczniki szyte. Dla dwu kneziów zgotowane były przy osobnym stole, dwa obok siedzenia, pasowem suknem okryte.

Tu Bolko powiódł, po umyciu rąk, gościa swego i po prawej ręce go posadził. Osobne misy postawiono przed niemi.

U drugiego też stołu za ojcem siadł młody Bolesław, za nim kilku duchownych z krzyżami na piersiach. Tych oczy zwróciły się ciekawie na Mieszka, który spojrzeć na nich nie śmiał. Za niemi siedzieli dostojnicy dworu, Wok, Sławnik z Libie i wielu innych w kaftanach bogatych, łańcuchach i sukniach paradnych.

U osobnego stołu przyjmowano dwór Mieszków i starszyznę jego.

Gdy u Słowian, w pogaństwie jeszcze żyjących, niewiasty tylko jako sługi i gospodynie przy biesiadach się ukazywały, tu już obyczaj chrześcijański i rycerski zaprowadzonym był i przedniejsze niewiasty a panie, wespół z rodziną zasiadały. Prawo to, choć nie wszędzie zaprowadzonym było, po dworach książęcych już ze czcią dla niewiast wchodziło razem.

Gdy z jednej strony Bolko wiódł polań-

skiego księcia do stołu, z drugiej wchodziła skromna gromadka niewiast, wśród których znalazł Mieszko tę, której szukał.

Nie myślał jednak wcale dać poznać Dubrawce, iż pamiętał o dawnym spotkaniu nad Wełtawą; udał jakby ją pierwszy raz zobaczył. Kniehini mniej trwożliwa, uśmiechała się, patrząc na gościa i mierząc go śmiałymi oczyma, poniżej miejsce swe zajęła.

Ojciec wskazał gościowi córkę, której dwie starsze panie towarzyszyły. Oczyma tylko jednak rozmawiać mogli kneż i Dubrawka, gdyż stary Bolko zajmował się gościem mocno. Miód i wino podawano obficie, pić było potrzeba, a starzec po pierwszym kubku, rozgrzany poweselał widocznie. Cicho się plotła rozmowa otwarta i raźna a rubaszna, obyczajem wieku.

Bolko spytał gościa o żonę.

Zmleżał zagadnięty.

— Mnie już wszystkie razem, ile ich jest, niewiasty zobojeźniały — rzekł. — Patrzę na nie, jak kozioł na wodę, gdy się napije.

Mieszko w tej chwili spoglądał na Dubrawkę, która mu się bardzo jawnie wdzięczyła.

— Wam się ożenić potrzeba z chrześcianką — dodał Bolko — najlepiej ona i wiary nauczy i zachęci do niej.

Mieszko spojrział w oczy staremu, trzymali kubki w rękę. Któż wie, może Dobrosław potajemnym był swatem.

— Dajcie mi córkę! — odezwał się Mieszko, śmiejąc się. — Wezmę ją!

Zmarszczył się trochę stary.

— Nie radbym ją dać mimo jej woli, a gdyby chciała, któż wie? Jest tam u was ich kilka, toćby trzeba precz wygnać chyba.

— Nie będzie mi ich żal — rzekł Mieszko. Zamilkli nieco, kneż czeski nie opierał się,

Mieszko otuchy nabrał. Tymczasem kubki się napelniały i gwar podnosił wesoły.

Młodzież mówiła o łowach i wojnie, o strzelaniu i o koniach, wyzywając się i przechwalając. Czesi Polanów na próbę jutrzejszą powoływali. Stogniew ze swemi nie wzdragał się.

Biesiada przeciągała się długo, ale już o swatach mowy nie było. Rzucone słowa zdawały się zapomniane, choć i Bolko i Mieszko dumali nad niemi...

W końcu, gdy misy były powypróżniane a niewiasty znikły niepostrzeżone, po ostatnich kubkach stary Bolko kazał synowi gością do przeznaczonych mu izb odprowadzić.

IX.

Niczem było przyjęcie dnia pierwszego obok tego, co nazajutrz zgotowaniem było. Trzeciego rana Mieszko nazad się wybierał, stary więc kneź nie wiele miał czasu na pochwalenie się ze swem bogactwem, mocą i gościnnością. Gościowi też niewiele godzin zostawało, by zamiar powzięty doprowadził do skutku.

Myśl zaślubienia Dubrawki, z którą z domu wyjechał, musiała być porzuconą, albo stanowczo objawioną. Dobrosław więc stanowczo został wysłany z prośbą o rękę kniehini.

Przeczuwał ją, albo raczej wiedział o niej zawczasu Bolesław, ale zbył posła, odraczając do jutra.

Jak świt powołał kneź do siebie ojca duchownego, świętobliwego kapłana Prokopa. Nie zajmował on żadnego widocznego i wyższego w hierarchii duchownej stanowiska, bo go

nie pragnął. Apostołował, modlił się i wiódł życie ascety, zamknięty w ciasnej celce na zamku. Resztki dawnej wiary po całych jeszcze Czechach, pod rozmaitemi postaciami się kryjące, trzebił niezmordowany kapłan, nauczał, nawracał, gromił, a miał tę apostolską odwagę, iż potędze ziemskiej z prawdą wiekiustą odważnie stawał w oczy.

Sam Bolko, któremu nieraz inni ulegali duchowni, a któremu ks. Prokop śmiało mówił prawdę, musiał go szanować i upokarzać się przed nim. Grubą suknią z prostego sukna odziany, w obuwiu wieśniaczem, z twarzą wychudłą i ogorzałą, z głową przedwcześnie osiwioną i wypelzłą, bosy mąż stanął przed starym księciem ze spokojem ducha, który go nigdy nie opuszczał.

— Ojciec mój — odezwał się kneź żywo — rady twej potrzebuję.

Starzec skłonił głowę w mileczeniu, mówił zwykle mało.

— Wiecie kogo mam gościem?

— Poganina upartego i żyjącego w grzechu.

— Tak jest... azaliż nie byłoby zasługą dla mnie i rodu mojego, gdyby przezeń on i naród jego na wiarę świętą Chrystusową się nawrócił...

— Dałby to miłościwy Bóg! — zawołał Prokop, ręce podnosząc do góry i oczy wlepił w starca.

— Mieszko prosi o Dubrawkę za żonę...

— Ze chrztem razem... — dodał ksiądz.

— Nie odmawia go on... lecz z poganymi swemi musi się wprzód zabezpieczyć... Mam mu ją dać?

— Jeżeli przez nią światło i zbawienie wnijdzie na te kraje... a! dlaczegożbyście dziecka dla Boga poświęcić nie mieli? Daliście mu

już jednego syna i córkę... dajcie drugą, a prze-
błagacie gniew i pomstę Bożą...

— Dziecka nie chciałbym zmuszać — ode-
zwał się kneź, — jedno mi pozostało! jedno tyl-
ko!... Idźcie ojcze mój, przygotujcie ją, ośmiel-
cie, a gdy to uczynicie, ślijcie ją do mnie.

Ksiądz Prokop wyszedł natychmiast.

Kneź pozostał sam, siedząc w oknie sy-
pialni. Stąd widok był na obszerny podwórzec,
na którym już uganiała z oszczepami się mło-
dzież, wśród której Bolko i Mieszko też się za-
bawiali.

Lat niemal trzydzieści ubiegło od pamięt-
nego poranka dnia św. Kuźmy i Damjana, gdy
pobożny Wacław także o świecie gonitwy spra-
wiał przedśmiertne... Widok tej zabawy przy-
pomniał Bolkowi teraz znowu brata i drgnął!...
Pokuta, ofiary, żal, wszystko to jeszcze zatrzeć
nie mogło pamięci tego strasznego poranka.
Łzy mu popłynęły z oczów i dłonie się zwarły
boleśnie. Drżącymi wargami począł odmawiać
modlitwę, a wlepione w podwórzec oczy nie
widziały już nic.

I nie czuł ani wiedział, ile czasu upłynęło
od wyjścia ks. Prokopa, gdy drzwi się otwo-
rzyły i Dubrawka, już strojna, cała we wstę-
gach, łańcuchach i kolcach, z twarzą rozpro-
mienioną, weszła do izby ojcowskiej, przypada-
jąc do starego ręki, która się ku niej wycią-
gnęła.

Zdziwił się, widząc ją tak wesołą, a uląkł
niemal, że Prokop chyba powiedziec jej nie
śmiało, z czem go posłał.

Kniehini, śmiejąc się patrzyła nań śmiało.

— Dubrawka — rzekł kneź, — a widzieli-
ście Prokopa?

— Idę od niego miłościwy ojcze i panie.

— Mówił on z wami?

Dubrawka pokraśniała, spuszczać zrazu
oczy, potem nagle je na ojca podniosła.

— Mówił...

— Cóż wy na to? czy chętnie pójdziecie,
niosąc krzyż między pogany?...

— Chętnie... z ochotą! tak! — zawołała
Dubrawka. — Czuje w tem rozkaz Boży...

— I nie masz obawy?

— O, nie! — śmiejąc się, zawołała Dubraw-
ka — mam odwagi dosyć. Kneź Mieszko stra-
sznym mi się nie wydaje...

Bolko widząc z jaką łatwością córka wy-
bierała się go porzucić, rozstać z rodzeństwem,
iść w nieznany kraj, na losy niepewne, uląkł
się niemal i posmutniał.

— A nie żal ci będzie Hradszyna i Pra-
gi? — zawołał — i mnie ojca starego, i siostry,
i braci?...

— O! żal, okrutny żal!... — przerwała Du-
brawka. — Ale nie mówionoż nam, iż przezna-
czeniem niewiasty iść za mężem?... Jam, jak
Młoda, nie stworzona do klasztoru... ja wolę
inne życie... mnie cisza cięży...

Mówiąc to jakby zawstydzona, spuściła
trochę oczy, ale półuśmiech krążył po jej
ustach.

Podeszła do ojca, w rękę go całując; sta-
ry milcząc w głowę ją pocałował i westchnął.

— Idź — rzekł — niech Bóg cię błogosła-
wi... idź... i mnie czas do gości...

Jeszcze raz ucałowawszy rękę ojca, Dubraw-
ka żywo z izby wybiegła.

Stary kneź klasnął na sługi.

I on także szedł w podwórze przypatry-
wać się zapasom młodzieży.

Dzień ten rozpoczął się od igrzysk w po-
dwórzu, przy których Mieszko mógł się popi-
sać z niepospolitą siłą i zręcznością. Trzaska-

no włócznie, rzucano oszczepy, biegano pieszo i konno.

Uznojeni i gwarząc wesoło siedli potem wszyscy do uczty, bo obiad naówczas w rannej dawano godzinie. Znowu wtedy dwaj kneziowie siedli razem, ale weselszą wiedli i poufalszą rozmowę. Bolko niemal już jak syna gościa uważał.

Dubrawka przybyła do stołu ubrana wytworniej jak wczora, z twarzą figlarnie rozweseloną. Spojrzał Mieszko na nią.

— Miłościwy panie—odezwał się pocichu—gdybym się wam naprawdę do kolan o córkę pokłonił... cobyście rzekli...

Stary pochylił mu się do ucha.

— Weźcie ją sobie... i niech Bóg wam błogosławi... Chrzest przyjąć musicie.

— Gdy będę mógł... wiercie mi i ufajcie, zostanę chrześcijaninem...

— Mówcie z nią sami.

Zaledwie od stołu wstawać poczęto, już się Mieszko nie wahał przystąpić wprost do Dubrawki.

Wszyscy jeszcze byli w izbie i patrzali, jak się zbliżył do niej i odwiódł ją, lekko za rękę wzięwszy ku oknu; wszystkich też oczy ciekawie zwrócone na nich były. Dubrawka szła śmiało i nie udając wstydlivości niewieściej, która kniehini, wedle jej przekonania, nie przystała.

— Piękna kniehini—rzekł Mieszko—my poganie wierzymy w dołę i losy. Od wczorajszego wieczora wierzę i ja, że mnie was dola i los przeznaczyły za małżonkę... Kłaniałem się ojcu waszemu, chce-li mnie za syna... odesłał do waszej miłości. Cóż mam rzec... Chcecie mnie za męża?...

Dubrawka w oczy mu spojrzała, uśmiechając się.

— Choćbym was i nie chciała, toć muszę wziąć, kiedyście mi jeszcze wczora wasz pierścień narzucili, a u nas pierścień zaślubiny znaczy... Cóż mam uczynić nieszczęśliwa? wyszłabym z niesławą, gdybym przyjąwszy pierścień, nie dała zań wianka?... A no...! czekajcie, nie dziękujcie—dodała widząc, że kneź się zabiera znowu ją w twarz całować, nie zważając na oczów tyle.— A no, czekajcie. Mówiłam wam wczoraj, że u mnie służba ciężka. Myślicie, że ja pojedę na gród, gdzie niewiast pełno, i że siódma czy dziesiąta siądę z niemi?... Jam przecie Bolesławowa córka i chrześcijanka, u nas obyczaj jedną żonę daje mężowi, jednego męża żonie...

— Nie będzie na grodzie nikogo, miłościwa kniehini... oprócz was a służby waszej.

— Pierw chrzest... potem wesele...—dodała Dubrawka.

Mieszko się schmurzył.

Weźcie mnie poganinem—rzekł—i nawróćcie na wiarę waszą. Nie wzdragam się jej, przyjąć ją ślubuję, ale moich ludzi i naród muszę w garść wziąć, abym i ja i wy nie nałożyli głową... Jeżeli ufacie mi, pójdziecie za mną...

Spojrzał jej w oczy, westchnęła i kładąc rękę na jego dłoni, odezwała się:

— Wierzę wam... i pójde za wami!

Gdy tych słów domawiała, popędliwy Mieszko wpół ją pochwylił i w czoło pocałował.

Na widok tego zuchwalstwa cała izba zatrzęsa się oklaskami i okrzyki; Dubrawka wyrwała się i uciekła.

Mieszko poszedł w ramię starego ojca pocałować, a w twarz brata. Podano stary miód i wesołość się wzięła taka, że nawet smutny kneź Bolko rozruszał się i oczy mu zapalały wesoło. Na całym grodzie tejże godziny wiadziano, że Dubrawka kneziowi polańskiemu

przyrzeczona. Śpiewy, uczta, okrzyki rozległy się na Hradzynie, a z niego popłynęły na miasto.

Wśród tej wesołości i zajęcia nikt nie dostrzegł, co się działo z gromadką ludzi przybyłych z Mieszkiem, nikt nie wiedział, jak wszyscy oni niemal posmutnieli i pomieszani stali na boku, jakby zawstydzeni, czy strwożeni. Stogniew, najzręczniejszy z nich, najlepiej w sobie ukryć umiał, co czuł, ale w nim się poganina starego krew zburzyła cała i musiał na chwilę wynieść z izby, aby ochłonać z gniewu. Za nim pociągnął Wojsław, koniuszy książęcy, druh jego i jednej z nim myśli człek. Obaj wybiegli niepostrzeżeni w podwórcę i spojrzawszy w oczy, ręce tylko sobie podali milczący.

— Jam się tego spodziewał — zawołał Stogniew, odwołując Wojsława na stronę. — Jam jechał tu, wiedząc co nas czeka... ale... wiem też, co jego czeka... — dodał, pięść ściskając.

— Gdy te Dobrosławy i Własty zaczęły nam się kręcić u dworu, czułem, co z nimi idzie... niewola niemiecka... bóg niemiecki...

Rozśmiał się Stogniew.

— Niedoczekanie ich! — rzekł. — Wracajmy... nie trzeba po sobie dać znać nic... naradzim się w drodze, a w domu wiedzieć będziemy, co robić...

Wojsław i on, jak zwierz w klatce zamknięty, przeszli się w ciasnym kółku kilka razy, rzucani myślami gniewnemi; spojrzeli sobie w oczy, podali znowu ręce, Stogniew twarz ułożył i wrócił napowrót do izby, gdzie też Mieszko oczyma ich szukał.

Jak skoro zobaczył wchodzących, szepnął Stogniewowi, by przygotowane dary przynieść. Były one bądź co bądź przeznaczone dla Bolesława, inne na wypadek dla Dubraw-

ki. Posłuszny Stogniew skinął na komorników i wyszedł.

Nie upłynęło pół godziny, gdy we drzwiach gwar się zrobił; szli szeregiem Mieszkowi ludzie, ze Stogniewem na czele; każdy z nich niósł naczynie, zbroję i kosztowny klejnot jakiś.

Postrzegłszy ich kneź wystąpił przed Bolka, pokłonił mu się nisko i przemówił prosząc, aby miłościwie dary od niego przyjąć raczył. Szli potem z kolei wszyscy przyklękając i u nóg knezia składając, co który niósł.

Kołem stał dwór, na którego twarzach malowało się niemałe zdumienie. Nie wyobrażano sobie, ażeby w pogańskim kraju mogło się znaleźć tyle bogactw, które tylko z zachodu zwykle przychodziły.

Kupecy zwykle od wschodu przywozili wówczas do Polan wyroby, które mało nawet na zachodzie Europy były znane. Niektóre z nich z wielkim kunsztem wykonane, obudzały podziwienie, inne nieznane wcale, osobliwością swą zastanawiały. Kobierce, opony, srebrne ozdoby, bronzowe sprzęty, emalie wschodnie... wszystko to na kupę u nóg Bolka złożone zostało. Ludzie do rąk biorąc dary te, oglądali je ciekawie.

Prosił zatem Mieszko, aby mu wolno było dary złożyć Dubrawce, i powtórnie wysłał komorników ze Stogniewem po nie. Pobiegł brat po siostrę, aby ją samą do przyjęcia ich przyprowadził i przyszła Dubrawka zasiąść przy ojcu.

Ten sam obrzęd odbył się powtórnie i z tą tylko różnicą, że dla kniehini przyniesiono niewieście przybory, futra, tkaniny i ozdoby do stroju, niemniej bogate i piękne.

W ten sposób uroczystości odbyły się zrekowiny wobec dworu całego, gdy ich inaczej

i z obrzędem kościelnym nie można było odprawić z powodu, iż Mieszko ochrzczony nie był.

Ku wieczorowi uczta i śpiewy przedłużały się jeszcze, przy których już Dubrawka swobodnie z narzeczonym swym mówić mogła.

Gdybyśmy te rozmowy żartobliwe, rubaszne w duchu owych wieków powtórzyć śmiali, nadto by się one dziwnie wydały. W obcowaniu z niewiastami ton ten wesoły był niemal obowiązkowym.

Mieszko zajęty tem, co się z nim działo, radośny z powodzenia, ledwie miał czas zobaczwszy Dobrosława uderzyć go po ramieniu i powiedzieć, że mu daje szeroką ziemię i lasy, dla niego i potomków.

Właściciel przez cały ten dzień się nie ukazywał, a nie był też potrzebny. Jako kapłan z wieczora zaraz zapukał do księży przy kościele św. Wita, prosząc ich o gościnę. Ze zdumieniem i radością go tu przyjęto, wraz ze starym ojcem Gabryelem, który złamany drogą legł zaraz do spoczynku.

Właściciel a raczej ojciec Matja, bo tak się tu syn Lubonia nazywał, z niecierpliwością wyglądał następnego poranka, w którym po tak długim od ołtarza oddzieleniu, miał znowu Niekrwawą odprawić ofiarę.

Wieczór cały spędził na modlitwie, wstrzymując się od pokarmu: legł spać z myślą pełną tego jutra i wcześniej nim się igrzyska poczęły na podwórzu, on już stał przed ołtarzem drżący i zapłakany. Przy drugim mszę świętą odprawiał o. Gabryel, dziękując Bogu za cudowne niemal ocalenie. Dobrosław klęczał zdala.

Ojciec Matja tę ofiarę tak upragnioną poświęcił w duchu za nawrócenie rodziny swej i narodu. Lecz myśląc nad trudnem dziełem tem, nad ofiarami, jakie kosztować miało, płakał.

Przypomniało mu się, co słyszał nocą na wzgórzu, wracając z Krasnejgóry, co znalazł we własnym domu.

Ojciec Prokop przyniósł mu tu, spędzającemu cały dzień przy kościele i z braćmi, wiadomość o zaswataniu Dubrawki. Była to wieść wielkiej radości i nadziei. Padł na kolana ojciec Matja, modlił się i płakał znowu.

Imię Stogniewa słyszane w nocy na myśl mu przyszło. Czuł się w obowiązku stać kneziowi na straży, a w razie najmniejszej oznaki zdrady, w oczy Stogniewowi zadać ją i wyzwać, by się oczyścił lub usuniętym został.

Z Mieszkim wszakże, gwałtownym i porywczym, trudna była sprawa, a i z rodziną własną nie wiedział, co pocznie nawrócony. Wszystko jednak, co go spotkać miało, ofiarując Bogu, gotował się młody kapłan, choćby na męczeństwo.

Dobrosław był daleko lepszej myśli, ufając, że Mieszko poczynąć sobie będzie tak, aby się na niebezpieczeństwo nie narażać. Lecz na próżno starał się dodawać otuchy Włastowi, który milczał zasępiony, spoglądając na radość powszechną, lękając się, aby ona zawczasie w krew i łzy się nie zmieniła.

Twarz Stogniewa, choć ją układać się starał, mieniła się dziwnie i strasznie, oczy mu pobłyskiwały. Właściciel odgadywał a raczej przeczuwał, co się działo w jego duszy. Trwoga go ogarniała. Odwiódł nieznacznie na stronę Dobrosława i pokazał mu tych ludzi.

Mogli tu niepostrzeżeni przez nikogo pocichu rozmówić się z sobą i Właściciel wyznał Dobrosławowi, co słyszał w lesie, jak się tam odgrażano i imię Stogniewa wymieniono. Z narady to tylko wyszło, iż należało mieć się na baczności, nie donosząc o niczem kneziowi, boć

żadnych dowodów winy nie było, a z posądzeń Stogniew łatwo się oczyściwszy, na przyszłość tylko mógł się stać baczniejszym.

Jak wprzód już podczas podróży, tak i tu Wojśław, Stogniew i większa część ludzi z orszaku Mieszka, okazywała dwom chrześcijanom niechęć i pogardę. Nie mówiono do nich, chyba gdy to było koniecznem, odwracano się i rzucano ich samych. Dobrosław napróżno starał się zbliżyć do Stogniewa, który go unikał milczący.

Gdy się wieczór wśród śpiewów i uczczenia zbliżał do końca, a Mieszko to przy starym księciu siadał, to z Dubrawką żartobliwie rozmawiał, dwór też częstowany podochocił sobie. Pomimo to starszyzna Mieszkowa pozostała niewesołą i do Czechów mało się zbliżała. Zapito jeszcze zrękowiny, kneź zapowiedział, iż nazajutrz powracać musi do kraju swego i przed północą wszyscy się rozchodzić poczęli.

Młody Bolko znowu przyszłego brata odprowadził do jego izby i pocałowawszy go w twarz, odszedł.

Mieszko pozostał sam ze Stogniewem i kilku komornikami.

Teraz dopiero spojrzawszy na twarz swojego ulubieńca, dostrzegł w niej ponury wyraz, zamiast radości, Stogniew jednak odzywać się nie śmiał.

— Kniehinie mieć będziecie! — odezwał się do niego Mieszko — wielkiego rodu i możną panią... Podaliśmy sobie z Bolkiem ręce, abyśmy obaj silniejsi byli...

Stogniew spuścił głowę.

— Nie radujecie się? — zapytał kneź.

Zamilczał zapytany. Mieszko też nie odzywał się doń więcej. Wydał rozkazy i odprowadził. Po odejściu jego przywołano Dobrosława.

Kneź pacholków odpawiwszy dziękować mu znowu począł.

— Miłościwy panie — rzekł przybyły cicho, — cieszę się ja, że panu memu mógł służyć, ale się drudzy pono burzą i nie wszystkim to sprawia radość...

Nie wymienił nikogo, kneź też unikał pytania.

Zmarszczyła mu się brew, błysnęły oczy, ale ze słowem nie zwykł był śpieszyć. Nierychło dopiero poszedł ku Dobrosławowi, rękę mu kładąc na ramieniu.

— Ty i Włast, i co was jest chrześcian, gotujcie mi drogę i pomagajcie — odezwał się cicho. — Wielki jest Bóg ich... ale nie łatwo od swoich odstać i nową odziać skórę, gdy ta, z którą człek na świat przyszedł, do ciała przyrosła... Tych, co się opierać będą, zmożę... ale gromadkę wierną mieć muszę, by przy mnie stanęła... Mów — dodał — mów Dobrosławie, jako wiesz... wielu chrześcian naliczysz w ziemiach naszych?... Wiem, iż byli oni już za ojca i dziada mojego... ale się kryli z wiarą swoją...

— Miłościwy kneziu — odezwał się Dobrosław — jest nas rozsianych po wielkiej przestrzeni niewielu... Strach niejednego odwiódł już od krzyża... Kapłanów trzeba, jak Włast, aby szli między lud i nauczali... a pilnego oka na to, aby starszyzna, wieszczkowie i gęslarze nie burzyli go... Co kneź Bolko uczynił u siebie, czemużby się też u nas dokonać nie miało...?

Kneź się zadumał nieco i z tem Dobrosława odprowadził, by Czechów nawróconych, jacy się znaleźć mogli, do Polan zaciągnął.

Nazajutrz rano konie już stały w podwórku, gdy w izbie jeszcze obiad podawano na pożegnanie. Wyszła do narzeczonego i kniehini, aby mu dobre słowo dać na odjeździe; cały dwór Bolesławów dla uczczenia gościa był na

nogach i dziesięciu jezdnych dodano do orszaku, by przeprowadzali Mieszka do granicy łuszyckiej.

Tak się w druźbie i weselu z miłością wielką rozstali, i cały poczet ruszył z Hradszyna uroczyście, przy okrzykach, które się jeszcze z murów grodu długo słyszeć dawały.

Ani Dobrosław ani Włast nie śmieli już potem rzec słowa kneziowi, aby w podróży baczny był na tych, co go otaczali. Do granicy też czeskiej, dopóki dodani Bolesławowscy ludzie im towarzyszyli, nie było niebezpieczeństwa.

Gdy ich obdarzonych odprawiono z pozdrowieniem do Pragi, a kneź sam z orszakiem swoim pozostał, przypadł w lesie spoczynek dla skwaru, który tego dnia panował, i wszyscy się do snu pokładli.

Włast też, szukając cienia, odszedł opodal od gwaru i w zaroślach się gęstych położył. Leżał tu już czas jakiś, nie mogąc zasnąć jeszcze, gdy w pobliżu dał się słyszeć szelest w trawie i krzakach, z miejsca swego mógł widzieć, że Stogniew z Wojsławem stali, potajemnie się naradzając z sobą. Zrazu słów ich usłyszeć nie mógł, lecz natężywszy ucha i podpełznawszy ostrożnie, pochwyił wyrazy Stogniewa.

— Dziś na noclegu... czego więcej czekać mamy? Jawna rzecz, że nas Niemcom zaprzędają...

— Czekajmy do domu—mówił Wojsław.—Sydbóra namówim z nami.

— Aby zdradził? — rzekł Stogniew. — Nie potrzeba nikogo. Śpiącemu oszczep w piersi wraże i nim się przebudzi, ducha wyzionie. We dwu im trzem po kolei radę damy. Dobrosław go prowadził... Lubonia syn jawnym chrześcijaninem jest, widziałem go do ich kon-

tyny idącego i obcującego z czarnymi wróżbitami.

Sprzeczały się jeszcze pocichu czas jakiś, lecz Stogniew na swem postawił i wyszli z zarośli, umówiwszy się, iż spać nie będą, a gdy wszyscy zasną, wstaną, aby ich wymordować z kolei. Stogniew miał kilku pewnych ludzi do pomocy.

Zaledwie się oddalili, Włast, zimnym potem okryty, wstał i pobiegł szukać Dobrosława, aby mu o niebezpieczeństwie oznajmić. Unikać musiał oczów i tak to dopełnić, aby żadnego nie obudził podejrzenia. Księciu też potrzeba było powiedzieć o tem, co się gotowało, aby obmyślił, co miał czynić.

Dobrosław chodził około konia swojego w miejscu, gdzie nikogo nie było, łatwo więc przyszło Włastowi natychmiast mu rozmowę, podchwyconą cudem, powtórzyć.

Mieszko pod dębem na wysłanem suknie zasypiał bezpiecznie; budzić go nie śmiał Dobrosław, ale stanął na straży, by się zbliżyć natychmiast, gdy ze snu wstanie.

Włast poszedł krążyć zdala, aby innych przed czasem nie dopuścić.

Znużony drogą kneź, spał prawie do wieczora; szczęściem rzenie koni sen ten głęboki przerwało, a gdy oczy przecierać zaczął, znalazł się przy nim Dobrosław i nie tracąc chwili, rzekł mu:

— Miłościwy panie, Włast podsłuchał rozmowę: zmówili się Stogniew z Wojsławem, aby cię w pierwszym śnie zamordowali...

Słyszając to Mieszko wcale nie okazał poruszenia. Kazał sobie powtórzyć prędko wszystko, co Włast usłyszał, i wstał, ręką odprawując przez Dobrosława, słowa więcej nie rzekłszy.

Wnet dano znak, aby na konie siadać.

Stogniew się zbliżył po rozkazy. Mieszko nie dał poznać po sobie, iżby go miał w podejrzeniu. W zwykły sposób zagadał doń i szykować ludzi rozkazawszy, sam siadł na koń z twarzą pogodną. Zdumiał się Dobrosław, sądząc, że mu chyba wiary nie dawał, lecz przystąpić już nie mogąc, trzymał się w pobliżu wraz z Włastem.

W drodze, aż do nocy przez gęste przedzierając się bory, Mieszko nie okazał najmniejszej po sobie trwogi. Późnym już wieczorem, w lesie na polanie, między skałami, które nad niemi ścianę wysoką tworzyły, na nocleg zatrzymał się kazał. Tuż z drugiej strony stromo ścięty brzeg wprost do Łaby spadał. Przez rzadko tu stojące drzewa widać było łąkami w dali płynącą rzekę i lasy piętrzące się ławami jedne nad drugimi, z pośrodku których gdzieś szare ściany kamienne wyglądały.

Kazano ogień rozpalić, zwierzyne w drodze ubitą piec i konie na paszę wypuścić. Kneź pod starą sosną, na czystem miejscu posłanie sobie przygotować kazał, głośno zapowiadając Stogniewowi, ażeby wcześniej wszyscy do snu się kładli, gdyż z pierwszym brzaskiem ruszyć miano. Dobrosław z niepokojem przypatrujący się Mieszkowi najmniejszej w obejściu się jego nie dostrzegł zmiany. Stogniew chodził widocznie niespokojny i chmurny.

Po rozdaniu jedzenia ludzie wprędce się pokładać zaczęli, straż opodał postawiwszy; ognisku dano wygasnąć i czarna noc w milczeniu posępnem osłoniła obozowisko. Dobrosław i Włast z miejsc swoich podpełzli bliżej, aby być panu z pomocą na skinienie. Cisza panowała długo, gdy Mieszko silnie chrapać zaczął.

W chwilę potem usłyszeli zaczajeni w krzakach, jak niedaleko śpiący Stogniew i Wojsław

wstali pocichu i skradać się poczęli ku miejscu, w którym kneź spoczywał, chrapiąc coraz mocniej. Noc była tak ciemna, iż zaledwie poruszające i skradające się z cicha postacie dwu morderców dostrzedz było można.

Stanęli oni oba już przy Mieszkowi, gdy nagle stłumiony krzyk dał się słyszeć. Dobrosław, który się zerwał i nadbiegał, spostrzegł jak kneź, uchwyciwszy się Stogniewa, gdy się ten najmniej tego spodziewał, obalił go, przygniótł, oburącz za gardło ścisnął — i zdusił. Wojsław, który zrazu stał przełękły, umknął natychmiast i biegł w las na oślep.

Nim Włast i Dobrosław przybiegli, Stogniew już ducha wyzionął w rękach knezia, który wnet krzyknął, aby ognia rozpalono. Gorzały jeszcze węgle pod popiołem, od których łatwo było suche zażędz gałęzie. Pobiegli pacholki; Mieszko tymczasem stał spokojnie nad trupem, oglądając się, czy drugiego napastnika nie zobaczy.

Gdy ogień błysnął, a służba w pierwospy zbudzona nadbiegła, strach ogarnął wszystkich; słowa nikt nie śmiał rzec...

Mieszko skinął na ludzi, aby trupa ściągnęli i z góry rzucili go do rzeki. Stało się w jednej chwili, jak przykazał; nikt nie śmiał pytać ani spojrzeć panu w zagniewane oczy. Posłano szukać Wojsława, lecz go nigdzie nie znaleziono... Ucieczka sama o winie świadczyła.

Gdy Stogniewa ciało z hałasem toczyło się po skałach, Mieszko ognia kazawszy nanieść, słowa nie mówiąc, legł nazad na posłanie, sparł się na rękę, i drzemać począł. Ludzie przerażeni wrócili na swoje miejsca. Tak doczekano ranka.

O świcie dowództwo nad ludźmi objął Dobrosław; siedli wszyscy na konie i w milczeniu jechali w dalszą drogę ku domowi.

Z pocztu kneziowskiego nikt o Stogniewie wspomnieć nie śmiał, a wyjeżdżając na gród nad Cybiną, towarzysze pańscy na pytania odpowiadali milczeniem.

X.

Już w podróży przez Dobrosława miał sobie oznajmionem Włast, że mógł się udać do Krasnejgóry do ojca, z tem tylko, by na każde zawołanie się stawiał. Przybywszy więc na zamek natychmiast się wybierał, gdy stara Srokicha dowiedziała się o powrocie i do swojego dziecięcia przybiegła.

Zaledwie godzina upłynęła jak na zamek wjechali; służba zdawała się nie mówić ni słowa, oglądając się bojaźliwie, przecież cały niemal już dwór wiedział i zkaż i z czem powracano...

Śmierć Stogniewa przeraziła wszystkich. Na twarzach widać było postrach i smutek. Jawnie nikt się do nikogo nie zbliżał, ale po kątach, za węglami szeptali ci, co wracali, z temi, co pozostali.

W niewieścim dworze już płacz słyhać było i narzekanie; popłoch panował wszędzie. Kniehini Górka czekała, wyglądając na brata, nie mogąc się go doczekać.

Mieszko natychmiast wysłał gońca do Sydbóra do Gniezna, aby nie tracąc chwili, do niego przybywał.

Sześć mil miał konny ubiedz tak, aby przed nocą wezwany był nad Cybiną.

Dobrosław wydawał rozkazy i nad dworem miał zwierzchnią władzę...

Srokicha, pochwywszy Włast, pieszczoty

macierzyńskimi,—wnet rozplakała się i wypytować natarczywie zaczęła, nie dając mu odechnąć. Po dworze chodziły już wieści straszne.

Strwożeni byli wszyscy. Włast, któremu nakazano milczenie, nie powiedzieć jej nie mógł. Nie było już tajem, że do Pragi jeździli, lecz nadto nie mówił nic. Srokicha niedowierzająco potrzasała głową.

— Gołąbku mój! — mówiła płacząc. — Straszne dni na nas przysły. Nie darmo wy do Pragi tej, do Czech jeździli. Groza idzie na nas i niewola, zginiemy wszyscy... Nasi starzy przyszłość wróżą krwawą...

Próżno Włast się jej wyrwał; — Srokicha ścisła go jakby się lękała utracić i zalewała się łzami. Chciała go zaprowadzić do swej pani, ale Włast się wyprosił. Wycalowawszy go więc i wygłaskawszy puściła wreszcie staruszka, tem niespokojniejsza, iż nie od niego dowiedzieć się nie mogła.

Unikając pytań Włast, poszedł po konia swojego, aby za dnia jeszcze zdążyć do Krasnejgóry... Pocięgą dlań było, że z Pragi wiozł dane mu do mszy świętej wino i opłatki, których w domu upiec nie miał sposobu.

Wino naówczas było w kraju rzadkością, prawie nie do nabycia, a duchowieństwo chleb też do do mszy świętej używany chiało mieć z nadzwyczajną pieczony troskliwością. Ś. Wacław sam zżywał kłosy pszenicy, sam wybierał i wyciskał grona, z których wino i chleb do świętej Ofiary użyte być miały. Z równem poszanowaniem i inni kapłani przygotowywali się do niej.

Włast, długo pozbawiony tej kapłańskiej pociechy, sposobił się teraz, choć potajemnie, gdzieś na ustroniu w lesie odprawiać mszę, aby w niej zaczerpnąć siły i znaleźć pociechę.

Gorliwym był jak człowiek długim głodem zmożony, — a gdy o rodzinie swej myślał, zalewał się łzami, rozpaczając prawie, aby mógł ją nawrócić. Nie wiedział sam, jak ma to wielkie rozpocząć dzieło, lecz czuł święty obowiązek. Ze wszystkich dusz jakie chciał ocalić, los tych najbliższych najmocniej go obchodził.

W tych myślach zbliżył się do Krasnej-góry, i już widział dwór zdaleka, a serce mu biło niespokojnie, gdy wracając konno z pola nadjechał Jarmierz, witając go serdecznie.

— Pan nasz ucieszy się wam wielce — rzekł — bo niecierpliwie czeka powrotu...

— Jam też śpieszył, jak mógł, ale byłem pod rozkazami. Zdrowi wszyscy? — spytał Włast.

— Dobrogniewa zaniemogła trochę, przecie się włóczy o kiju. Luboń dla was już Mładę zaswatał, ani dnia wam nie da spocząć i jechać będziemy musieli z nim a do wesela się gotować.

Włast zbladł i zadrżał; nie odpowiadając nic, jechał dalej. Ani na chwilę nie zawahał się nad tem, co miał począć. Jeśliby go ojciec przymuszać chciał, postanowił paść mu do kolan, wyznać wszystko i znieść, cokolwiekby go spotkać mogło.

Rozmawiając, zbliżyli się ku dworowi, a tent koni wywołał sługi, które o nadjeżdżającym wnet w domu oznajmiły.

Pierwsza wybiegła na spotkanie Hoża, za nią szedł stary Luboń z brwią namarszczoną. Na widok syna rozchmurzył się wnet. Gdy ten mu do nóg przypadł, uderzył go ręką po ramieniu i zamruczał.

— Przecie kneź się ulitował nademną. Gdzieście byli? Jeździłem do grodu, mówiono mi, że kneź wziął was z sobą? Czy polował na wilków.

— Do Czech jeździliśmy — odparł Włast.

— Do Czech? — chmurno się odezwał stary — A po co? łup przywieźliście?

— Myślę, że chyba lepsze od niego przymierze.

Stary się trząsł i nie pytał więcej.

Wyszła i babka, chmurnem okiem, jak zawsze mierząc chłopaka.

Nie pytano go więcej. Luboń też nie oznajmił mu o niczem, tylko, że jutro bierze go z sobą, że jechać muszą.

Włast wiedział już, co zamierzał, lecz dopytywać nie było wolno, czekać musiał, aż mu ojciec oznajmi swą wolę.

Jedna Hoża swą wesołością cały dom ożywiała, krzając się, śmiejąc i śpiewając. Stara mruczała przy kądzieli. Po wieczery zwołano i inne dziewczęta do śpiewu, bo stary Luboń rad słuchał pieśni i do późnej nocy przesiadzieli tak u ognia przy łuczywie. Dobrogniewa drzemała nad swą kądzielą, wrzeczono wypadło jej z rąk — ale do snu nie szła.

Późno już było, gdy Luboń, z ławy wstawszy, naprzeciw syna stanął i odezwał się.

— Jarmierz ci na jutro odzież da nową i ogarnąć się trzeba czysto, jedziemy w swaty. Dobrałem ci dziewczynę piękną, młodą i posażną, czas życie zaczynać i do gospodarstwa się nałożyć.

Włast westchnął, — zbliżył się do ręki ojca i ucałowałszy ją, rzekł cicho, ale śmiałym głosem...

— Ojciec a panie miłościwy! nie mogę tego uczynić, abym niewiastę brał... Przyszedł czas, gdy ci całą prawdę objawię muszę; oto ślubowałem chrześcijańskiemu Bogu i przyjąłem wiarę nową, a poprzysięgłem, że nigdy niewiasty znać nie będę.

Wyznanie to, wśród głuchego milczenia wyrzeczone, przerwał krzyk starej Dobrogniewy.

wy, która kądziel rzucając na ziemię, przypadła do wnuka z pięściami zaciśniętymi.

Luboń zuchwalstwem syna osłupiała, jakiś czas przemówić nawet nie mógł. Z ust jego wyrwało się coś jakby ryk dziki, rękę podniósł do góry i z całej siły uderzył syna, który padł na ziemię.

Skroń jego uderzyła o twardą nogę stołu i krew z niej trysnęła. Ból, przestрах, zmęczenie przyprawiły go o omdlenie.

Hoża, którą krzyk ojca zwabił, widząc obalonego i skrwawionego brata, klękała na ziemi, chwytając bladą jego głowę i zaszła się wielkim płaczem.

Luboń stał wcale nieporuszony tem, co uczynił.

Zwolna otwarły się oczy Własta, poruszył się, usiłował powstać i z pomocą siostry, ocierając skroń, na nogi się podniósł, oparłszy o stół.

— Psie ty niewierny! — krzyknął Luboń. — Myślisz, że ja ci dam czynić, co chcesz, przeciwko mej woli? Nad dzieckiem mojem mam prawo życia i śmierci, słuchać musisz i uczynić, co każę...

Dobrogniewa oczyma i ruchem rąk potwierdzała mowę ojca; Włast milczał.

— Kajaj mi się zaraz, a bądź posłusznym. Chrześcijaninem ci nie być! Szczenie wolę przybrać za dziecko!

— Ojcie a panie — odezwał się Włast. — Usłucham rozkazu twego we wszystkim, lecz wiary się nie wyrzekę, a co mi mój Bóg każe, uczynię, choćbym miał życie dać.

Luboń w krwawą twarz syna dał bezlistny policzek... W tejże chwili poczuł na dłoni ciepłą tę krew własnego dziecięcia, i wzdrygnął się. Hoża obejmując brata rękami, płakała... Stary z gniewu drżał i rzucał się, babka pięściami ciągle wnukowi groziła i powtarzała:

— Sobaka!

Włast stał na nogach, chwiejąc się milezący, z głową spuszczoną.

— Będziesz posłusznym — wołał Luboń — lub zginiesz, psie niewierny.

— Czyń co ci się podoba ze mną — odparł Włast. — Jestem w mocy twojej...

W pierwszej chwili Luboń z gniewu chciał zawołać na pacholców i sieć nieszczęśliwego, już belkocząc poczynął dawać rozkazy, gdy Hoża do nóg mu się rzuciła, popchnąwszy ją zrazu, ale mu się uczepiła mocno. Krzyk i płacz rozlegał się po dworze, ludzie pobudzeni zbiegli pod okna do sieni, i stali, patrząc a nie rozumiejąc, co to znaczyło. Niewiasty łamały ręce i płakały. Jarmierz stał w progu.

Opamiętał się stary w gniewie.

— Związać go!... — krzyknął. — Na strych w swirniu posadzić i nie puszczać... suchy dać chleb i wodę... niech mrze głodem.

Jarmierz, chcąc ocalić Własta, odezwał się, że w swirniu strych był zajęty.

— Do jamy z nim! do jamy! — zawołał Luboń. — Łyka mi daj... związać go... sprzedam jak niewolnika, ubiję, jak psa...

Napróżno córka błagała jeszcze, zwracając się to do ojca, to do Własta, aby uległ woli jego. Włast milczał, ojciec zapalał się gniewem coraz większym. Jarmierz wreszcie, lękając się, aby stary nie porwał się znowu do dziecka, wołał już spełnić polecenie i przyniósł łyka.

— Do jamy z nim... — powtórzył Luboń.

Jama ta była wygrzebaną w ziemi i służyła na schowanie w zimie, często za więzienie w lecie. Spuszczano do niej winowajców, a wniósłszy zawałano drzwiami, na których kładziono kamienie.

Włast szedł posłuszny. Hoża, zakrywając sobie oczy, upadła na ziemię. Milczenie było

w izbie; tylko oddech wzburzonej piersi Lubonia i mruczenie starej je przerywało.

— Będiesz posłusznym?... — krzyknął stary, widząc już syna w progu.

— Ojcie!... nie mogę... Bogu posłusznym być muszę...

To mówiąc, zwrócił się do Jarmierza i rzekł mu spokojnie.

— Prowadź mnie.

Ta odwaga i stałość słabego na pozór człowieka, któremu się urągano, iż mężstwa nie miał, dziwne uczyniła wrażenie na wszystkich. Stara Dobrogniewa wściekała się, Hoża płakała; Luboń stał drżący z gniewu. Jarmierz był przerażony.

— Prowadź do jamy — krzyknął stary.

Włast ruszył się posłuszny; nie mówiąc słowa przeszli sień i znaleźli się w podwórku.

— Poddajcie się ojcu... jamy wy nie wytrzymacie długo... — szepnął Jarmierz. — Poddajcie się! co czynicie?...

— Prowadź mnie — rzekł Włast, — niech się stanie wola jego, śmierci się nie lękam...

W progu zjawił się jeszcze rozjuszony ojciec, krzycząc na Jarmierza.

— Do jamy!

Nie było już ratunku. W głębi dziedzińca znajdowała się tu studzienka wilgotna. Jarmierz odwalił drzwi i litość chwyciła go za serce; puścił sznur, który trzymał w ręku.

— Uciekaj — szepnął.

— Dokąd! — odparł Włast. — Czyni co ci kazano... Uciekać nie mogę i nie chcę...

Trzeba więc było spełnić nakaz surowego ojca. Jarmierz wskazał jamę i pomógł Włastowi się w nią spuścić. Sam siadł nad nią i podparty na rękach został tak na straży, nie wiedząc, co począć z sobą.

Luboń tymczasem rozpędzał czeladź, któ-

ra się była zgromadziła, rozkazując jej iść precz na barłogi... W trwodze rozpierzchno się wszystko i znikło.

Głuche milczenie nastało we dworze. W świetlicy stara stała, ręce złożony przed ogniem, a Hoża płakała, leżąc na ziemi.

Noc była późna, pierwsze kury piał zaczynały. Stary ojciec zamiast iść na posłanie, siadł na przyźbie, przed dworem, sparł głowę na rękach i pozostał tak do rana, dysząc gniewem.

Brzask dnia znalazł go siedzącym tam jeszcze. Jarmierz legł na ziemi nad jamą i tam go sen ujął nad ranem. We dworze było cicho i ciemno. U zgasłego ogniska drzemała stara Dobrogniewa, mrucząc przez sen niespokojnie. Hoża zwlókłszy się na ławę, z głową na stole, usnęła.

Dzień się robić zaczynał i parobcy wstawali do pojenia koni, gdy Luboń ruszył się z przyźby, poszedł nad jamę, nogą budząc śpiącego Jarmierza, kazał mu drzwiami otworzyć przyrzucić i poszedł.

Gdy zakładając drzwi Jarmierz, spojrzawszy w dół, chcąc słowo pociechy rzucić biednemu, w głębi zobaczył go klęczącego i modlącego się spokojnie. Powoli zasunął ciężkie wrota i odszedł zadumany.

Dzień cały upłynął bez zmiany, spuszczało tylko chleb i wodę Włastowi, Jarmierz chciał przemówić do niego, ale zdala stojąca z kądzielą Dobrogniewa pogroziła mu. Luboń nie wyjechał ani na łowy, ani wyszedł w pole, w chacie przesiedział dzień cały nieruchomy prawie, a gdy mu jedzenie przyniesiono, popchnął je od siebie. Wodę pił tylko.

Nad wieczór przywłókł się do wrót starzec z gęsłą na plecach.

Był to gość częsty we dworze Luboniów,

znany całej okolicy śpiewak, wróżbit i znachor, który przez rok cały zwykł był obchodzić dwory i chaty, karmić się, spoczywać i płacić za gościnność śpiewem i wieszczbą. Zwano go Wargą.

Z siwą rozczochaną brodą, z rozwianym włosom, w szarej opończy, z kijem białym w rękę, z sakwami na plecach, stary Wargę wchodził jak pan do każdego domu, siadał na najlepszym miejscu, kazał sobie podawać, co mu się podobało, lał czasem najmożliwszych a słuchano go z pokorą, i niemal trwogą. Uchodził za strasznego czarownika. Nawet podobno inni dziadowie wróżbici cześć mu jak głowie swej oddawali. Słowo jego ważyło wiele.

To też gdy trzeba było iść z ludem na wyprawę, a w jakimś dodać serca, nikogo do wróżenia z ziemi, patyków i ognia nie wolano, tylko jego. Śmiały i silny, choć stary, nocami chodził jak we dnie, nie obawiając się niczego, ani zwierza, ani człowieka.

Wedle obyczaju swojego Wargę, wejrzawszy w podwórze, wrota sobie otworzył śmiało, oczyma poszukał kogoś, do kogo by się odezwał, a nie postrzegłszy żywej duszy, kroczył prosto ku dworowi. Tu znalazł Lubonia jak odrętwiałego na ławie.

— Co tobie stary? — zawołał — choroba?

Gospodarz głowę podniósł, popatrzył oczyma obłąkanemi i nie nie odpowiadając, podparł się znowu na dłoń.

U drzwi Wargę kij postawił, sakwy rzucił na ławę i postąpił bliżej do niego, biorąc go za ramię.

— Co tobie stary? mów!

— Nie mogę mówić! — szepnął Luboń.

Gęślarz bystre oczy długo w niego wlepiając, głowę potrząsał, nareszcie na ławie naprzeciw niego przysiadł.

— Powiesz ty mi, co tobie jest? — mruknął.

Wtem Dobrogniewa z kądziałą wyszła z komory.

— Co wam? co się w waszym domu stało?...

Dobrogniewa rzucać głową poczęła.

— Syna miał, wnuka miałam... — straciłszy go... Wrócił po dwunastu latach niewoli... psem, Niemcem, niewiarą... trzeba go było wczoraj zamknąć do jamy jak wściekłego.

Wargę uderzył ręką po stole.

— Dwanaście lat go nie było! Oplakaliście... zapomnieliście... a co gorszego dziś?

Niechby nie żył!... — krzyknął Luboń.

— To go zamórz głodem... — rzekł Wargę — Z chrześcijanina ty pociechy mieć nie będziesz... darmo... Umieją oni człowieka przerobić, że się zaprze rodzonej matki i ojca... czarownicy to!... Skosztował on ich chleba, — naszego nie będziejadł więcej...

Tu Wargę zniżył głos.

— Co twoje dziecko jedno — rzekł. — Nam wszystkim oni nóż prędko przyłożą do gardła... Już kneź wacha się z chrześcijany i jak inni pójdzie z Niemcami, aby nam na kark jarzmo włożyć. Co im!... Jeździli do Czecha... tam mu żonę swatają... Biada nam!... biada nam!...

Luboń głowę podniósł.

— Stogniewa w drodze Mieszko udusił, że mu się sprzeciwił! Wydusi nas, jeśli o sobie nie pomyślimy... wydusi...

Wargę westchnął; śmiały jego głos płaczliwym począł się stawać.

— A wy, baby bezsilne... ścierpicie to!... — zawołała nagle Dobrogniewa.

Wargę począł głową potrząsać.

— Do kądzieli, stara — mruknął gniewnie — do kądzieli... precz... co wam do naszej sprawy.

Dobrogniewa spuściwszy głowę, powoli,

posłuszna, nie śmiejąc odpowiedzieć nic, odsunęła się do kąta, siadła na kądzieli i poczęła nie wyciągać. Warga sparł się oburącz na stole i patrząc w oczy Lubonowi potrząsał głową smutnie.

— Prawda to, że do Czech jeździli po kniehinie? — spytał Luboń. — Mieszko by nas miał sprzedać za jedną dziewczkę?...

— Za dziewczkę nie — odezwał się Warga. — Ale za to, by nas mógł z niemi gnębić... obrócić w niewolniki, jak Niemcy swoich... pójdzie reszta kmiecych swobód z bogami naszymi... pójdzie...

— Jeśli my się mu damy — mruknął Luboń.

Warga przysunął się ku niemu, popatrzył na siedzącą zdala Dobrogniewę i zaczął mu coś szeptać do ucha. Z twarzy i oczów widać było, że to, co mówił, gorącem było i poruszało go mocno. Oczy to mu się świeciły, to pod zmarszczone chowały czoło, zaciskał dłonie, targał Lubonia za ramię, podnosił ręce, bił o stół niemi, rzucał się, śmiał i krzywił, a gdy wreszcie umilkł, Luboń wstał, jakby w niego nowe życie wstąpiło.

Była to pora wieczery; wniesiono misy, chleb, strawę i piwo, a Warga zgłodniały rzucił się na nie chciwie. Luboń pił tylko, a szepotali ciągle.

Noc już była, gdy dał się słyszeć tentent, głosy u bramy, a wkrótce potem wszedł do izby opończą osłonięty mężczyzna, od progu naprzód wpatrując się, kogo zastanie. Dopiero, upewniwszy się że Luboń sam był z Wargą, wsunął się i twarz odsłonił.

Był to Wojśław, koniuszy Mieszka, który zbiegł w las, gdy Stogniewa kneź pochwycił. Dawny Lubonia znajomy i powinowaty, przychodził widać żądać u niego przytułku.

Gospodarz, który o niczem nie wiedział,

nawet o losie Stogniewa zasłyszał ledwie i sądził przybyłego Mieszkowym sługą, przyjął go po starej дружbie.

— Cóż mi tam niesiecie? — spytał. — Pewno was kneż posyła? byle nie po syna...

Wojśław strząsnął się, nie odpowiadając i usiadł na ławie milczący; popatrzył na Wargę. Stary włóczęga myśl jego zdawał się odgadywać.

— Co wy patrzycie mi w oczy, jakbyście Wargi nie znali? Przy mnie śmiało mówić możecie, co serce poda do gęby.

Luboń ciekawie wpatrywał się w wyblądłego i na twarzy zmienionego krewniaka.

— Coś ty nie swój jesteś? — rzekł.

— Nic nie wiecie? — zapytał Wojśław schrypłym głosem.

— Cóż mam wiedzieć, siedzę w domu...

— Gdzie syn twój? — zapytał Wojśław.

Na to pytanie zmarszczył się Luboń; od rana już postanowił był nie przyznawać się przed ludźmi do tego sromu, że dziecko mu nie chciało być posłusznem, do tej doli, że mu je chrześcianie odebrali, cicho więc odparł:

— Synam wyprawił w swaty... żenię go...

— Doprawdy? — zapytał Wojśław. — Toście go zmusili chyba... Przecie go widziałem w Pradze, że z chrześciańskimi wróżbitami w ich kontynie odprawiał tam jakieś obrzędy... a tym, co do nich należą, żenić się nie wolno...

— Tak jest — dodał porywco Luboń, — zmusilem go do porzucenia tej wiary niemieckiej... zagroziłem mu... musiał być posłusznym.

— Nie wam nie mówił o naszej podróży? — pytał dalej Wojśław.

— Nie pytałem go wiele... — odezwał się Luboń, jakby zbyć się chciał rozmowy. — Co tam z głowąsem takim rozhowory prowadzi?

Machnął ręką.

— Nie będziecie wy z syna mieli pociechy... — rzekł Wojsław — nie... Dobrze, żem ja z jego przyczyny nie nałożył głową... a Stogniewa śmierci nikt nie winien, ino on. Widzieli go pacholankowie, jak w krzakach leżąc, podsłuchiwał nas na rozmowie i wydał przed kneziem...

— A cóżeście mówili? — spytał Luboń zdziwiony.

Wojsław z ławy powstał, poruszony mocno.

— Co mam klamać? Mieszko nas Niemcom sprzedaje. Do Pragi jeździł o naszą skórę się targować. Jawna to rzecz. Starą dziewczkę mu daje Bolko i dobre wiano... swoją przyjaźń i cesarską łaskę... Myśmy to ze Stogniewem widzieli, a mieliśmy czekać, aż nam na kark włożą obręcz?...

Reszty się można było domyślać. Wojsław jej nie dopowiedział, i po chwili kończył.

— Gdyśmy nocą przyszli do niego, już nas, przez twojego syna ostrzeżony, czekał... Stogniewa zdusił jak chrząszcza!... Jam życie uniósł... tułam się.

Milczenie nastąpiło długie... Wojsław przeszedł się po izbie, Warga pilno nań patrzył; Luboń stał zamyślony.

— Dacie mi przytułek? — zapytał Wojsław.

— Właśnie to go tu szukać!... — krzyknął Warga. — Człowiecze... pod bokiem knezia, gdzie cię każdej godziny może zajrzeć i ludzie cię znają!... Pójdiesz ze mną!... ja ci dam schronienie, w którym będziesz bezpieczny... Schowam cię do chramu, gdzie nikomu dostąpić niewolno... Takich nam ludzi jak ty trzeba...

Odwrócony ku starcowi Wojsław słuchał.

— Pójdiesz ze mną! — powtórzył Warga.

— Ja ci też w lesie na pasieczysku chatę dać mogę — rzekł Luboń.

— Byłem gdzie tego twojego syna, psia wiarę, nie spotkał — odezwał się Wojsław — bo choć on was posłuchał i dziewczkę bierze, a ja mu nie ufam... Zdradzi on ją, i was, i mnie, gdy będzie mógł... a wiary tej, co gdy raz przyłepnie do człowieka, trzyma się jak smoła, nie puści...

Zamyślony, z okiem wlepionem w ziemię, stary Luboń powtarzał ciągle pocichu.

— Stogniewa udusił!...

— Własnymi rękami — rzekł Wojsław popijając chciwie z kubka, który stał na stole. — Cekał na niego... schwycił za gardło... i krzyku mu nawet wydać nie dopuścił... Ciało potem zrzucić kazał z góry do Łaby i położył się znowu, jakby mysz nogą rozcisnął... Nikomu słowa nie rzekł... Dobrosławowi po Stogniewie władzę oddał, wrócił nad Cybinę, posłał po Sydbóra i już się pewnie do wesela sposobił... Taki on jest... Co jednemu uczynił, tak samo stu zrobi, nie zmarszczywszy się... Na Sydbóra my rachowali, on ma dużą siłę w ręku... ale to pies też, co się nawykł łasić i nogi mu lizać będzie... z nim gadać niema po co.

— Albo innych niema? — podchwycił Warga. — Czy to wam kneziów zabraknie?...

— Kneziów nie! — zaczął Wojsław — a no... ludzi... Dawne męztwo wytepiły te Piasty... porobili z nas niewolników... serc niema... trwoga we wszystkich... pójdą, gdzie im każą, zrobia, co im powiedzą, choćby na ojców rodzonych.

— Nieprawda! — zawołał Warga, poruszając się za stołem. — Żle ty sądzisz o narodzie... jeszcze on nie cały w pętach i kagańcach... jeszcze po lasach stary obyczaj i stara swoboda...

miry wiecują jak dawniej, i pędzić się nie da-
dzą, jak trzody...

Poczęli tedy rozprawiać o swej doli i o tem,
co groziło; Luboń tylko najmniej się odzywał.
Noc ich tak zaszła, aż Warga wstał z za stoła.

— Noc ciemna ale ja drogi znam... nocą
wam i mnie najlepiej iść... chodźmy ztąd... no-
cleg sobie znajdziemy...

Ruszyli się więc oba, gdy Luboń im
u drzwi drogę zaszedł.

— Znacie starego Lubonia! — rzekł. — Ja
z wami! Nie zważajcie na to, że mnie Mieszko
zechce ciągnąć ku sobie, że mu się pokłonię..
Trzeba będzie dłoni do roboty, ja i moi ludzie
z wami będą...

I podał Wojśławowi dłoń.

— Syna miej na oku! — mruknął wycho-
dzący.

— Nie bójcie się... bezpiecznym o niego...

Wywiódł ich w podwórze, do wrót, Woj-
śław siadł na koń, Warga poszedł przodując,
i znikli oba w ciemnościach.

XI.

Gdy z pola znikły kopy i żniwa zostały
skończone, obchodzono zwykle uroczystość je-
sienną, weseląc się i dziękując bogom, a skła-
dając im obiaty. Nie było na to oznaczonego
dnia, a w każdym mirze i osadzie, po dworcach
dobierano sobie wedle upodobania i możności
porę do obchodu wesołego, gdy dostatek zawi-
tał do chaty. Warzono piwa, sycono miody,
młodzież często przy tej zręczności upatrywała
sobie dziewczęta, bo i wesela zwykle na jesieni

się odprawiały, gdy roboty pilnej około roli
nie było, a zasiew też został skończony.

Obyczaj ten i na kneziowskim dworze za-
chowywano, sprawiając pod ten czas dla cze-
ladzi i młodzieży ucztę połączoną z wróżbami
przy kontynie i obiatami bogom.

I w tym też roku, wcześniej niż zwykle,
Mieszko, który po sobie nie poznać nie dawał,
co zamyślał, choć po całej już ziemi mówiono
o przyszłych jego zaślubinach, przez Sydbóra
i dietskich swych, wcześniej zwoływał na dwór
starszyznę i ziemian znaczniejszych.

Nie bywało we zwyczaju na to święto ją
powoływać, lecz Mieszko zapowiedział, że na
Niemców i przeciw margradowi Geronowi może
ciągnąć przyjdzie, więcby rad ze starszyzną
o tem pomówił.

Dzień naznaczono przed pełnią i komor-
ników rozesłano po dworach, po kmieciach
i Leszkach co możniejszych, aby na gród nad
Cybinę ciągnęli.

Zwołano co przedniejszych z Jaksów, Le-
liwów, Porajów, Grzymałów, Godziembów, Ka-
niówów i innych starych rodów.

Na grodzie od przybycia Mieszka z Pragi,
nie wiele się lub nie prawie nie zmieniło. Nie
odprawił też kneź żon swoich, owszem siódmą
sobie wziął jeszcze, dla niepoznaki i Lilja mu-
siała ustąpić ślicznej Lubaszce, córce zamożne-
go kmiecia, ledwie wyszłej z dzieciństwa, roz-
kwitłej, jak na pół otwarty pączek różany. Sto-
gniewa miejsce zajmował Dobrosław, — dużo się
jakichś obcych ludzi plątało po dworze, ale
w pocztach straży i wojsku nie zmieniło się
nic — kneź jeszcze dla swoich wojaków szczo-
drzejszym był i widocznie ich sobie jednał.
Parę razy zajrzał do kontyny i pogadał ze stró-
żami przy niej siedzącymi. Obiaty do chramu,
jak zdawna posyłało do dworu, po obyczaju

odwiecznym. To też ci, co z nich korzystali, nie pozwalali mówić ani posądzać Mieszka, ażeby miał wiarę odmienić.

Lecz były też oznaki inne, mniej widoczne, że się coś knuło pocichu. Z Czech kilku ludziakichś niewojennego rzemiosła na dwór przybyło i siadło. Ci często do knezia się przekradali.

Nim na owe dożynki zwołano starszyznę, Mieszko czy z naprawy Dobrosława czy sam, jednego dnia o Własta się upomniął i wysłał za nim do Krasnejgóry.

Trzymano go ciągle w jamie, ale o tem w domu nie wolno było mówić; przed obcymi Luboń kłamał, że syna osadził z młodą żoną, na ziemi, którą miał w lasach, o mil dziesiątek. Gdy komornik przybył od Mieszka, upominając się o Własta, stary mu też odparł, że syn gospodarzy na nowosiedlinach i że go ściągnąć niełatwo. Namyslił się jednak po daniu tej odpowiedzi i przybrawszy się, zaraz z komornikiem na dwór pański pojechał.

Gdy przybywszy chytry starzec — pokornie do nóg się kłaniał Mieszkowi, spytał go wnet kneź:

— A Włast wasz kędy?

Stał przy tem Dobrosław i słuchał.

— Miłościwy panie — odezwał się Luboń, nie dobrze udając wesołego. — Włastam ożenił i na gospodarstwo wyprawił, bom stary i pomocy potrzebuje.

Mieszko zdumiał się bardzo i popatrzał na Dobrosława, który mu wprzód jeszcze opowiedział o powołaniu jego i kapłaństwie. Wprawdzie naówczas żenienie się duchownym wzbronionem nie było, ale Włast wdział był suknię mniszą, o czem Dobrosław wiedział dobrze, a zakony zawsze ślubowały bezżeństwo.

Zdumienie na chwilę usta zamknęło wszystkim. Luboń poczuł, że mu nie bardzo wierzą.

— Miłościwy panie — rzekł — przed wami nie godzi nic ukrywać. Syn mi powrócił przez Niemców zepsuty i na ich przekłętą wiarę przeciągnięty — nie chciał ani żony, ani gospodarstwa. Lecz zmusiłem go, aby mi był posłuszny, a dałem młodycę śliczną, przy której zapomni o czem innym.

I ożeniliście go? — pochwycił Dobrosław widocznie zdumiony razem i przełękły, — ożenił, się dobrowolnie?

— Trochę mi się opierał — odezwał się Luboń. — Ale przeciwnie ojciec i mam władzę; zresztą niewiasta go do rozumu przywiedzie.

Stary się rozśmiał dziwnie; Dobrosław zmilezał, Mieszko też nie odezwał się zaraz, ale chmurno na starego Lubonia popatrzał.

— Dawnoż się to stało? — spytał.

— Zaraz po powrocie, gdyście go, miłościwy panie, odesłali do mnie. Nie dałem mu długo się rozmyślać.

Mieszko, który zwykle na Lubonia był łaskaw bardzo, tym razem nie okazywał mu wcale życzliwości swej, posępnie zbył go kilku słowy — i odprawił.

Co kneź myślał, z tego się nikomu nie zwykł był zwierzać, ale Dobrosław, któremu się zdało, że na wiarę i gorliwość Własta mógł rachować, rażony był, zasmucony i razem przybity. Nie mógł pojąć, by pobożny młodzian, co zdawał się na męczeństwo gotowym, tak łatwo uległ pokusie. Chciałby go był zobaczyć, — lecz na to nie widział sposobu.

Mieszko, który chciał starego Lubonia wraz z innymi na zjazd do grodu wezwać, po krótkiej rozmowie z nim, nie rzekł mu już nic. Luboń, wiedząc, że innych powołano, poczuł to mocno, lecz zmilezał i do domu odjechał.

Dzień naznaczony do zjazdu nadszedł wreszcie. W wigilję już był Sydbór z ludźmi swemi

na grodzie i wojska zebrano dosyć. Przygotowania na przyjęcie kilkudziesięciu znaczniejszych kmieciów, Leszków, władyków, ziemian, wcześniej były uczynione. Umiał Mieszko przemawiać po królewsku i pokazać moc swoją.

Dnia tego od rana podwórce, miasteczko, pole pod wałami pełne było pocztów Sydbóra i innych dowódców. Ludu liczono na kilka tysięcy, jakby się na wyprawę zbierano. Dla tych woły zarzynano i pieczono, i kadzie z piwem stały od rana.

Na kneziowskim dworze występowało tak, jakby najdostojniejszych spodziewano się gości. Izba wielka na dole przyrządzona była na przyjęcie wspaniale, wszystkie ławy sukrem szkarłatnem pookrywane, na stołach dzbany srebrne, na ścianach zbroje i tarcze odpolerowane świeżo. Zapach smółki rozechodził się wszędzie. W podwórce pieczono zwierzynę i barany, niewiasty warzyły kasze różne z miodem i mlekiem, beczki z napojami stały w pogotowiu, by z nich stągwie napełniać było łatwo. Sam kneź od rana suknie włożył paradne i miecz przypasał złocisty, a czapkę wdział czarnym polyskującą włosem z północy przywiezionego zwierzęcia, za którą dał niewolnika. Twarz też na ten dzień rad był ułożyć wesołą, ale, mimo starania, marszczki na niej widać było.

Zawczasu się panowie ściagać poczęli z pocztami piękniemi, bo każdy był rad przed kneziem wystąpić możnie i schludnie. Więc Jaksy, Kaniowy, Grzymałowie, Rolic, Godziembowie, każdy w kilkanaście lub kilkadziesiąt koni; kołpaki piękne, suknie zawiesiste; miecze kowane, na niektórych zbroje niemieckie; stawili się u progów dworu, gdzie ich dwór i służba witała, a do izby wiodła.

Kneź siedział na podwyższeniu i łaskawie wszystkich przyjmował twarzą jak mógł wesołą.

A był to pan, który, gdy chciał, umiał się srogim ale i łaskawym okazać; więc dnia tego, z kolei witając ziemiany, każdego wiedział, o co spytać, czem mu pochlebić, aby dobrej myśli był. Tu też cześnicy stali i stolnik, z kubkami i dzbanami, a na stole jadło dymiło. Sadzał kneź podle i wesoło rozmawiał.

Gdy około południa zjechali się wszyscy wezwani, izba niemal była pełną i panował w niej gwar a ochota wielka. Miód rozwiązywał języki.

I Dobrosław, i brat pański Sydbór i inna mnoga starszyzna, urzędnicy dworscy nalewali a przymuszali pić i jeść, bo taki był zawsze obyczaj gościnności słowiańskiej, iż przymusem ujmowano wstrzemięźliwych przez grzeczność gości.

Gdy więc tu zawzięło się mocno na ochotę i wesele, Mieszko wstał, jako dobry pan mieszając się między swych ziemian. Czy z umysłu czy trafunkiem, kilku do siebie najstarszych ściągawszy, o wojnie począł mówić naprzód, i rozmawiając z nimi, wywłókl ich do blizkiej komory, której okna w podwórce wychodziły.

Tu też ławy były dokoła i stolica dla knezia. Sama się zebrała starszyzna, sędziwe głowy: dwóch braci Jaksów, Czarny i Biały, Rolita z obciętą ręką bez palców, bo mu je w potyczce Niemiec odsiekl, Kaniowczyk, którego zwano Leszczycem, Grzymała Laskonogi i Godziemba zwan Krzywogębą, choć pod wąsami mu nie widać nie było. Byli to najmożniejsi Leszkowie i kmiecie polańscy.

— Wojnie końca niema — mówił kneź do nich — Niemcy się zmagają, z Czechami przymierze uczynili, Ugrów przepędzili do ich łóżysek, teraz nam całą siłą na karki siądą.

— Słyszeliśmy, miłościwy panie — odezwał się Jaksza Czarny, — żeście do czeskich kneziów

jeździli — azaliż i my z nimi pokoju mieć nie będziemy?

Milczenie się stało wielkie.

— Byłby pokój i przymierze — odezwał się głos zniżywszy Mieszko. — Ale cóż? chrześcianami są i z nami trzymać nie mogą.

Wszyscy posępnie usta zamknęli.

— Dziś, czy jutro — odezwał się wolno, cedząc wyrazy kneź — nowa wiara wnijdzie i do nas. Weszła ona już, wchodzi codzień, opierać się jej trudno — pokój by nam przyniosła.

— Przebaczenie, miłościwy kneziu — począł Krzywogęba, z dalekiego końca, na którym usiadł, — przebaczenie! Pokój by może ona przyniosła od markgrafów, gdybyśmy im nogami dali się podeptać, ale doma by nie było pokoju. Nasze serca przyrosły do bogów naszych i oby czaju; lud prosty i władcy zarówno, jedno wierzą i trzymają. Gdyby starszyzna posłała w jedną a lud w drugą stronę, — mielibyśmy wojnę nie tylko w domu, ale i w izbie, i na ławie i na posłaniu naszym.

Szmer cichy zdawał się potwierdzać te słowa.

— A nie także samo było w Czechach, gdy ratując się, wiarę nową przyjmowali — rzekł Mieszko. — Dziś przecie już nie czuć i nie widać tam, aby się kto burzył i opierał. Ludowi po lasach zostawić trzeba czas, a starszym poczynać, — od nich poszło tam coraz głębiej, i...

Spojrzał Mieszko po starszyźnie zasępionej mocno i posmutniałej.

— Nikomu — dodał, zmieniając mowę — nie wesoło się ze skóry odzierać, rozstawać z tem, co ojcom i dziadom służyło. Ale nóż na gardle mamy. Niemcy coraz głębiej idą i zawojują nasze ziemie. Od ujścia Łaby pod Odre wszystko to nasze; codzień kawałek wydrą nam, jakby żywego mięsa, damyż sobie

najlepsze ziemie i lud zabierać? Po dobrej woli nie poddali się Lutyki, Obodryty, Wilki, Pomorcy, to im chramy popalono i połamano i poszli w niewolę.

— Bić się trzeba! bić się! — wtrącił Laskonogi — bić dzień i noc, napadać i mścić!

— Siła stokroć od naszej większa, nie zmożemy ich — przerwał Mieszko — a i swoi z niemi idą. Co począć?

Na to pytanie długo nie było odpowiedzi. Jaksa Biały, który dotąd mileczał, ruszył się, po nad głową rękę podnosząc.

— Siedzę od serbskiej granicy — odezwał się — patrzę na niemieckie roboty, zdrajcą nie byłem i nie będę; ale Niemca złego nie zmożemy siłą ino chytrą. Ściga nas jako pogan, udajmy, że chrześcianami być chcemy, abyśmy wypoczęli i stali z nim na równi. Niema co czynić ino to, niema co poczynać tylko Czecha chytrego naśladować. Wówczas wilk ten krwi naszej chciwy, Gero i Wigmany i wszystkie złe duchy ich, odstąpić będą musieli, przymierzy uczynić, aby ich w nie jak w matnię zaplatać...

Śmiało i żywo wypowiedziawszy, spuścił głowę Biały i zamilkł... Mieszko po kolanach swych dłońmi uderzył...

— Jakso mój — zawołał — złote mówisz słowa... Złote słowa twoje! Rozumu się u ludzi i z cudzego doświadczenia uczyć trzeba.. Nie wszystko żelazo robi i siła... chytry zwycięża... a Obry pijane od Krasnopanków giną!

Inni coś mruzcili, nie oburzając się.

— Jedno powiem wam — odezwał się Mieszko, — choć mnie o słowo trudno, języka nie mam jako drudzy — jedno rzeknę — cobądź poczynać będę, co zrobię i gdzie pójdę, niechaj was serce nie boli — nie gwoli złemu uczynię, — ale gwoli temu, aby nam i plemieniowi było dobrze...

Szerokie ziemie nam należą... Czech? — Czech nam Chrobaty wziął. Czech nam Szlązko zajął... hen! dalej po Wisłę, za Wisłą, nasz to język, ziemia nasza, po morze do Łaby... na Odrę... wszystko to nasze... wszystko weźmiemy, rozumem wprzód ważąc, a potem miecza i krwi nie żałując... Cesarz na zachodzie... na wschodzie my być powinni cesarstwem. Nie ja — syn — wnuk może... ale to musi być! to będzie!

Wstał mówiąc to; słowa zdawały mu się mimowoli rwać z ust, aż nagle, jakby się opamiętał, że za dużo rzekł, zamilkł.

Jaksa Biały, a za nim drudzy wstali z ław, ręce popodnosili do góry i — mimowoli wyrwało się im z ust...

— Tak będzie! tak będzie!!

Jaksa dodał:

— Miłościwy panie! nie pytaj — czyn! — Tyś pan, tyś kneź, masz siłę, masz wolę — niech gawieź mruć! ty idź i czyn...

— Idźcież ze mną i za mną!

Uderzył się w piersi.

— Pójdziemy! — zawołali głośno wszyscy...

We drzwiach komory na okrzyk ten zjawilo się kilku z pierwszej izby; ci, nie wiedząc nawet, dla czego wołano i co chciano, okrzyk powtórzyli w progu, od progu dostał się za stół... Powstawali ziemianie wołając:

— Mieszko żyw i zdrów niech będzie! na długie lata! na długie lata...

Czarne oczy knezia zapalały; stał drżący jakimś zapalem, odwagą, nadzieją. Trwało to chwilę — pokłonił się ręką od ust dziękując — i siadł...

Tak krótka ale stanowcza skończyła się narada i nastąpiło uczciowanie...

Znowu stolnicy i cześnicy szli nalewać i zachęcać i, mimo przytomności knezia, wrzawa i śmiechy rozległy się w izbie.

Toż samo działo się w dziedzińcu i na całym grodzie. Młodzież biegła z oszczepami, ścigała się końmi, pasowała na gołe dłonie... strzelała z łuków i rzucała kamienie... Podocho-ceni wojacy, komornicy, dwór, pacholcowie dokazywali pod oczyma starszyny, która też podweselona, nie myślała powszechnego zakłócać wesela...

Dopiero około gaju świętego, bo do tego nikt się zbliżać nie śmiał, panowała cisza i spokój. Na skraju jego pod drzewy widać było kilku starców stojących gromadą w milczeniu i zdala przypatrujących się ciekawie temu, co około dworu się działo. Zwykła straż chodziła u ścian kontyny... W progu jej siedział znajomy nam Warg z rozwianą brodą na rękę podparty, słuchając dolatujących doń okrzyków i dumał. Kilku podobnych mu dziadów z białymi kijami przechadzało się po gaju.

Warga zdawał się tu czekać na kogoś. Obracał się czasem ku dworowi napróżno, podglądał pod gałęzie... nikt nie przychodził...

Nad wieczór goście się zwolna rozjeżdżać zaczęli, ludzie znużeni kładli się po szopach, na grodzie uspakajało się, kiedy niekiedy tylko okrzyk lub śmiech doleciał zdaleka... Zmierzchało już, gdy około gaju ukazał się niepewnym krokiem, bojaźliwie krążący człowiek, niepočeśnie odziany. Poznać w nim jednak było można kogoś z mniejszych sług dworu, tego dnia w barwę jednostajną przybranych... Ostrożnie wsunął się między drzewa, obejrzał i podbiegł ku kontynie... Na widok jego Warg wstał z progu, zbliżył się doń, odcignął w drugą stronę, i u pnia starego dębu się zatrzymał.

— Słyszałeś co? mów — rzekł.

— Wszyscy ziemianie z nim za jedno trzymają, — odezwał się zadyszany sługa. — Co tylko zechce, to zrobi...

— Kto był? licz! — spytał Warga, pochylając się ku małemu człowiekowi, aby odpowiedź lepiej usłyszeć.

Sługa wyliczać począł, przypominając sobie, pomagając na palcach i powtarzając...

Warga pytał, pomagając mu... odbierając to przeczące, to potwierdzające odpowiedzi; lecz gdy przyszło do powtórzenia tego, co mówiono i nad czem obradowano... sługa nie umiał zdać sprawy z podsłuchów. Jedno wiedział na pewno, iż Mieszkowi wszyscy posłuszeństwo ślepe ślubowali. Warga głowę na piersi spuścił, na kiju sparł, i milczał... Ręką odprawił sługę i przywołał nazad...

— Był Luboń? — spytał.

— Nie było go... Parę dni temu ślano za nim. — Kneź mówił z nim krótko i odprawił.

Odszedł nareszcie donosiciel, a Warga podniósłszy opone, wsunął się do ciemnej kontyny... Na ławie u wnijscia siedziało dwóch na pozór uśpionych ludzi. Spostrzegłszy Wargę, ruszyli się.

— Teraz idźcie — rzekł — wiecie dokąd, i po których dworach... nie zapomnijcie o Luboniu... pojutrze na uroczysku Lelowem... jak świt...

— Pojutrze na uroczysku Lelowem, jak świt! — powtórzyli machinalnie dwaj starzy... a Warga jeszcze raz toż samo im wtórował:

— Pojutrze na uroczysku Lelowem jak świt...

Podniosła się ostrożnie opona świątyni; Warga wyszedł, oglądając się, a za nim dwaj jego posłowie... każdy w inną kierując się stronę...

Uroczysko Lelowe, położone było wśród lasów na pół drogi do Gniezna... Odwieczny dąb spróchniały, omszony, przyschły już, zajmował środek łąki, która wierzch wzgórza okrywała niską, a gęstą trawą leśną porośłą... Tu i owdzie jakby kołem, wsiadłe w ziemię leżały

głazy szare, opasując go wieńcem... Niektóre z nich ukryły się już prawie w niej, inne sterczały jeszcze nad powierzchnią. Pomiędzy niemi a olbrzymim dębem mnóstwo glinianych małych miseczek stało w nieładzie, przypruszonych gałęzmi, poprzysypywanych ziemią. Między niemi gdzieniegdzie leżał wywrócony dzbanuszek i potłuczone małe bliźniaki...

Z jednej strony popiół zgasłego ogniska szerokiem kołem znaczył miejsce, w którym spoczywano. Na dębie wisiały płachty, deszczem wymyte, zczerniałe od wilgoci... Okrywały one część pnia i gałęzi... Te, które wiatr pozrucał, walały się na ziemi. Sam dąb miał, rzec można, jakąś postawę własną, która go od innych różniła... Niezmiernej grubości od dołu, okryty szczyrby i garbami, dziwacznie poorany spływającą wodą i piorunami, co weń biły, — podnosił się do góry jakby w męczarniach wijąc i dzieląc na kilka potwornie grubych konarów... Te także nie rosły prosto i bujno; i one łamały się dziwnie, to strzelając do góry, to spadając ku dołowi, to podnosząc znowu zwycięzko... niby pasując się z jakąś niewidzialną siłą. Całe drzewo zdawało się wiekami wyrosłe w niewysłowionych, powolnych, tajemnych męczarniach... Czyniło ono wrażenie potęgi wiekowej, stworzonej na walkę, zwycięskiej, lecz noszącej na sobie widome znamiona, przeżytych bojów i męki... Dalej majestatycznie dźwigały się wysoko po nad stary las gałęzie, jedne zielone i gęsto liśćmi okryte, drugie obnażone, strupieszale, zjedzone przez mchy, rozpadające się próchnem...

Spojrzawszy na tego milczącego, nieruchomego, wktęgo w ziemię szeroko, jak szponami niezmiernemi, — olbrzymia, mimowolnie przejmowało poszanowanie jakieś i groza. Był on świadkiem tysiącoletnich może dziejów, burz,

ciszy, przemian na ziemi... Cały świat swój miał stary pan puszczy; z jego soków żywiły się mchy, na ich trupach rosły trawy, w dziuplach tkwiły leśne kwiatki, schronione od zimna i słoty. Grzyby i pleśnie ssaly mu nogi; na jednej gałęzi wił się chmiel dziki, oplatając się z rozpaczliwą jakąś chciwością. Wyżej pomiędzy gałęzmi słały gniazda ptaki, w wiecznym boju z sobą. Na każdej z nich tulił się inny lasu mieszkaniec...

Dąb, jak uroczysko, zwał się Lelowym. Miejsce było poświęcone, tajemne, cudowne: szli tu chorzy zawieszać chusty, z którymi zdejmowali bóle swoje, niewiasty, prosząc Lela o potomstwo, chciwi wróżby, przemiany, pociechy...

O brzasku trzeciego dnia, jeszcze dąb okryty był poranną rosą jesienną, lśniąca, jakby już mróz niosła z sobą, gdy z głębi lasu pierwszy przywłókł się Warga. Obejrzał się dokoła, rozśluchał i siadł na jednym z kamieni. W lesie słyhać było dziecięcia, który kuł drzewo i zdala krakanie wron, ulatujących nad lasem.

Głos ich nieprzyjemnie rozbudził starca, któremu się usta krzywiły. Podniósł głowę; po nad nią leciało stado czarne, zniżając się, jakby chciało usiąść na starym dębie, zakręciło się nad nim i puściło dalej, krzyczac długo.

Z krzewów wyszedł stary Luboń, odziany w prostą sukmanę, z twarzą posępną. Pozdrowili się pocichu. Nim mieli czas zacząć rozmowę, ze wszech stron zjawiać się zaczęli, jakby z ziemi wyrastający starzy ludzie, w tak prostej ubogiej odzieży jak Luboń.

Szli milczący i stawali kołem u kamieni pod dębem, na swych kijach pospierani. Luboń ich naliczył wkrótce kilkunastu. Starsi zaczęli siadać na ziemi, niektórzy zzanadrza wyjąwszy mieszkę i przed sobą je stawili. Milczenie panowało uroczyste. Na wszystkich tych powię-

dłych twarzach jeden wyraz smutku i gniewu się piętnował.

Gdy starcy zajmowali miejsce obok Wargi, innych kilku butniejszych twarzy, choć odzianych w sukmany, przysunęło się do Lubonia. Widocznem już było, że z dwu jakichś żywiołów miało się składać to zebranie.

Dzień był mglisty, ale słońce zaczynało z za gęstych opon wyzierać; promień jego zaświecił na górnych dębu gałęziach. Wietrzyk je poruszył i drzewo jakby obudzone, zaszumiało poważnie. Nie drgnęła jednak żadna z jego gałęzi, liście tylko drżały i kołysały się. Kilka ptaków wypędzonych z gniazd uleciało w powietrze.

Wtem siedzący za dębem starcy zaczęli nucić pieśń cichą. Wyrazy jej nie dochodziły do uszów tych, co stali na przedzie; nuta była tęskna, żalosna, a głosy szły jakby z piersi rozbitych,—ponure i stłumione. Po każdej zwrotce pojedynczy głos powtarzał coś o Lelu i zdawał wzywać bóstwa pomocy.

Warga nie śpiewał; słuchał zadumany i czoło marszczył. Śpiew też trwał bardzo krótko i obumarł z ostatnim wykrzyknikiem. Westchnienia słyhać tylko było.

Około Lubonia zgromadzili się ziemianie, za nimi kołem stali i siedzieli wróżbici, gęślarze i ludzie od kontyn i chramów: jedni spoglądali na drugich, jakby się pytali. Co począć? Wtem z gąszczy Wojsław się zjawił, spojrział na zgromadzonych i wystąpił przed nich.

— Co będziecie czynili? — spytał półgłosem.—Na naszą starą wiarę idzie zguba z góry... wytepią ją... Żadna się kontyna nie ostanie... żaden kamień święty... żadnej uroczystości po staremu obchodzić nie będzie wolno... żadnemu gęślarzowi śpiewać, żadnemu staremu powró-

żyć, — popędzą nas jak bydło w niewolę... Co czynić? co czynić?...

Warga nań patrzył.

— W jaki sposób jeden człowiek może tyle narodu zmusić? — zapytał. — Jak nagniem karku, jarzmo włożą...

— Nie jeden — odparł Wojsław, — jest ich wielu... a broń mają w ręku i siłę... Porywać się na nich? — wyginiemy i z nami wiara nasza.

— Głupi się tylko rwie, gdy nie pora — odezwał się Warga. — Milczeć trzeba, przypaść, czekać... Znajdzie się chwila, gdy albo knezie się z sobą zajedzą, albo wróg ich przydusi. Czekać trzeba!...

— A tymczasem kontyny wywróca! — rzekł Wojsław.

— Albo drzewa niema, by drugie wystawić? — począł Warga. — Niech lepiej ściany giną, niż ludzie. Przyjdzie pora, gdy będzie siła... Pójdziemy w lasy na uroczyska, będziemy po nocach święta obchodzili i ofiary składali... Puszcze nas nie zdradzą... Czekać trzeba...

— Inaczej mówiliście niedawno... — odezwał się Luboń.

— Bom nie wiedział, co się dzieje... Kneź ma dużo zbrojnego ludu... Czechy mu w pomoc przyjdą, a i Niemcy... Naco ma się krew przelewać, kiedy wiarę potajemnie chować można!...

Wojsław ręką zamachnął w powietrzu.

— Tak tchórze gadają! — rzekł. — Ulegniemy dziś, jutro nie pora będzie... Za rok, za dwa w każdej chacie znajdzie się chrześcianin... Dosyć ich jest i tak... ale dziś się oni tają przed nami, jutro my będziemy musieli przed niemi... Zguba i zatracenie...

Warga wstał z ziemi z oczyma zaognionemi.

— Wyście mnie nazwali tchórzem, a ja was nazwę gębaczem... — rzekł. — Słowa nie kupić... a o ręce trudno...

— A po osadach, po chałupach, po dworach nie możecie iść i ludzi ścigać? — zawołał Wojsław. — Nie możecie zebrać tysięcy i z niemi prosto na gród iść a śmiało rzec: nie chcemy nowej wiary! nie chcemy odstać od ojców i obyczaju!...

— Pójdziecie z nami? — spytał Warga.

— O jednego człowieka nie idzie — przerwał Wojsław, — jak tysiące będą, znajdę się i ja...

Starzy poglądali po sobie.

Odezwał się któryś mrukliwie.

— Nie te to czasy, gdy na wiece ojcowie zwolęwali i ogniste palono wici! Popatrzcie u chramów, — mało kto idzie, mało kto pyta... Nowa wiara ciśnie się wszędzie, a my ze starą... w puszcze i lasy chyba!...

— Wojaki kneziowskie żadnej wiary nie mają — wtrącił inny. — Na święto idą dla piwa, dla miodu i dziewcząt, a żaden starej pieśni nie umie!

— Nie, nie... — przerwał drugi, — nie, Drohota, nie! Wy koło grodów się kręcicie i nad granicą, gdzie śmiecie spływa... Pójdźcie do lasy, w głąb, hen, dalej, za Wartą ku Wiśle... tam nasze bogi stoją całe i lud czołem im bije, ofiary niesie, pieśni nie zabył, obyczaj chowa... A trzeba będzie stać zań, pójdzie wszystek...

Rozśmiał się Drohota a Warga niedowierzająco ramionami ruszył. Pomiędzy starcami jedni trzymali z niemi, drudzy z czarnym Buranem.

Wojsław podniósł głos.

— Niech ino kneź zobaczy, że lud stoi przy swych bogach, niech głos posłysz, nie będzie śmiał...

— Co nie będzie śmiać? — przerwał War-
ga. — Silniejszy on od was i chytrzejszy. Inna
moja rada... zmileć i ugiąć się... a wiernie swe-
go trzymać i czekać... przyjdzie pora. Albo to
czas teraz?

— A kiedy będzie czas? — zapytał Woj-
sław.

— Gdy my wam powiemy!... — odezwał się
Warga. — Co wy znacie, dworacy? co wy wiecie
Wojśławie? Chowaliście się na dworze, nie zna-
cie narodu. Mocny on może być, gdy przecier-
pi, gdy zboleje, gdy mu do serca ściagną dłoń.
Dziś my jej jeszcze nie poczuli... darmo wołać...
Zbierze się kupa pijanych, zahuczy, — rozpędzą
ją i strach padnie na wieki na wszystkich...
Tegoby jemu trzeba, żeby mocniejszym się
stał, — ale my tego uczynić nie damy!...

Drohota powtórzył:

— Nie damy!...

Inni starcy, nie sprzeciwiając się, zamilkli.
Warga widocznie ich zmógł i przekonał.

— Wywróć kontyny? — jest w lasach miej-
sca dosyć! Każ się klaniać nowemu Bogu? —
pokłonim się... Było ich dosyć... niech będzie
jeden więcej...! Dlatego naszych starych nie opu-
ścim... Nasza dola czaść się, cierpieć i czekać...
przyjdzie nasz czas, przyjdzie nasza godzina...
wybiją na wojnie starszyznę, dwory zostaną
puste...

Warga nie dokończył. Luboń ze swemi
poglądali po sobie, nie mówiąc nic.

— Pocóż nas i wołać było? — odezwał się
gniewnie Wojśław. — Nie mamy tu czego słu-
chać. Że cierpieć trzeba, tośmy wiedzieli i bez
was...

Uśmiechnął się Warga.

— Jeszcze my się boimy stracha, co nie
przyszedł... nie trzebaż go uprzedzać, zobaczy-

my, gdy on się zjawi... zobaczymy. A zebrać
się i radzić było trzeba, bo niech tu dziś wie-
dzą, że groza idzie i od zimy nagotują kożu-
chy... Potośmy się zesłi.

Usiadł stary na swoim kamieniu, a inni
mruczeniem dawali poznać, że z nim trzymali.

Wtem czarny Buran podniósł rękę i rzekł:
— Ja jedno powiem... O kim wiadomo
nam, że chrześcijaninem jest, choć tajnie... za-
bić go... pójdzie groza do drugich... Niech je-
den ginie, aby my nie poginęli wszyscy...

— Dwory im podpalić! — dodał inny —
Dobrosława naprzód...

— A Ligoń? i ten nie lepszy...!

— A Zreba?...

Inni wymieniać poczęli różne nazwiska;
Warga się nie przeciwił i mileżał.

— Czyńcie z tem, jak chcecie! — dodał obo-
jętnie.

Niektórzy starcy uśmiechali się już, jakby
im ta zemsta smakowała. Luboń zbladł, wspo-
mniawszy na syna, i mileżał.

Gwar się wszczął między gromadą i bez-
ładne rzucanie słowami, gdy dziwnie zaszumiała
dąbrowa i zdawało się słychać było jakby łomot ga-
łęzi a konia chód. Wszyscy zamilkli, przysłu-
chując się, chociaż myśleli, iż spóźniony może
jeden z ziemian przybywa. Wojśław stał za
Luboniem, wpatrując się w tę stronę lasu, z któ-
rej szedł głos, przechylił się ku ziemi, aby po
pod gałęzmi dojrzeć coś lepiej i nagle, jakby
przerażony, skuliwszy się w pół, rzucił w krza-
ki. Ucieczka ta przestraszyła i drugich, ale
uchodzić nie była pora, bo za starym Lelem
już konia i jeźdźca widać było.

Luboń, który stał na widoku, pierwszy
zobaczył i poznał Mieszka.

Kneź jechał sam jeden, z twarzą dumną
i spokojną: ubrany, jak do łowów, z rogiem na

sznurze, uwieszonym przez ramię; z sulicą w ręku, łukiem na plecach.

Zobaczywszy starców i ziemian zebranych u dębu, nie okazał wcale zdumienia; konia trochę strzymał, stał i patrzył.

Wróżbici i gęslarze osłupieli z trwogi i przerażenia. Niektórzy z ziemian cofali się w las, inni stali, jak w ziemię wryci. Ze starych niektórzy, nawykli do poszanowania, zwolna podnosić się zaczęli.

Mieszko stał i oczyma mierzyl wszystkich, dostrzegł zdala Lubonia, poznawał i innych wróżbitów, których przy grodzie widywał. Po chwili namysłu, zwolna z konia zsiadł, wziął cugle i do oniemiałych zbliżył się z twarzą wcale niegniewną, ze wzrokiem jasnym. Ci, ku którym podchodził, zapomniawszy o odgrózkach, chylili mu się do kolan i pokłony bili.

— Cóż to za wiec u was, gęslarze? — zapytał. — I czemuście się tak głęboko w lasy z nim skryli?... albo to gajów świętych niema przy chrnach?

— Miłościwy panie — odezwał się chytrzejszy od innych Warga, nizko się kłaniając, — u nas to obyczaj stary u dębu za urodzaje bogom dziękować i wróżyć, co zboże da i co zima przyniesie. My tu na tem uroczysku schodzili się co roku...

— A no, wróćcie i śpiewajcie... niech i ja posłucham a popatrzę, a z mądrości się waszej co nauczę... — rzekł Mieszko, spokojnie rozglądając się po starcach...

I słowa te kończąc, obejrzał się, aby sięść. Kłoda omszona leżała po za kołem wróżbitów, — przysiadł na niej. Mileczenie panowało między starymi. Warga, który się tak zręcznie wytłomaczył, szepnął Drohocie:

— Wróćcie...

— No... co nam ta zima obiecuje? — rzekł kneź, — mówcie...

Drohota zawezwany, musiał wedle zwyczaju postąpić; przywołał Wargę i Burana, usiedli na ziemię i końcami kijów swych białych w milczeniu ziemię odgarniać zaczęli, szukając, jakieby w niej znalazły się znaki.

Ziemia leśna, wilgotna, nie miała w sobie nic zrazu, oprócz przegniłych liści. Drohota kopał głębiej i dobył — kostkę jakiegoś zwierzęcia.

Warga, on i wszyscy głowami potrzęśli znacząco.

— Kość... — rzekł Drohota — kość znaczy śmierć i zczepnięcie.

— Komu? — zapytał kneź.

Milezeli, obracając głowami. Drohota począł kopać dalej; dobyli węgla kawałek.

— Węgiel czarny, stos i zgłiszce — śmierć!

— Śmierć! — rzekł Warga.

— Komu? — powtórzył Mieszko.

Mówić nie śmieli, poglądali po sobie.

— Śmierć wrogom naszym! Niemcowi!... — zawołał kneź.

Warga, pokręciwszy głową, począł grzebać głębiej jeszcze... czarny robak okazał się wśród poruszonej ziemi i zwolna wsunawszy w jej szczelinę, zniknął.

— Wróćcie śmiało — odezwał się Mieszko, — jeśli znacie przyszłość.

— Śmierć i zniszczenie złemu — począł Warga.

— Wrogowi — szepnął Mieszko.

— I tym, co z wrogiem trzymać będą — rzekł Buran ponuro. — Robak, co pełźnie, znaczy nieprzyjaciela, co się skrada... Uszedł nam w jamę, — zły to znak!

Warga grzebał kijem po swej stronie.

— Wróćcie — odezwał się wśród mileczenia

Mieszko. — Wkrótce nam na Wigmana iść będzie trzeba, przeciw Geronowi... dobrze wiedzieć, co nas czeka...

— Rzućmy losy! — rzekł Drohota.

— Rzućcie — potwierdził, wstając i zbliżając się Mieszko.

Drohota z torby dobył siedm kawałków drzewa, rozłupanych na poły, tak, że wierzchnia ich część czarną korą była okryta, a wewnętrzna bielą; zebrał je w garść, począł coś mruczeć i cisnął na ziemię.

Wszyscy się pochylili, spoglądając ciekawie, drzewo padło tak, że sześć kawałków czarnych było, a jeden tylko biały.

Milezeli starcy.

— Czarno nam jutro wróży! — odezwał się Warga.

— Rzucimy raz drugi — zawołał Drohota, zbierając patyki po ziemi i wznosząc je powtórnie z szeptem jakimś i zaklęciem.

W milezeniu oczy wszystkich zwróciły się na padające drzewa, wszystkie czarnym bokiem leżały...

Spojrzeni po sobie starcy i nic nie rzekli, Drohota na trzecią wróżbę zbierał kawałki.

Mieszko, stojąc z twarzą spokojną, spoglądał na nich z góry.

Po raz ostatni ciśnięte patyki tak jak pierwszym razem, ledwie jednym białym upadły.

— Czarne jutro nasze! czarne! miłościwy panie... — westchnął Drohota.

— Czarne... — wtórował Warga.

— Czarne!... — chórem szeptali wszyscy. — Trzeba ofiary bogom nieść, aby odwrócili gniew i groźbę... Krwi bogowie pragną...

— Pójdziemy jej Niemcom utoczyć — odezwał się kneź głośno — ta im smaczniejszą będzie, niż gdybyśmy kozła zarznęli... Niech tylko idą za mną wszyscy, gdzie im wskażę, niech

się biją rażno, a mężnie, a wróżba się na wrogów obróci...

To rzekłszy i spojrzawszy naokół po milczących dziadach, dodał.

— Niech każdy sprawia, co do niego należy, ja się będę bił, — wy objaty nieście i śpiwajcie... A nauczcie młodych, aby za wodzem szli posłuszni... Tem Niemcy silni, że słuchać umieją! tem my słabi, że zgody u nas i posłuchu niema... Ale i tych ja nauczę.

Rzekł i zwolna koniowi cugle ściągnawszy, skoczył nań, popatrzywszy jeszcze na węgle wróżbitów; ujął róg w rękę, trzy razy zatrąbił i w gąszcz wjechał napowrót.

Luboń i wszyscy w głuchem milezeniu nieruchomi pozostali długo i odetchnęli dopiero, gdy kneź zniknął im z oczów.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

MUZEUM
JIK
ROMANOWSKI

266

